

WYPISY POLSKIE.

WYPISY POLSKIE

UŁOŻYŁ

ADOLF DYGASIŃSKI.

CZĘŚĆ NIŻSZA.

WARSZAWA

Nakładem Wydawnictwa Bernarda Lesmana.

—
1881.

Дозволено Цензурою.
Варшава 5 Августа 1881 г.



II 299 934

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001019231837

w Drukarni **J. Goldmana**, Muranowska № 24.

16

2

Spis rzeczy.

A. PROZA.

I. Nauki przyrodnicze i ziemioznawstwo.

	<i>Str.</i>		<i>Str.</i>
Koń—M. Nowicki	1	Tęcza—Wł. Lud. Anczyc	23
Bocian—M. Nowicki	3	Powietrze—G. Chmielewski	25
Orzeł pospolity—E. Leśniewski	4	O wiatrach	27
Przepiórka—M. Nowicki	7	Jesień—Ew. Estkowski	31
Sowa puszczyk—Wład. Taczanowski	9	Zima—Ew. Estkowski	34
Szczupak—M. Nowicki	11	Wiosna—Ew. Estkowski	36
Rak rzeczny—M. Nowicki	12	Lato—Ew. Estkowski	42
Motyle—A. Jeske	14	Strony świata—N. Żmichowska	46
Pająki przędące—F. P. Jarocki	15	Polowanie na tygrysy	47
Modrzew—Szymon Pisulewski	18	Wyspa pływająca—Wład. Lud. Anczyc	52
Mgła—Wład. Ludw. Anczyc	19	Wieliczka—Kl. z T. Hofmanowa	69
Chmury—Wł. Ludw. Anczyc	21	Szalony słoń—Wł. Lud. Anczyc	72

2. Moralność i obyczaje.

Rezeda—J. Chęciński	76	Podróżny i woźnica — St. Jachowicz	83
Ślusarz zawinił, a kowala powieszono	77	Korzyści dobrego wychowania i nauki—Lucyjan Siemieński	84
Ogrodnik i jabłoń—Wład. Lud. Anczyc	78	Kręte ścieżki—Klem. z Tańsk. Hofmanowa	85
Pochyłę kłosa—J. Chęciński	79	Trzej przyjaciele—K. Brodziński	87
Strumyk—Klem. z Tańskich Hofmanowa	80	Za co biją leniwcę	88
Przysłowia (z wzorów Rymarskiego)	77	Smutne skutki niemądrego figla —Klem. z Tań. Hofmanowa	89
O potrzebie korzystania z czasu —Jan Śniadecki	81	Modli się pod figurą, a ma dyjabła za skórą	94
Bławatki—Klem. z Tańskich Hofmanowa	—	Przysłowia—zebrał S. Rysiński —	—
Róża—Lucyjan Siemieński	82	Syn marnotrawny, K. Brodziński	96
Cudowne ziele—J. Chęciński	83	Ofiara wdowy—K. Brodziński	98

3. Historyja i Biblija.

<i>Str.</i>	<i>Str.</i>
Lech, Czech i Rus—J. Lelewel 101	Stanisław Jachowicz—
Starożytni polacy — Fr. Sal.	Edw. Siwiński 140
Dmochowski 102	Pierwiastkowa żegluga—Wł.
Święty Wojciech—L. Siemieński 104	Ludw. Anczyc 142
Św. Kunegunda królowa polska 106	Odkrycie Ameryki—Wład. L.
Koronacyja Wład. Łokietka—	Anczyc 146
L. Siemieński 109	Majówka—Ign. Chodźko . . 151
Bitwa pod Grunwaldem —	Solon i Krezus—I. Krasicki 154
L. Siemieński 113	Arystydes, zw. Sprawiedliwym
Mikołaj Kopernik 120	—J. Chęciński 155
Mikołaj Rej z Nagłowic . . 123	Dyjogenes—J. Chęciński . . 158
Monety, miary i wagi w dawniej	Mucyjusz Scewola—J. Chęciński 162
Polsce—Ł. Tatomir . . . 125	Wierność i stałość Regulusa
Z pobytu w Jutlandyi r. 1659	—J. Chęciński 164
Pam. Paska 128	Stworzenie świata — K. Bro-
Obrona Wiednia—Jul. Urs.	dziński 166
Niemcewicz 131	Potop—K. Brodziński . . . 170
Kraków—Jul. U. Niemcewicz 135	Historyja Dawida—J. Chęciński 172
Stanisław Konarski—Fr. Sal.	Józef sprzedany przez braci—
Dmochowski 138	K. Brodziński 175

B. POEZYJA.

Poezyja nauczająca (moralność).

Koń i Lis—St. Jachowicz . . 3	Wyżeł i Brytan—Ig. Krasicki 33
Ptaszki w klatce—Ign. Krasicki 4	Rzepa—Ign. Krasicki . . . 43
Orzeł i Zółw—St. Jachowicz 6	Człowiek i Wilk—Ig. Krasicki 36
Wilk i Owce—Ign. Krasicki 7	Tulipan i Fijołek—Ig. Krasicki 42
Słownik i Sroczka — St. Jachowicz 8	Dziecię i Staruszek—St. Jachowicz 44
Pudel i Brytan—St. Jachowicz —	Słoń i Pszczoła—Ign. Krasicki 76
Gołębnik —St. Jachowicz . . 10	Zdarzenie z nosem — Fr. Morawski 78
Czapla, Ryby i Rak—Ign. Krasicki 13	Chłopczyk ukarany — St. Jachowicz 79
Kmieć i Merkury — Dyon.	Przypowieść wschodnia—Rom.
Kniaźwin 16	Zmorski 82
Dąb i małe drzewka—Ign. Krasicki 19	Podróżny—Ign. Krasicki . . 84
Jabłuszko—St. Jachowicz . . —	Wóz z sianem—Ign. Krasicki —
Młynarz, Syn jego i Osieł—	Lew i Zwierzęta—Ig. Krasicki 87
Ign. Krasicki 22	

VII

<i>Str.</i>		<i>Str.</i>
Chciéj, a będziesz szczęśliwym —St. Jachowicz 88		Waluś—St. Jachowicz 97
Dziecię i płomień — St. Jachowicz 93		Ręka lewa i prawa—St. Jachowicz 101.

Poezyja opisująca (przyrodę lub człowieka).

Powrót Taty—Ad. Mickiewicz 29	Śmierć Żyszki—M. Romanowski 115
Jesień—Ad. Naruszewicz . . . 33	Giermek—Fr. Morawski . . . 117
Zima—T. Lenartowicz . . . 35	Śmierć Czarnieckiego — Antoni Czajkowski 130
Duch sieroty—T. Lenartowicz 36	Jan Trzeci—Jul. Urs. Niemcewicz 133
Wiosna—M. Ilnicka 40	Kruk Fundator Ołtarza—W. Pol 137
Wiosna—T. Lenartowicz . . . 41	Garnek z popiołem—Ks. Ign. Hołowiński 150
Gościnność polska—W. Pol . . 80	Dziad i baba—J. I. Kraszewski 153
Radziwiłł sierotka—H. Potocki 86	
Uboga wdowa—St. Jachowicz 99	
Pieśń ludowa o założeniu klasztoru na Łysiej górze . . . 106	
Władysław Łokietek — Jul. Urs. Niemcewicz 111	

Pieśni.

Oracz do skowronka — T. Lenartowicz 40	Sierota (Zbiór Z. Glogera) . . . 93
Pieśni dożynkowe (Zbiór Z. Glogera) 44	Do zdrowia—Jan Kochanowski 94
Krakowiak—Edm. Wasilewski 45	Modlitwa podczas pracy w polu—Fr. Karpiński 100
	Pieśń poranna—Fr. Karpiński —

1. Nauki przyrodnicze i ziemioznawstwo.

K O Ń.

Koń odznacza się piękną postacią i zgrabną budową. Głowę ma chudą ale kształtną, oczy piękne, pełne ognia, uszy stojące, którymi na wszystkie strony strzyże, między uszami ma czuprynę spadającą na czoło, pysk szeroki, nozdrza szeroko-rozwarłe, wargę górną bardzo ruchomą i niemal chwytną. Szyję ma mięsistą, długą i ściśnioną, kark z sutą grzywą, kadłub okrągławy, sierć krótką, maści rozmaitej, ogon zaś porosły już od nasady długim włosieniem, odnoża smukłe i wysokie, u nóg tylko jeden palec, okryty na końcowym członku szerokim kopytem, służącym do stąpania, a inne dwa mniejsze i wyżej osadzone palce ukryte pod skórą. Kły ma stosunkowo małe, u klaczy zwykle nierozwinięte, zęby trzonowe fałdowane, między nimi i siekaczami widać długą szczerbę, wszystkich zębów 40.

Koń żyje obecnie w licznych rasach już tylko jako zwierzę domowe, hodowane w stadninach, we wszystkich częściach ziemi, wyjąwszy kraje najzimniejsze i niektóre wyspy. Żywi się trawą i ziołami, chowany w domu dostaje prócz tego siana i słomy, także owsa, lub jęczmienia, na dalekiej północy zaś tłuczonych głów rybich. Wzrok, słuch, powonienie ma doskonałe. Głosem jego jest rżenie. Chodzi stępo lub kłusem, biegnie cwałem, ruchy jego w ogóle są wspaniałe i dumne. Gdy się niecierpliwi, grzebie przednim kopytem ziemię; broniąc się, wierzga i kąsa. Według maści zwie się koniem gniadym, kasztanowatym, szarym, siwym, jabłkowitym, szpakowatym i t. d. Żrebie ssie 4 do 6 miesięcy i w tym też czasie dostaje siekaczy mlęcznych, które zmienia potym na stałe. Mianowicie przed upływem trzeciego roku wypadają mu najpierw dwa środkowe siekacze, dwa następne przed czwartym, zaś oba zewnętrzne przed piątym rokiem. W tym więc czasie wiek konia łatwo oznaczyć. Później służą ku temu czarniawe dołki na koronie stałych sie-

kaczów, ścierające się z latami do tego stopnia, iż z nich, po 8 lub 9 latach, wieku konia z pewnością już nie można oznaczyć. Handlarze wypiekają starym koniom dołki na siekaczach i tak oszukują kupujących. Aczkolwiek koń podpada rozmaitym chorobom, może jednak żyć do 40 lat i więcej; przez złe wszakże obchodzenie się z nim starzeje się często już przed 20 rokiem życia swego. Rozmaite rasy koni różnią się bądź budową ciała, bądź innymi własnościami, są też do różnej przeznaczone służby, mianowicie do dźwigania juków, zaprzęgu, jazdy wierzchem, do polowań, wojny i gonitw. Najszlachetniejszy jest koń rasy arabskiej, wstrzemięźliwy, wytrzymały, ze wszystkich koni najchybszy, biegnie bowiem wśród skwaru 15 godzin bez żywności; od tej rasy pochodzi angielska, zwłaszcza szybki koń gonitwowy. Aczkolwiek skóra, mięso, kości i włosie konia dają się rozmaicie użyć, atoli w jego sile, chybkości, odwadze, zmyślności, pojętności, wytrwałości i cierpliwości leży głównie niepośledni pożytek, który to zwierzę przynosi człowiekowi. Jakoż właśnie dla tych przymiotów jest koń pomocnikiem, sługą i towarzyszem człowieka w rolnictwie, przemyśle, na polowaniu i wojnie, a nawet przyjacielem, jak tego dowodzi koń bojowy, nie odstępujący poległego jeźdźca swojego. Plemiona koczownicze żywią się głównie mięsem i mlekiem koniskim. Tatarzy wyrabiają z kłaczego mleka ulubiony napój zwany kumysem, to jest kisłankę czyli żętycę kisłą, która, zawierając alkohol, odurza jak wódka lub wino; ścięgien używają jako nici, skóry na odzienie i t. d. I gdzieindziej wyprawiają skórę lub robią z niej futra, mięsa używają za karm sów, psów, pstrągów w sztucznych pstrągarniach, jedzą je także tu i owdzie ubożsi ludzie; z krwi wyrabiają siłą barwę; jelit używają na struny, kopyt i kości do wyrobów tokarskich, tłuszczu na smarowidło, ścięgien z nóg organmistrze do umocowania miechów; włosie służy do wyrabiania materaców i poduszek, powrozów, sit, tkanin, tudzież buńczuków, będących oznaką godności baszów tureckich, wreszcie do smyczków. Ależ i dla chorych pożyteczny jest koń, kłaczego bowiem mleka używają z tym samym skutkiem co oślego, krowiego lub koziego; kumys zalecają w chorobach piersiowych.

Na stepach Azji środkowej, szczególnież Tataryi, oraz na błoniach trawiastych Ameryki południowej żyją liczne stada zdzi-
czalnych koni, łączących się czasem w jeden tabun do 12,000
głów. Krajowcy zręcznie je łowią arkanami, zwanymi według
urządzenia *lasso* lub *bolas*.

Koń i Lis.

Przyszedł raz lis do konia i cicho powiada:

—Co też ten osieł na ciebie gada!

On czi, wiary nie zostawi,

O twym lenistwie androny prawi,

Cnotę w wątpliwość podaje,

A co kłamstwa nieraz baje,

Tego i na wołowej skórze nie spiszel

Koń. Nic mnie to nie obchodzi, co od ciebie słyszę,

Pracowity koń powiada:

Sam osądź, cóż to szkodzi: że osieł źle gada.

BOCIAN.

Bocian jest biały, tylko skrzydła i nagie obocze ma czarne, dziób i odnoża czerwone. Dziób ma przedłużony, prosty, gładki i ściśniony, skrzydła obszerne, ogon krótki, odnoża wysokie, palce przednie w nasadzie błoną spięte, kciuk tak osadzony, że tylko pazurem ziemi dotyka.

Bocian przebywa jako ptak przelotny w Europie, z wyjątkiem krajów najpołnocniejszych. Przylatuje do nas i indziej ku końcowi marca, a powrót jego jest wszędzie pożądaną zapowiedzią zbliżającej się wiosny. Ciągnie wtedy stadami jak żóraw przez wiele miejsc, osiedla się wszakże tylko w okolicach bagnistych parami około siedlisk ludzkich. Powraca zawsze, jak jaskółka, do swjej okolicy i swego gniazda, witając rodzinne siedlisko znakami wielkiej radości. Jeżeli gniazdo pod jego niebytność zostało uszkodzone, naprawia je lub ściele nowe z grubego chrustu wysoko na drzewach, albo też na szczytach dachów, stodół i obór, gdzie mu przysposobiono miejsce przez założenie stariej bronny lub koła od starego woza, albo też przez zasłanie gałęzi

z chrustu. Stadło bocianów, raz złączone, nie rozłącza się, jak para gołębi, przez całe życie, okazując wielkie do siebie i dzieci przywiązanie. Dom, na którym się gnieźdzą, tak ich przywiązuje, że w czasie pożaru rzucają się w kłęby dymu, jakby dla obejścia raz jeszcze swego siedliska. Bocian jest łagodny, mało bojaźliwy, posępny, miewa jednak niekiedy i wesołe chwile. Lot ma wysoki i wytrzymały, przyczym głowę przed się a nogi w tył wyciąga, chód poważny, powolny, jak to widać, gdy żeruje na bagnach. Często stoi spokojnie całymi godzinami na jednej nodze. Głos jemu tylko właściwy jest głośnie klekotanie, które wydaje szcękami, przechylając głowę na kark; na gnieździe często klekoce. Pokarm bierze zwierzęcy; porywa płazy, myszy, krety, zajączki, pisklęta ptasie, ryby, owady, ślimaki; przynosi więc korzyści obok niejakięj szkody. Przed odlotem ku końcowi sierpnia bociany zbierają się na polach w liczne stada, są w nieustannym ruchu i ciągle klekocą; lud takie zebranie nazywa sejmem bocianim lub mówi, że lecą na wiecc. Jakoż zdaje się, że bociany wtedy nawzajem poznają i wspólnie naradzają się o zamierzonej podróży. Niekiedy jednego lub kilku na tym zebraniu zabijają, zapewne słabszych, któreby nie zdołały odbyć dalekiey podróży. Po naradzie razem się zrywają, wzbijają się wysoko i udają w kierunku południowym do Afryki lub południowej Azji, gdzie zimę przepędzają.

Ptaszki w klatce.

—Czegóż płaczesz?, staremu mówił czyżyk młody,

Masz teraz lepsze w klatce niż w polu wygody.

—Tyś w niej zrodzon, rzekł stary, przeto ci wybaczę:

Jam był wolny, dziś w klatce, i dla tego płaczę.

ORZEŁ POSPOLITY.

Jestto gatunek najpowszechniey znany i pospolicie królem ptaków nazywany. Ma nogi aż do palców jasnym piérzem porośłe, a palce trzema dużymi tarczami okryte, otwory nozdrzy leżą w dziobie ukośnie, a dziób aż po oczy rozłupany. W spoczynku końce skrzydeł nie dosięgają końca ogona.

Maść ubarwienia mniej więcej brunatna, tył głowy żółto-brunatny, wyższa połowa ogona biała, a reszta czarna. Dziób rogowo-błękitny, na końcu czarny, a gruba woskówka żółta. Oczy żółte. Palce żółte a silne, mocno zakrzywione, kończaste, pazury czarne. Samiec jako ciemniejszy, zdaleka wygląda całkiem czarny i stąd to dawniej sądzono, że dwa są jego gatunki: brunatny i czarny; obadwa jednak są jednym gatunkiem. Orzeł złoty czyli królewski różni się tylko ogonem, który jest czarniawy z niekształtnymi, popielato-siwymi przepaskami, i wtedy uważany jest jako mający właściwe upierzenie. Samiec bywa długi przeszło 2, a samica przeszło 3 stopy. Długość rozciągniętych skrzydeł samicy wynosi $7\frac{1}{2}$ stopy.

Orzeł ten żyje w wielkich lasach, a nadewszystko w lesistych górach całej Europy, północnej Azji i Ameryki. Zimą przeciąga u nas ponad polami, w lecie zaś samotnie w lasach i między górami. W Szwajcaryi żyje na Alpach, najlepiej przebywać lubi w bliskości rzek i jezior, lata górnio i poważnie, wzlata w górę, opisując ślimakowatą drogę, i wznosi się wyżej nad wszystkie inne ptaki. Nagle wpada na swą zdobycz, którą bywają sarny, jelenie, prosięta, jagnięta, kozłeta, a szczególniejsze zające, jak również większe gatunki ptaków. W zimie jada także ścierwo, które dla niego częstokroć podrzucają, aby przy nim łatwiej go można było zastrzelić.

Orzeł ten miał raz w Szwajcaryi porwać dziecko dwuletnie i zanieść je do swego gniazda. Przerażony ojciec odzyskał je, ale tak pokaleczone, iż wkrótce potym umarło. Szczęśliwym zdarzeniem złapał się niebacznie ów ptak drapieżny w lisie żelazo i pomimo śmiałej obrony zabity został. Już w marcu buduje sobie gniazdo. W północnych Niemczech i w Polsce w głębi obszernych lasów znajdują jego gniazda na wierzchołku starych dębów i sosen; w południowych zaś Niemczech i w Szwajcaryi zakłada je sobie ten orzeł na najwyższych i najnieдоступniejszych skałach. Gniazdo to jest wielkie, płaskie, składające się z nagromadzonych po prostu grubych i drobnych suchych gałęzi, wysłane wewnątrz wrzosem, paprocią, wełną, siercią i t. d. Niezbyt wielkie jaja są białe, brunatne, nakrapiane i plamiste,

bywa ich zwykle 3—4. Pospolicie tylko dwoje znajduje się w gnieździe młodych, które z początku pokryte są białym włnistym puchem i karmią się mięsem, wokoło na brzegu gniazda składanym. Stare bronią ich mężnie od napaści nieprzyjaciół. Jeżeli im nikt gniazda nie popsuje, ani ich w nim nie narusza, wracają do niego w roku następnym. Niektóre ludy oswajają je i układają do łowu antylop, zajęcy i t. p. Przez swoją drapieżność znaczne częstokroć zrzadzają szkody.

Tak ten jak i inne gatunki orła mają dziób potężny, przy nasadzie prosty, przy końcu tylko hakowato zagięty, ostry, otoczony kolorową woskówką. Głowa z wierzchu spłaszczona, lancetowatymi, tępyimi piórami pokryta. Ukośnie i głęboko w głowie leżące oczy osłonięte są wystającą kością oczną. Nogami silne, uzbrojone są mocno zakrzywionymi ostrymi pazurami, z pomiędzy których środkowy ma rowek ostrokończasty.

Orzeł i Żółw.

—Wynieś mię w powietrzne szlaki,
Raz do orła żółw powiedział,
Prawdziwie, aż zazdroszczę jak latają ptaki;
Raz już z ziemią zrobię przedział.

—Ależ mój bracie, orzeł mu odpowie,
Co też u ciebie w głowie?

Ty chciałbyś się z ptastwem bratać?

Chodzić nie umiesz, a chciałbyś już latać.

Nadaremne napomnienia,

Nic chęci żółwia nie zmienia.

Więc go orzeł bierze w szpony;

Już w powietrzu zawieszony

Coraz wyżej się z nim wzbija,

Już obłoki nawet mija,

I tak wyniósł go wysoko,

Że nie dojrzy ludzkie oko.

Żółw się cieszy z téj podróży,

Chciałby jeszcze bujać dłużej;

Ale orzeł puszcza nagle—

Zniknęły powietrzne żagle.

A tak to zwierzę zuchwałe

Ginie rozbite o skałę.

Wilk i Owce.

Wilk chociaż ostrożny, przecie że żarłoczny,
 Postrzegł ścierwo, chciał dostać i wpadł w dół poboczny.
 Siedzi w jamie a wzdycha; w tym owieczki słyszy.
 Patrzą w dół, aż wilk w jamie siedzi, ledwo dyszy.
 Odezwał się na koniec, rzekł do nich powolnie:
 —Nie wpadłem, za pokutę siedzę dobrowolnie;
 Trzeba czynić pokutę za boje, za groźby,
 Za to żem was pożerał. Owce zatym w prosby:
 —Wynijdź z dołu.—Nie wyjdę.—My będziemy podnosić...
 Droży się wilk, na koniec dał się im uprosić.
 Jęły się więc roboty i tak pracowały,
 Że go ze dna samego jamy wydostały.
 Wyszedł, a zawdzięczając nierozumną kupię,
 Pojadł, pogryzł, podusił wszystkie owce głupie.

PRZEPIÓRKA.

Powszechnie znana przepiórka, obdarzona chyżym lotem, należy do ptaków przelotnych. U nas dość jest pospolita, aczkolwiek ją częściej słyszeć aniżeli widzieć można. Trzyma się samotnie pól zbożem zasianych i stepów wysoką trawą porośłych, w których z wiosną odzywa się głosem jednostajnym, powszechnie znanym:—„podpolim.“

Samica znosi do czternastu jaj nakrapianych; pisklęta trzymają się matki tylko do odlotu. Pod jesień przepiórki mocno tyją i odlatują na zimę przez morze Śródziemne do Afryki. Za nadejściem tej pory przepiórki więzione okazują, jak inne ptaki przelotne, nadzwyczajną chęć wędrówki; nawet przepiórka, z jaja w domu wychowana i na obfitym pokarmie trzymana, ustawicznie podlatując, bije się o szczeblę klatki i w ciągłej najgwałtowniejszej zostaje niespokojności, póki nie minie czas zwykłego przelotu. Jako dobrą zwierzynę myśliwi łowią przepiórki sieciami po zebraniu zbóż; w przelocie przez południowe kraje ginie ich bardzo wielkie mnóstwo nie tylko tym sposobem, lecz także przez wpadanie do morza i topienie się, stąd też pochodzi, że w niektórych latach przybywają do nas w małej tylko liczbie. Łapania przepiórek i innych pta-

ków lub zwierząt w celu trzymania ich w klatkach dla zabawy pochwałać nie można, boć nie godzi się odbierać wolności niewinnemu stworzeniu Bożemu, odejmować mu przyjemności życia i jedynéj rozkoszy jego, jaką są: gaj, powietrze, błękit nieba, słońce, strumyczek, rosa i ruch swobodny. Trzymanie ptaka w ciasnej, brudnej klatce, w której się nieraz obrócić nie może; pozbawienie biednego stworzenia właściwego pokarmu, zmuszanie go do picia zanieczyszczonej wody; słowem, chowanie go bez żadnych a żadnych wygód w izbie, częstokroć ponurą, pełną zaduchu, pary i dymu, albo znowu na prażącym słońcu, i przypatrywać się, jak to biedne stworzenie rwie się bezustannie ku ścianom klatki, aby się jakim sposobem wydobyć na wolność, — wszystko to pokazuje, że się nie ma czucia na męki zwierzęcia i jest, mimo wszelkich pozornych usprawiedliwień, niezbitym dowodem braku wychowania, zastanowienia się i religijnej wdzięczności dla Stwórcy.

Słowik i Srocza.

—Czego śpiewasz słowiku!—Srocza raz mówiła:

Prawda, że piosnka twoja bardzo sercu miła;

Ale któż Ciebie słucha?

Niema żywego ducha.

Żebym ja, była tobą, cichobym siedziała.

Słowik. O wierz mi, moim celem nie jest próżna chwała,

Nie dbam, czy kto o moje śpiewy się zapyta,

Pełnię powinność i kwita.

Pudel i Brytan.

Raz się pudel z brytanem spotkał niespodzianie.

Grzeczne było powitanie,

A potym dalej w rozmowę.

Pudel zaczął wyliczać swe talenta nowe,

Jak on pięknie tańczy, jak się grzecznie kłania,

Jak trafnie odpowiada na różne pytania.

—Pozwól, przerwał mu brytan, i ja się pochwalę:

Oto domu pilnować umiem doskonale.

SOWA PUSZCZYK.

Zamieszkuje Europę południową i umiarkowaną; ku północy coraz rzadsza i daleko się tam nie posuwa; w Syberyi wcale niespostrzegana. U nas nietylko ze wszystkich gatunków sów, ale nawet ze wszystkich ptaków drapieżnych najpospolitsza; wszystkie lasy, ogrody, stare opuszczone mury, nawet budynki gospodarskie są tych sów siedliskiem. Na zimę niektóre z nich wynoszą się z lasów do budynków, ale nie zmieniają okolicy.

Przy świetle dziennym słabo widzą; dnie więc przepędzają ukryte w zacienionych gałęziach, strzechach, dziurach starych murów, obszernych dziuplach i pustych barciach. Dobrowolnie tych kryjówek nie opuszczają, a wystraszone z nich siadają w bliskości, dozwalając człowiekowi zbliżyć się do siebie. O zmierzchu dopiero wylatują na połów. Lot ich jest bardzo cichy, powolny i pracowity.

Główne ich pożywienie stanowią myszy i szczury, które łowią zarówno wewnątrz jak i zewnątrz budynków, w ogrodach i lasach; ptaki drobne wybierają tylko wyjątkowo z noclegów, albowiem ptaszki, siedzące po rozmaitych gąszczach i kryjówekach, są nierównie trudniejsze do wyszukania niż drobne nocne zwierzątka, przez całą noc biegające. Nigdy nie dostrzegłem, aby sowa kiedykolwiek większego jakiego ptaka upolowała, i nigdy w jej żołądku nic innego, prócz myszowatych zwierzątek, nie znajdowałem. Wnoszę nawet z tego, że często przebywając w gołębnikach, nigdy na gołębie się nie porywa, a wystrasza je tylko swą obecnością, że przeto równiej wielkości ptakom, jak np. kuropatwom, żadnej szkody nie wyrządza. Gospodarzom więc nieocenione usługi oddaje, tępiąc najszkodliwsze zwierzątka, nietylko na dworze ale nawet wewnątrz budynków, w ilościach bardzo znakomitych. Nic przeto nie usprawiedliwia nierozważnego prześladowania, któremu sowa ciągle podlega; owszem, każdy gospodarz powinien jak najstaranniej ochraniać i szanować tego użytecznego ptaka, gdy się w jego budynku osiedli, i nie niszczyć mieszkających zdala od zabudowań, bo i te nietyl-

ko że po lasach ważne oddają usługi, ale i w pewnych porach budynki odwiedzają.

Sowa gnieździ się po obszernych dziuplach, barciach, strzechach, wieżach, szczelinach starych murów i skał, i w opuszczonych gniazdach wron lub ptaków drapieżnych. Młode wtenczas dopiero matka odstępuje, gdy same są zdolne bronić się w razie napaści innych ptaków drapieżnych; nie oddala się jednak od gniazda, lecz przez cały dzień, ukryta w bliskości, nie spuszcza go z oka i bacznie uważa na to, co się tam dzieje. Gdy człowiek zbyt często się przybliży, zaraz się odzywa, a niekiedy daje dowody szczególnej odwagi, jak tego raz byłem naczynym świadkiem, gdy do gniazda, w którym znajdowały się sowięta, wlaź po drabinie chłopak wiejski i włożył w dziupel rękę; na to, niewiadomo skąd, zjawiała się sowa i tak nagle uderzyła na kark napastnika, że go szponami mocno podrapała. Nim jeszcze młode latać zaczęły, wychodzą często na gałęzie, obok gniazda będące, i rzędem obok siebie siadają, a w razie niebezpieczeństwa chronią się napowrót. Gdy się wywiodą, przez parę tygodni trzymają się jeszcze razem przy rodzicach, dopóki same nie wprawiają się do łowów. Po zachodzie słońca wylatują z dziennego ukrycia i wabiają się nieustannie piskliwym głosem, podobnym do skrzypienia nienasmarowanego koła. Głosy tych sów są rozmaite; wieczorem, gdy wylatują z kryjówek, odzywają się w sposób, do śmiechu ludzkiego podobny lub też naśladujący zgłoski: „ku-wik—ku-wik;“ na wiosnę zaś wabiają się po całych nocach donośnym kukaniem. Łatwo głosy te naśladować, ale oszukać trudno, bo nie chcą przylatywać. Zabobonne pospólstwo rozmaite znaczenia tym głosom przypisuje: jedni uważają je za śmiechy złych duchów; inni, wiedzący, że one pochodzą od sów, poczytują je za przepowiednie śmierci lub narodzenia.

Gołębnik.

W starym się gołębniku gołębie gnieździły,
Choć niekształtny i szczupły, był im jednak miły:
Bo tam ich karmiły matki,
Tam im się rodziły dziatki.

Właścicielowi przyszło coś do głowy
 Wystawić gołębnik nowy;
 Gustownie go wybudował,
 Zwierzchu i wewnątrz nawet pomalował,
 Nasypał ziarna do téj budowy wspaniałój;
 Gołębie do starego jednak uciekały.
 Właściciel kazał stary gołębnik rozrzucić:
 Zaczęły się bardzo smućić;
 Lecz na zwaliskach jeszcze się gnieździły,
 Bo im ten kącik był miły.
 To wzruszyło ich pana—zebrał dawne szczątki,
 I dla lubej im pamiątki
 W tym samym miejscu i takięj budowy,
 Ze starego zrobił nowy.
 Bo poznał, że i w ptakach są uczucia tkliwe
 I że nie wszędzie mogą być szczęśliwe.

SZCZUPAK.

Szczupak ma ciało podłużne, okrągławe, głowę spłaszczoną, pysk dość długi i szeroki, pletwę grzbietową krótszą i osadzoną na tyle ponad pletwą podogonową, pletwy brzuchowe za piersiowymi. Okryty jest drobną łuską, mocno w skórze osadzona, szparę skrzelową ma obszerną, paszczę głęboko rozciętą, szczękę górną krótszą od dolnej, opatrzonej wielkimi zębami rzadkimi, prócz których ma także zęby dość drobne na kości międzyszczękowej i na podniebieniu; kości szczęki górnej bezzębne. Linią boczną ma porozrywaną, ubarwienie bardzo zmienne.

Żyje w słodkich wodach europejskich, jako-to: w rzekach, jeziorach, stawach i bagnach, tylko w strumieniach górskich i wodach zbyt bystrych niema go. U nas znajduje się w całym kraju we wszelkich wodach. Według wieku i miejsca pobytu okazuje ubarwienia bardzo rozmaite. Zwykle bywa oliwkowo-brunatny i czarniawo lub żółtawo-marmurkowany, upstrzony czarnymi cętkami, na brzuchu biały, a pletwy ma zaczerwienione lub żółtawo-szare, ciemno smugowane. Młode roczne lub dwuroczne, często pięknie zielonawe, z plamkami złocistymi na bokach, zowią trawiankami, szczupaki żółto i czarno-plamiste królami szczupaczymi, ikrzące się w lutym lub

w marcu szczupakami lutowymi lub marcowymi, a ikrzące się w kwietniu, jak żaby, szczupakami żabimi. Dochodzi do 3 łokci długości a do 15 funtów wagi, jest najśmielszą i najsilniejszą rybą drapieżną wód słodkich, odznacza się żarłocznością, szybkością, silnymi ruchami i doskonałym słuchem. Żadne zwierzę wodne nie jest bezpieczne przed nim, pożera bowiem nie tylko owady, płazy i ryby lub ikrę, nie oszczędzając własnego rodzaju, lecz pochwytuje i wciąga pod wodę także wodne ptastwo, np. kurki młode, perkozy, kaczęta i gąsięta. Zdarzało się, że nawet kąpiących się ludzi napastował i kaleczył. Jeden wielki szczupak, znajdujący się w sadzawkach lub stawach, zarybionych karpami, może wielkie między nimi sprawić zniszczenie; dla tego trzymają szczupaki w osobnych stawach, w które dla dostarczenia im żywności wpuszczają drobne ryby niewielkiej wartości.

RAK RZECZNY.

Rak rzeczny jest okryty twardą skorupą, której część grzbietna od głowy aż do zakałdunia tworzy wspólną tarczę zachodzącą na boki ciała, a na czole wydłużoną w kolce. Różki ma długie, u pyszczka 3 pary szczęk właściwych, urządzonych do gryzienia, tułów zmarniały z wszystkimi trzema parami nóg, przekształconymi w tak zwane szczękonoża, za tymi 5 par silnych nóg chodowych, z których 3 przednie opatrzone są nożycami, u pierwszej pary znacznie większymi, niż u dwu tylnych. Zakałdunie ma zwężone i długie, złożone z obrączek opatrzonych nożkami, z których para ostatnia przekształcona jest w pletwę wachlarzykowatą, z 5 płatków złożoną. Oddycha listkowatymi skrzelami, po bokach tułogłowiu pod skorupą umieszczonymi.

Żyje w rzekach, potokach i stawach, żywi się żabami, rybkami, ślimakami, robakami, zarówno żywymi jak nieżywymi. W dzień kryje się zwykle w dziurach brzeżnych, między korzeniami, w nocy zaś wychodzi na żer, łązi powolnie z podniesioną nieco do góry przednią parą nóg, których nożyc używa

do chwytania łupu, lub odparcia napastnika; kiedy niekiedy pływa, wiosłując zakądkunem, zwłaszcza pletwą, przyczym pomyka zawsze wstecz, a nie naprzód. Samica przykleja złożoną ikrę do nóżek zakądkunia i nosi ją z sobą, dopóki się nie wylegną raczeta, które są podobne do starych i w ciągu wzrostu tylko się lenią. W lipcu lub sierpniu tworzy się na raku nowa skorupa pod starą, która się powoli od niej oddziela, wreszcie pęka i spada. Nowa skorupa jest zrazu miękka i biała, później twardnieje i nabiera barwy ciemno-zielonej; po zgotowaniu raka staje się czerwoną. W żołądku, leżącym zaraz za głową, znajdują się u raków, nim zrzucą skorupę, kamyczki kształtu półkuli, zwane niewłaściwie raczymi oczami. Utracone nóżki i nogi napowrót rakom odrastają, stąd pochodzi, że miewają często jedną nogę téjże pary mniejszą od drugiej. Raki idą na pokarm dla ludzi, są najwięcej cenione od maja do sierpnia i dają się długo utrzymać żywo, jeżeli się je włoży w piwnicy między świeżą pokrzywę; gotują je żywcem, przyczym biedne zwierzęta okropnej doznają męczarni.

Czapla, Ryby i Rak.

Czapla stara, jak to bywa,
Trochę ślepa, trochę krzywa,
Gdy już ryb łowić nie mogła,
Na taki się koncept zmogła.
Rzekła rybom:—Wy nie wiecie,
A tu o was idzie przecie.
Więc wiedzieć chciały,
Czego się obawiać miały.
—Wczora z wieczora
Wysłuchałem, jak rybacy
Rozmawiali: wiele pracy
Łowić wędką lub wścierzem;
Spuścimy staw, wszystkie zabie-

Nie będą miały otuchy,
Skoro staw będzie suchy.
Ryby w płacz, a czapla na to:
—Bolej nad waszą stratą,
Lecz można złemu zaradzić,
I gdzieindziej was osadzić,
Jest tu drugi staw blisko,
Tam obierzcie siedlisko;
Chociaż pierwszy wysuszą,
Z drugiego was nie ruszą.
—Więc nas przenieś, rzekły ryby.
Wzdrygała się czapla niby;
Dała się nakoniec użyć,
Zaczęła służyć.

Brała jedną po drugiej w pysk, niby nieść mając,
I tak pomału zjadając.
Zachciało się nakoniec skosztować i raki.
Jeden z nich, widząc, iż go czapla niesie w krzaki,



Postrzegł zdradę, o zemstę zaraz się pokusił.
 Tak dobrze za kark ujął, iż czapłę udusił.
 Padła nieżywa.—Tak zdrajcom bywa.

M O T Y L E.

Najpiękniejszymi wśród owadów są motyle. Cóż bo wyrówna ich piękności? Żyją wśród kwiatów i traw; żywią się kropkami rosy i miodem, z wonnych kwiateczków zbieranym. Pełne ich są łąki i ogrody nasze. Każdy motyl ma cztery śliczne skrzydła, dwa wielkie oczka, dwa długie różki jak niteczki jedwabne, cienki długi języczek czyli trąbkę do picia słodczy z kielichów kwiatowych. Motyle są najrozmaitszych barw. Białe jak śnieg, lubiące siadać na kapustę, zowią się *kapuścianki*; motyl żółty jak воск nazywa się *listek cytrynowy*; biały, z czerwonymi na skrzydłach oczkami nazywa się *apollo*; modry i różowy jak fiołek z różą zowie się *leśne oczko*; błyszczący jak złoto, nazywa się *dukacikiem*; czarny z białymi i niebieskimi brzeżkami zowie się motylem *żałobnym*; wielki, żółty z czarnymi prążkami i niebieskimi na skrzydełkach oczkami i widelkami w tyle zwie się *jaskukczy ogonek*; brunatnemu z pawimi na skrzydełkach oczkami jest na imię *pawik*. Są jeszcze motyle niebieskie jak niebo, czerwone jak ogień, błyszczące jak słońce, zielone jak trawa, ale któżby je wszystkie wyliczył i opisał. Jedne latają w blasku słońca—są to motyle dzienne; inne latają tylko zmrokiem, i te nazywają się ćmy; inne tylko w nocy się pokazują, są to motyle nocne. Jest jeszcze jedna wielka ćma, ze znakiem trupiiej głowy na plecach—to trupia główka; motyl ten wylęga się w ziemniakach, lubi miód i zakrada się do ulów; lecąc, sprawia szum w powietrzu.

Lecz któżby myślał, że te piękne motyle i motylki z leniwych powstały gąsieniec?... Motyl znosi jajka na drzewie i roślinach wszelakich. Z jajek tych wylęgają się na ciepłe słonecznym gąsienice, które rozlażą się po drzewach, a tak są żarłoczne, że czasem całe drzewa z liści i pączków objadają. Poczyn choruje gąsienica, kurczy się i przylepia do listka, a uprządszy sobie sukienkę śmiertelną lub ukleiwszy trumienkę z lepu i pa-

jęczyny, umiera, czyli zamienia się w poczwarkę. A cóż potem? Oto z wiosną, kiedy cieplejsze promienie słoneczne na ziemię padają, kiedy trawki się podnoszą, pączki otwierają i wszystko do życia powraca, wtedy i grobek gąsienicy pęka, a z tego grobu poczwarki zmartwychwstaje cudem Boskim piękny motylek, lekki jak piórko, szybki jak wiatr, strojny jak kwiat, żyjący jedynie słodyczą z kwiatów i świeżą rosą. Jak z gąsienicą tak i z nami się stanie. I my umrzemy; w zimny grób nas włożą, ciało w proch się obróci; lecz odrodzimy się życiem piękniejszym — zmartwychwstaniami, abyśmy żyć mogli z Bogiem w weselu i szczęśliwości wiecznej.

PAJĄKI PRZĘDĄCE.

Jedne pająki snują z siebie osobny rodzaj włókien, które pajęczyną nazywamy, drugie zaś pajęczyny z siebie nie wysnuwają. Pierwsze nazywają się przędącymi, a drugie nieprzędącymi.

Pająki przędące mają ciało bez ogona, na dwie nierówne części podzielone. Przednią część, zwykle mniejszą, którą gorsetem nazywamy, a z którą głowa, bez odznaczenia jej, jest zjednoczona, pokryta jest twardą skorupą; przeciwnie, część tylna, tułowiem zwana, ma na sobie skórę miękką. Te dwie części ich ciała połączone są szczupłą błonową rurką, przez którą kanał pokarmowy, kanały krwiste i bardzo cienkie nitki nerwowe przechodzą. Na przodzie widzimy po osiem lub sześć wypukłych, błyszczących kropek. Są to oczy, których rozstawienie i wielkość są różne. Pod przodem gorsetu znajduje się u nich pyszczek, złożony z wargi, z dwóch żuwaczek płaskich i z dwóch szczęk, z których każda ruchomym szponem jest zakończona. Te szpony szczękowe są zupełnie tak urządzone, jak kły jadowite u żmii, i rzeczywiście są narzędziami jadowitymi; a że wszystkie pająki przędące mają szczęki, podobnymi szponami uzbrojone, więc bez wyjątku są jadowitymi istotami. Wiedzieć jednak należy, że jadowitość pajaków naszego kraju jest tak słabą, iż ją zaledwie z jadowitością komarów porównać można.

Nadto ponieważ pająki nasze są istotami bojaźliwymi i unikającymi ludzi, więc prawie nikt u nas ugryzienia pająka i jadowitości jego nie doświadczył. W krajach gorących duże gatunki tych pajaków mogą być niebezpieczne, nigdy jednak ich jad niebezpieczeństwem utraty życia nie zagraża. Wszelkie podania o zatruciach jadła i napojów ludzkich przez pająki są niedorzecznymi zmyśleniami.

Tuż za pyszczkiem, pod gorsetem, pająki mają po 8 par nóg, których długość jest różna. Tułów jest bez żadnego podparcia. Pod przodem tułowiu jest poprzeczny rowek, a w nim dwa otwory, z których każdy prowadzi do błonkowatego woreczka. Za pomocą tych woreczków odbywa się oddychanie, i dla tego nazywamy je płucami. Pod tyłem tułowiu sterczy stożkowaty wyrost, który składa się z pięciu brodawek; z nich cztery, gęsto dziurkowane, wypuszczają płyn twardniejący na powietrzu, czyli zwyczajną pajęczynę, z której robią siatki do łowienia dwuskrzydłych owadów.

Pająki są bardzo mnożne; rozmnażają się, niosąc jaja. Skoro się młode z jaj wyklują, zaraz prząść zaczynają i pracują zgodnie około wspólnej siatki dopóty, dopóki głodu nie poczują. Uczucie pierwszego głodu jest hasłem do zerwania zgody i miłości rodzinnej i do rozbiegnięcia się w różne strony. Odtąd żyją samotnie, i nigdy jeden drugiemu nie ufa.

Pająki przedące są nam wielce użyteczne, bo żyjąc wyłącznie owadami, wytępiają mnóstwo dokuczliwych i szkodliwych istot. Najpożyteczniejszymi dla gospodarzy wiejskich są przędzik, krzyżak i oprządek. Najsłynniejszymi, lubo niesłusznie, z jadowitości, stały się dwa, na Podolu, we Włoszech i w innych południowych krajach Europy mieszkające gatunki rodzaju tarantuli, czyli krzeczka; mniejsze zaś gatunki tarantuli, żyjące u nas, są twórcami owęj w jesieni latającej pajęczyny, którą babskim latem nazywamy.

Kmieć i Merkury.

Ufając sobie w Boskiej opiece,
Rąbał drwa kmiotek przy rzece;

Uskoczy w wodę siekiera.
 Podniósłszy ręce ze łzami,
 —Jakże, zawoła, los mną poniewiera;
 Nie dość ciężkimi znoić mnie trudami,
 Ostatni jeszcze sposób mi odbiera!
 Cóż teraz pocznę, o nieba!
 Czym zarobię na kęs chleba?
 Alić o cud! z ponadbrzeżnej góry
 Spuści się razem Merkury,
 Bożek ludzi utrapionych.
 I patron rzeczy zgubionych.
 Z ulitowaniem:—Cóż ci to? rzeczce,
 Czego tak płaczesz, biedny człowiecze?
 —Nie wiem, odpowie, z jakiej przygody,
 Wpadła mi do téj siekiera wody,
 Ostatni sposób życia straciłem!
 Z niéj tylko żyłem.
 Tu Merkury nurkiem sięgnie,
 Siekierę złotą wyciągnie.
 —A co, pyta się, czy twoja?
 —Nie, mówi, to nie moja.
 Srebrną potym wydobędzie.
 —Może ta będzie?
 —Nie ta.—Tu za trzecim razem
 Dobywa drewna z wsadzonym żelazem.
 —Ta jest! ta—skoczy i czyniąc podziękę,
 Boską całuje mu rękę.
 Bożek, cnotliwą tknięty prostotą,
 Wziąwszy zarazem srebrną i złotą,
 Rzecze:—Człowiecze szczerzy!
 I te miej sobie siekiery.—
 Oddawszy zniknął, a kmieć w radości
 Uniesie za nim ręce w wdzięczności.

Gdy takim darem bogaty,
 Począł się chlubić przed swoimi braty;
 Gdy opowiedział aż do ich zazdrości
 Boskiej nad sobą cud Opatrzności,—
 Jeden z nich zaraz postanowił sobie,
 Próbować szczęścia w podobnym sposobie.
 Nic więc nie mówiąc nikomu,
 W to samo miejsce zaszedł pokryjomu,

A co pierwszemu stało się z przygody,
 Umyślnie wrzucił siekierę do wody.
 Zaczął płakać, ręce łamać
 I przed całym niebem kłamać.

 Przybył Merkury z równą ochotą,
 Siekierę z wody wyciąga złotą.
 —Mój przyjacielu, czy to ma być twoja?
 A on z radością wyskakując krzyknie:
 —Ach! moja właśnie, moja to jest, moja!
 Taka bezczelność bożka przeniknie,
 Więc rzekł Merkury ku wszystkim nauce:
 —Brzydę się fałszem, człowiecze nieszczerzy!
 Nie tylko téj ci nie oddam siekiery,
 Ale i tamtéj nie wrócę.
 A tak, co kłamstwem radby się zbogacił,
 I złotéj nie wziął, i żelazną stracił.

M O D R Z E W.

Modrzew przechodzi w piękności i użyteczności inne drzewa iglaste. Dorasta on do stu stóp wysokości; pień ma ostrokągowy; korę na nim siwą, nie tak popękaną jak na sosnie; gałęzie okręgowo ułożone, lecz nie tak kształtnie, jak w jodłach i w sosnach, i zwykle zwieszane. Igły przed zimą opadają, a pozostałe po nich pochewki, równie jak pączki, z których na wiosnę mają nowe wyrastać, tworzą na młodych gałęziach zgrubiałości, jakich na żadnym innym drzewie nie widzimy.

Modrzew odznacza się jeszcze tym od wszystkich drzew na wiosnę, że młode liście jego są żółto-zielonéj barwy, w kupki od 15 do 20 zebrane.

Modrzewiu niegdyś mieliśmy podostatkiem, lecz nierozważne z nich użytkowanie prawie do szczytu wytepiło to piękne drzewo. Natrafia się jeszcze gdzieniegdzie, jako to w Białowieżkiej puszczy, w górach Karpackich i w kilku miejscach około Krakowa, Radomia, Opatowa. Nazwiska miasteczek i wsi: jak Modrzejów za Olkuszem, Modrzejowice około Radomia i t. d., tudzież zabudowania z modrzewiu dotąd trwające, jak kościoły, dwory wiejskie, śpichlerze, są dowodem, że drzewo to było u

nas rozrodzone. Na belki i podwaliny modrzew jest wyborny, bo żywica nie tylko wskroś go przejmując, ale powoli występując, rozlewa się po całej jego powierzchni, przez co i owady go nie psują i wilgoć nań nie działa. Że u nas i w tych czasach wielkie i zdadne do tego celu natrafiają się modrzewie, ~~przekonać~~ się możemy stąd, że belki, użyte przy budowie teatru wielkiego w Warszawie, wyrobione są z modrzewiu krajowego.

Dąb i małe drzewka.

Od wieków trwał na puszczy dąb jeden wyniosły,
W cieniu jego gałęzi małe drzewka rosły.
A że w swojej postaci był nader wspaniały,
Że go dorosć nie mogły, wszystkie się gniewały.
Przyszedł czas i na dęba spełnić srogie losy.
Słyszac, że mu fatalne zadawano ciosy,
Cieszyły się niewdzięczne; wtym upadł dąb stary,
Połamał małe drzewka swoimi konary.

Jabłuszko.

I skądże się wzięło jabłuszko rumiane?
Z małego ziarneczka, dziecińy kochanel
Doprawdy, to cuda niesłychane:
Ziarneczko maleńkie, a jabłoń wspaniała!
Co ona listeczków, jabłuszek wydała.
Opadną jabłuszka, oblecą listeczki,
W rok znówu mieć będą jabłuszka dziateczki,
Listeczki zielone, jabłuszka rumiane.
Dziękujcież więc Bogu, dziateczki kochanel

M G Ł A.

Para wydobywa się z wody nie tylko raptownie w skutek mocnego rozgrzania, lecz i woda zimna w stawach, rzekach, jeziorach, morzach i t. d. przez ciągłe działanie ciepła, powoli, ale nieustannie paruje. Para, w ten sposób powstała, jest tak rzadka, że jej ujrzeć nie podobna; ale gdy ją ogarnie chłód wieczorny lub ranny, wówczas staje się widzialną, wznosi się nad wodami i w tym stanie nazywamy ją mgłą.

Widzimy, że rozwieszona po upraniu bielizna schnie; że woda na gościńcu po deszczu, albo w izbie na podłodze rozlana wysycha, czyli zamienia się w parę. Kiedy w zimie przystawią naczynie z wodą do ognia, to powstaje dużo pary; ale i te widzimy tylko nad garnkiem, a w izbie nie dostrzegamy jej; lecz kiedy się otworzą drzwi, lub gdy na dworze mróz, to wnet ukażą się kłęby pary. Podobnież gdy człowiek oddycha w ciepłym pokoju lub na dworze w lecie, nikt nie widzi pary, z ust jego wychodzącej, ale za to w zimie na dworze lub w zimnym pokoju widać ją doskonale. Otóż stąd pokazuje się, że aby dostrzec parę, potrzeba oziębienia powietrza do pewnego stopnia.

Tak samo rzecz się ma z mgłą; zazwyczaj pokazuje się ona w lecie rankiem lub wieczorami; pochodzi to z następującej przyczyny. Kiedy jest upał i słońce mocno dogrzewa, bardzo wiele pary uchodzi w powietrze. Kiedy zaś słońce zajdzie i już więcej nie ogrzewa powierzchni ziemi; gdy nastanie chłód nocny, albo też jeżeli w skutek upałów jest dużo pary w powietrzu, a nagle się oziębi,—wtedy ulotniona para staje się widzialną, bo przez zimno gęstnieje. Taka para zgęszczona tworzy bardzo małe kropelki, jakby pęcherzyki albo bańki mydlane, które bardzo łatwo z wiatrem ulatują, a ponieważ są ich niezliczone miliony, więc też, psując przezroczystość powietrza, zasłaniają nam przedmioty oddalone, a czasem mgła jest tak bardzo gęsta, że i na kilka kroków przed sobą wzrok ludzki nie widzieć nie może. Teraz wiedząc, w jaki sposób powstaje mgła, łatwo sobie wytłumaczyć, dlaczego widzimy ją w jesieni, kiedy zimne ranki i wieczory powstają po ciepłych dniach.

Najłatwiej mgła tworzy się nad wodami, bo tam najwięcej ulatnia się wilgoci; podobnież nad lasami, po deszczach, bo woda, schnąc czyli ulatniając się z liści, tworzy bardzo wiele pary.

Mgła chociaż zasępia powietrze, nie jest jednak niezdrowa; są kraje, jak np. Anglija, w których prawie nieustannie panuje mgła, a jednak nie wpływa szkodliwie na zdrowie i życie ludzkie.

CHMURY.

Wiemy już, co to jest mgła. Otóż chmury nie są czym innym, jak tylko mgłą czyli parą zgęszczoną, nie będącą jednak tuż nad ziemią, ale unoszącą się wysoko w powietrzu. Kto nam nie wierzy, niech się zapyta druciarzy, t. j. górali, którzy zwykle pomiędzy nami przebywają. W miejscu ich zamieszkania są tak ogromne góry, że ich wierzchołki zawsze się nurzają w chmurach. A nawet nie potrzeba tak daleko szukać, bo i w Królestwie Polskim na Łysiej górze stoi S to-Krzyski Kłasztór, to czasami gdy się chmury obniżą, ludzie patrzący u dołu widzą, iż klasztor okrywa obłok; ci zaś, którzy w nim przebywają, znajdują się jakby we mgle gęstój; ta właśnie jest chmura.

Wiemy, że mgła i chmury składają się z drobniuchnych kropelek wody; jakim więc sposobem kropelki te utrzymują się w powietrzu, kiedy przecie każdą rzecz ciągnie ku sobie ziemia? Otóż trzeba wiedzieć, że kropelki te nie są pełne, boby zaraz opadały na ziemię, ale wszystkie wewnątrz, jak bańki mydlane, są wydęte i unoszą się w powietrzu jak one.

Chmury tworzą się wtenczas, gdy powietrze, nasyczone wilgocią, natrafi wysoko w górze na zimniejsze miejsce i wtenczas para staje się widzialną. Banieczki w niej zawarte w samą rzecz dążą ciągle do ziemi, ale gdy natrafią na warstwy powietrza cieplejszego, rozpływają się znów w niewidzialną parę i tym sposobem chmura odnawia się nieustannie. Kiedy mgła idzie do góry, ludzie mówią, że będzie deszcz; w istocie tak jest, bo gdy wiatr owe kropelki w wielkiej ilości uniesie w górę, to zbierają się chmury, a potem następuje deszcz. Chmury są rozmaitego kształtu, jedne zowią *piezastymi* albo wełnistymi, gdyż wyglądają jak kłaczki wełny albo pierze. Uczeń ludzie powiadają, że są złożone z płateczków śnieżnych, dla tego że znajdują się w wielkiej bardzo wysokości, gdzie ciągle zimna panują.

Trzeba wam wiedzieć, że im wyżej nad ziemią, tym zimniej, a dowodem tego są góry bardzo wysokie, na których wieczne

leżą śniegi, jak np. na najwyższych szczytach Karpat, gdzie i do Lipca śnieg doleży; w innych zaś stronach świata są góry dwa i trzy razy wyższe od Karpat, a tam śnieg nigdy nie topnieje i na parę tysięcy łokci góra od wierzchu bywa pokryta

Inne gatunki chmur zowią się *blekitne*, podobne one są do kłębow dymu: rano się pokazują, a wieczorem nikną; jeżeli zaś nie giną i zwiększają się, a nad nimi pokazują się pierzaste, to pewnie deszcz będzie.

Trzecie zowią się *smugowate*; pokazują się o zachodzie słońca i przybierają piękny czerwono-złoty kolor, giną zaś przy wschodzie słońca.

Nakoniec *deszczowe* chmury mają kolor szary, jednostajne i powycinane brzegi; chmury te wiszą najniżej.

Młynarz, Syn jego i Osieł.

Nie wiem, gdzie ja to czytał, ale mniejsza o to:

Miał jeden młynarz osła; tak zmęczył robotą,

Iż nie wiedząc co zrobić,

Wolał sprzedać, niż dobić.

Wolał syna, wyrostka, co go w domu chował,

I rzecze:—Żeby się nasz osieł nie zmordował,

W długiej drogi przeciągu,

Zanieśmy go na drąg.

Dźwiga stary i stęka, chłopiec jeszcze gorzej;

Im szli dalej, im szli sporzej,

Tym srożej trud uciemieżał,

Tym bardziej im osieł ciężał.

Gdy to spostrzegli, ludzie się zbiegli,

Śmiechy się wzniosły: wzdyc to trzy osły,

A ten najmniej co na drąg.

Niekontent młynarz z zaciągu,

Rozumu się poradził,

Syna na osła wsadził.

Aż pierwsi, co napotkał, nuz się gniewać o to:

—Ty na osła, niecnoto!

Rzekli do chłopca, a stary pieszo!

Więc do kijów gdy się spieszą,

Aby ich złość nie uniosła,

Zsadził syna, siadł na osła.

Przechodziły dziewczęta, mówi jedna drugiej:

—Patrz, biedny chłopiec, jak do wysługi

Ten stary go używa:

Dziecię z pracy omdlewa,

A dziad niemiłosierny,

Choć dzieciuch tak mizerny,

Pieszko go iść przymusza.

To starego gdy wzrusza,

Wsadził syna za siebie.

Że dogodził potrzebie,

Jedzie kontent z wynalazku.

Ledwo co wyjechał z lasku,

Znowu krzyk:—Jacy-to głupi!

A kto od nich osła kupi?

Podróżą go udręczą,

Ciężarem go zamęczą;

Chyba skórę przedadzą.

—Nieźle oni coś radzą,

Rzekł młynarz, chociaż i łają;

Więc z synem z osła zsiadają.

Aż znowu mówią przechodnie:

—A któż to widział, aby wygodnie

Osieł szedł wolno, a młynarz za nim!

Wybacz bracie, że cię ganim,

Każdy z ciebie śmiać się będzie,

Jak się nie poprawisz w błędzie.

—Nie poprawię, rzekł młynarz, dość przymówek zniósłem,

Chciałem wszystkim dogodzić i w tym byłem osłem.

Odtąd, czy kto pochwali, czy mnie będzie winił,

Nie będę dbał nic o to; co chcę, będę czynił.

Co rzekł, to się ziściło;

I dobrze mu z tym było.

T E C Z A.

Któż nie zna tęczy, kto nie podziwiał tych pięknych kolorów ułożonych w tak zadziwiającym porządku, tworzących olbrzymi łuk, jakoby bramę z prześlicznych barw na niebie? Nie każdy jednak wie o tym, że zjawisko to pochodzi od światła słonecznego odbitego w kroplach deszczu. Tęczę bowiem ten tyl-

ko widzieć może, kto ma za plecami słońce, a deszcz przed oczami, a więc zjawia się ona zawsze w przeciwnej stronie słońca, a dla tego jeżeli tęcza ukaże się zrana, to ją zawsze widzimy na zachodzie, a jeżeli po południu to na wschodzie. Jakim sposobem powstaje ta różno-kolorowa wstęga na niebie i dlaczego wtenczas ją tylko widzieć można, kiedy deszcz kończy padać, albo dopiero co padać przestał, postaramy się w krótkości objaśnić. Promień światła słonecznego, chociaż wydaje się nam jasnym, białym, ma jednak w sobie ukrytych aż siedm kolorów. Z pozoru twierdzenie to wydaje się dziwnym, z przyczyny, że oko ludzkie nie dostrzega w świetle słonecznym żadnego koloru; a jednakże tak jest.

W wielu kościołach znajdują się zawieszone świeczniki, czyli pająki, złożone z mnóstwa szkiełek przezroczystych, białych, pięknie szlifowanych. Kiedy przez okno kościelne promień słońca padnie na taki pajak, to te białe szkiełka, szlifowane graniasto, pokazują nam różne kolory; jedne błyszczą czerwono, drugie pomarańczowo, trzecie żółto, czwarte zielono, piąte błękitno, szóste granatowo, siódme nakoniec fioletowo; a nawet dość wzniesć do góry głowę, a potem opuszczać ją na dół, ażeby wszystkie te kolory w jednym szkiełku naprzemian porządkiem zobaczyć; innych kolorów, prócz powyżej wymienionych, nikt nie dojrzy, bo ich tam niema. Zbliżywszy się do owych szkiełek, gdy słońce zajdzie za chmurą, żadnego koloru nie dostrzeżemy.

Każdy zna bańki mydlane, którymi się dzieci bawią; w bańce takiej, dobrze wydętej, także te siedm kolorów widzieć można. Nakoniec człowiek idący raniutko przez łąkę, gdy ma za sobą słońce, a rosa jest na trawie, ujrzy w kroplach wody te siedm barw; podobnież, gdy stanie naprzeciw wody, z kół młyńskich spadającej, a słońce jest za nim, ujrzy także siedm kolorów w pryskających kroplach wody.

Ponieważ zaś w tęczy innych barw nie widać, jak tylko te siedm, musi więc ona mieć coś wspólnego z tymi szkiełkami, bańkami, rosą na trawie i kroplami wody, pryskającymi z pod koła młyńskiego. Promień światła, padając na szkło rznęte w kanty, albo na wodę w kroplach, czy to na ziemi w postaci rosy

rozpostartych, czy też spadających z góry, rozchodzi się na siedm różno-kolorowych promieni, z których każdy ukazuje się osobno; a że tęczę wtenczas tylko widzieć można, kiedy chmura deszczowa przeszła już nieco i wiatr ją podniósł w stronę przeciwną słońcu, a tam opodal spada ulewa, więc pokazuje się, że promienie słoneczne, odbijając się w deszczu, rozszczepiają się na te siedm kolorów i tworzą wstęgę tęczową.

POWIETRZE.

Powietrze stanowi naokoło ziemi przejrzystą powłoczkę, zwaną *atmosferą*, której grubość dotąd nie jest jeszcze oznaczoną; jedni bowiem obliczają, że powietrze wznosi się nad powierzchnią ziemi na 60, inni, że na 300 wiorst. Powietrze, jak każde inne ciało, jest przyciągane przez ziemię. Stąd pochodzi, że posiada ono pewną wagę. Aby się o tym przekonać, dosyć jest wziąć balon szklany szczelnie zamknięty i zważyć go wraz z powietrzem; następnie, wyciągnąwszy takowe za pomocą odpowiednio urządzonej pompki, zważyć pusty balon, a wtedy przekonamy się, iż waga pierwsza jest większa od drugiej; przewyżka więc będzie stanowić wagę powietrza, zawartego w naczyniu. Tym sposobem oznaczono, że stopa kubiczna powietrza waży około trzech łutów. Kiedy więc powietrze ma wagę, to górne jego warstwy wywierają ciśnienie na warstwy dolne, a to tłumaczy, dla czego te ostatnie są gęstsze od górnych; ciśnienie zaś, jakie wszystkie warstwy wywierają na ciała będące na powierzchni ziemi, jest tak wielkie, że ono na jeden cal kwadratowy równa się prawie szesnastu funtom; ciało więc człowieka średniego wzrostu doznaje ciśnienia około 900 pudów.

Jeżeli na tafli szklanej postawimy szklany klosz tak, aby jego brzegi szczelnie przystawały do tafli i pod nim umieścimy palącą się lampkę spirytusową, to zobaczymy po pewnym czasie, że płomień, z początku silny, będzie stopniowo słabnąc, a w końcu zupełnie zniknąć, chociaż spirytus w lampce nie będzie zupełnie spalony. Gdybyśmy pod kloszem umieścili ptaszka, lub inne małe zwierzątko, to zauważylibyśmy sto-

pniowe osłabienie zwierzątka, a w końcu nawet śmierć jego, gdybyśmy je pozostawiali przez dłuższy czas pod kloszem.

To nas przekonywa, że powietrze przy paleniu się ciała i przy oddychaniu zwierząt traci coś, co czyni je niezdolnym do podtrzymania palenia i oddychania; tym ciałem jest tak zwany *tlen*. Pod kloszem bowiem nie pozostaje próżnia, o czym łatwo przekonamy się, zważwszy klosz wraz z tym, co się w nim znajduje, waga jego bowiem będzie tą razą większa od wagi, jaką posiadał wtedy, gdy był napełniony powietrzem. Z tego widzimy, że przy paleniu się ciała i oddychaniu powstają nowe jakieś ciała, cięższe od tlenu i niezdolne go zastąpić, a tymi są: tak zwany *kwas węglany* i woda. Ciała te z łatwością można usunąć, umieszczając pod kloszem proszek wapna niegaszonego; ale i wtedy pod kloszem nie będzie jeszcze próżni, gdyż waga jego będzie większa od wagi samego klosza. Ciało więc, które nie mogło być pochłonięte przez wapno i które nie podtrzymuje palenia oraz oddychania, jest *azot*.

Tak więc głównymi częściami składowymi powietrza są tlen i azot; oprócz tego, lubo w niewielkiej ilości, w skład powietrza wchodzi *kwas węglany* i *para wodna*. Powietrze atmosferyczne nie tylko stanowi powłoczkę dokoła ziemi, ale nadto wypełnia wszystkie szczeliny wewnątrz innych ciał. Ilość części składowych powietrza na wagę jest zawsze stała, i tak: azotu 79,17, tlenu 20,79, kwasu węglanego 0,04; ilość zaś pary wodnej w powietrzu jest zmienna; oprócz bowiem pary wodnej, tworzącej się przy paleniu ciała i oddychaniu, unosi się jeszcze w powietrzu para wody, powstała z rzek, jezior, mórz, co zależy od większej lub mniejszej odległości miejsca jakiegoś od tych zbiorników wody.

Powietrze znajduje się także w wodzie, lecz ilość części składowych tego powietrza jest cokolwiek inna, niż powietrza atmosferycznego, i tak: tlenu prawie 35, azotu 65.

Badając własności pojedynczych części składowych powietrza, widzimy, że:

Azot jest gazem bez koloru, smaku, zapachu, a cokolwiek lżejszym od powietrza. Można się o tym przekonać, oznaczy-

wszy wagę azotu zawartego w balonie, oraz wagę powietrza zawartego w tymże balonie, i porównywając te obie wagi. Ciała palące się, pogrążone w azocie, gasną, zwierzęta umierają, nie dlatego jednak, aby był trującym, lecz ponieważ nie posiada on własności podtrzymywania oddychania, jak również i palenia ciał.

Tlen jest także gazem bez koloru, smaku i zapachu, lecz cokolwiek cięższym od powietrza. Zwierzęta pogrążone w czystym tlenie żyć nie mogą. gdyż działanie jego na organ oddychania jest zbyt energiczne; ciała jednak zapalone palą się nadzwyczaj silnie i bez porównania silniej niż w powietrzu. To nam dowodzi, że tlen jedynie tylko podtrzymuje palenie ciał i oddychanie, domieszka zaś azotu łagodzi tylko jego działanie.

Porównywając własności czystego azotu i czystego tlenu z azotem i tlenem powietrza, widzimy, że własności owe pozostają zawsze te same, bez względu czy wspomniane gazy będą razem lub oddzielnie. Ciała takie, jak powietrze, jeżeli się składają z dwu lub więcej ciał, które po złączeniu się nie zmieniają swoich własności, a nadto łączą się w różnych stosunkach, nazywamy *mieszaninami*. Powietrze więc jest mieszaniną głównie dwu gazów, t. j. azotu i tlenu; oprócz tego, lubo w niewielkiej ilości, w skład jego wchodzi *kwas węglany* i *para wodna*.

O WIATRACH.

Wiesz-że ty, skąd powstają wiatry? Oto niejednostajne ogrzanie powietrza wywołuje w nim te ruchy. Najniższe warstwy powietrza ogrzewają się najmocniej. już-to dla tego, że są gęstsze i lepiej ciepło pochłaniają, już-to że stykają się z gorącą powierzchnią ziemi. Przez takie ogrzanie powietrze natychmiast się rozszerza i lżejszym staje. Wtedy zaś cząstki lżejsze wznoszą się do góry, a cięższe—chłodniejsze, napływają na jego miejsce.

Mieszkańcy morskich wybrzeży znają dobrze zjawisko lądowego i morskiego powiewu. Mówiłem, że w dzień cieplej jest na lądzie aniżeli na morzu, w nocy zaś przeciwnie chło-

dnięj. To też, ile razy ziemia ogrzeje się mocniej wśród dnia, powietrze jęj lżejsze usiłuje z cięższym morskim ułożyć się do równowagi, i stąd powiew, *lądowym* zwany. Przez noc przeciwnie ziemia wystygła, powietrze jęj cięższym się staje, a lżejsze znowu napływa od strony morza. A więc oto i powiew *morski*.

Taż sama wymiana na wielką skalę odbywa się pomiędzy równikami i biegunami, chłodne zaś ciężkie warstwy nieustannymi prądami od biegunów dążą do równika. Zdawałoby się więc, że na każdej półkuli powinno być dwa prądy: jeden wyższy, idący wprost od równika do biegunów, drugi niższy w przeciwnym kierunku. Lecz rozmaite przyczyny ten bieg wiatrów zmieniają. Najpierw obrót ziemi naokoło osi. Wiesz, że przy biegunach ziemia ma ruch najpowolniejszy, a najprędszy na równiku. Cząsteczki powietrza, zmierzając od biegunów do równika, natrafiają na bieg coraz szybszy, a ponieważ są bezwładne, nie dają się porwać temu wirowi odrazu i ciągle się potrochu opóźniają. Ziemia jednak nie czeka na nie, a tym sposobem bieg powietrza wykrzywia się i oba prądy biegunowe przybierają w pasie podzwrotnikowym kierunek od wschodu na zachód, przeciwny obrotowi ziemi. Dlatego to tam panują na morzach wiatry stałe, Alizejskimi zwane. W miejscu zaś gdzie się te dwa prądy spotykają, powietrze pozostaje w równowadze i stąd powstaje tak zwana strefa cisza, gdzie wiatru niema wcale.

Nie wszędzie jednak wiatry te zachowują niezmienny kierunek. Napotykając lądy po drodze, zwracają się one w inne strony. W strefach zaś umiarkowanych wszystkie te ruchy powietrza bardzo są trudne do wyjaśnienia; chociaż zawsze jedną mają przyczynę—dążność powietrza do równowagi. Czasem ta równowaga zakłócona bywa w sposób bardzo gwałtowny, i powstają straszliwe trąby, huragany, cyklony. Oprócz stałych Alizejskich wiatrów, sławne są jeszcze musony na oceanie Indyjskim. Te znowu wieją pół roku jednostajnie w jednym kierunku, a przez drugie półrocze w odwrotnym. Zjawisko musonów tłumaczą w ten sam sposób, co powiewy lądowy i morski.

Wiadomo, że pory roku na obu półkulach przypadają odwrotnie: gdy Azja południowa ma zimę, południową Afrykę przeciwnie ogrzewają prostopadłe letnie promienie. Wtenczas cięższe warstwy powietrza pędzą od Azji ku Afryce i powstaje muson północno-wschodni. Gdy w Azji jest lato a w Afryce zima, kierunek wiatru się zmienia i wieje muson południowo-zachodni.

Otóż to właśnie te rozmaite wiatry roznoszą wilgoć na wszystkie strony świata. Trzeba wiedzieć, że powietrze tym więcej pary unosi z sobą z morza, im jest cieplejsze, ale stygnąc, nie może już utrzymać w sobie téj ilości, wtenczas woda skrapla się i jako deszcz spada na ziemię. Wiemy też, iż wszystkie słodkie wody lądowe, rzeki, jeziora, strumienie podziemne z deszczów biorą początek. Gdy więc wiatr przybywa z cieplejszych stron, niosąc powietrze wilgocią nasycone, musi to koniecznie obfite deszcze sprowadzić. Ale kiedy naprzykład wiatr od morza Śródziemnego wieje na pustynię Saharę, to gdyby nawet gotowe chmury niósł z sobą, muszą się one rozprószyć przy zetknięciu z tą gorącą temperaturą. Dla tego to owa dzika okolica pozbawiona jest dobroczynnych deszczów.

Powrót Taty.

—Pójdźcie, o dziatki, pójdźcie wszystkie razem,
Za miasto, pod słup, na wzgórek,
Tam pod cudownym klękniście obrazem,
Pobożnie zmówcie paciorek.

Tata nie wraca; ranki i wieczory
We łzach go czekam i trwodze....
Rozlały rzeki, pełne zwierza bory
I pełno zbójców na drodze.

Słyszac to dziatki, biegną wszystkie razem
Za miasto, pod słup, na wzgórek,
Tam przed cudownym klękają obrazem
I zaczynają paciorek.

Całują ziemię,—potym w Imię Ojca,
Syna i Ducha Świętego!
Bądź pochwalona przenajświętsza Trójca,
Teraz i czasu wszelkiego.

Potym: Ojcze nasz, i Zdrowaś, i Wierzę,
 Dziesięcioro, i koronki;
 A kiedy całe zmówiły pacierze,
 Wyjmą książeczkę z kieszonki.

I litanią do Najświętszj Matki
 Starszy brat śpiewa, a z bratem
 Najświętsza Matko! przyśpiewują dziatki,
 Zmiłuj się, zmiłuj nad Tatem.

Wtym słyhać turkot—wozy jadą drogą
 I wóz znajomy na przedzie;
 Skoczyły dzieci i krzyczą jak mogą:
 —Ach Tato, Tato nasz jedziel

Obaczył kupiec, łyzy radości leje,
 Z wozu na ziemię wylata.
 —Ha, jak się macie? Co się z wami dzieje?
 Czyście tęskniły do Tata?

Mama czy zdrowa? Ciotunia, domowi,
 A ot rożynki w koszyku;
 Ten sobie mówi, a ten sobie mówi—
 Pełno radości i krzyku.

—Ruszajcie, kupiec na sługi zawoła,
 Ja z dziećmi pójdę ku miastu.
 Idą... aż zbójcy obkoczą do koła,
 A zbójców było dwunastu.

Brody ich długie, kręcone wąsiska,
 Wzrok dziki, suknia plugawa;
 Noże za pasem, miecz u boku błyska,
 W ręku ogromna buława.

Krzyknęły dzieci, do ojca przypadły,
 Tulą się pod płaszcz na łonie.
 Truchleją sługi, struchlał pan wybladły,
 Drżące ku zbójcom wzniosł dłonie.

—Ach, bierzcie wozy! ach, bierzcie dostatek,
 Tylko puszczajcie nas zdrowo,
 Nie czyńcie małych sierotami dziatek,
 I młodej małżonki wdową.

Nie słucha zgraja, ten już wóz wyprzęga,
 Zabiera konie, a drugi

—Pieniędź! krzyczy i buławą sięga,
Ów wpada z mieczem na sługi.

Wtym—stójcie! stójcie! krzyknie starszy zbójca
I spędza bandę precz z drogi,
A wypuściwszy i dzieci i ojca,
—Idźcie, rzekł, dalej bez trwogi.

Kupiec dziękuje, a zbójca odpowie:
—Nie dziękuj, wyznam ci szczerze,
Pierwszybym pałkę strzaskał na twój głowie,
Gdyby nie dzieci pacierze.

Dzieci sprawiły, że uchodzisz cało,
Darzą cię życiem i zdrowiem,
Im więc podziękuj za to co się stało,
A jak się stało, opowiem.

Zdawna już słysząc o powrocie kupca,
I ja i moje kamraty,
Tutaj za miastem na wzgórzu u słupca
Zasiadaliśmy na czaty.

Dzisiaj nadchodzę, patrzę między chrósty,
Modlą się dzieci do Boga,
Słucham, z początku porwał mnie śmiech pusty,
A potem litość i trwoga.

Słucham—ojczyste przyszły na myśl strony,
Buława upadła z ręki,
I ja mam żonę, i u mojej żony
Jest synek taki maleńki!...

Kupcze, jedź w miasto, ja do lasu muszę,
Wy dzieci na ten pagórek
Biegajcie sobie i za moją duszę,
Zmówcie też czasem paciorki!...

J E S I E Ń.

Otóż ciepłe lato się skończyło, zaczyna się smutnawa jesień. Słońce już później wschodzi, a rychlej zachodzi; dzień z nocą się równa. Minęły już skwary letniego słońca, wielkie żniwa się skończyły. Jesienne poranki bywają chłodne, a świt bez rumieńca. Ranne mgły wiszą nad ziemią i zakrywają drzewa i budynki. Słońca nie widać, choć już dawno wstało, cza-

sem się pokaże, ale idzie nie wesoło, niby drzemie po drodze. Bydło późno na pastwiska wychodzi, jeszcze zastaje zające przy rannym śniadaniu; spłoszone uciekają do gajów. W lasach jest cicho i smutnie; zbudzony ptaszek na gałązce nie śpiewa; na wierzbach kraczą zmokłe wrony. Kosiarze dawno już wyszli do pracy na pole; przygwizdując sobie, sieką zboże jarzynne lub potrawy; czasem staną długim szeregiem, poostrzą żelaza i znowu koszą; ludzi w mgle nie widać, słychać tylko dźwięczenie kos.

W jesieni szybko nadchodzi południe. Jeżeli dzień ciepły i pogodny, miło jest na dworze, pajęczyny sznurami ku ziemi lecą, trawy się jeszcze zielenią, czasem powtórnie róża albo wiśnia zakwitnie, skowronek się jeszcze raz po raz odezwie, wzleci ku niebu, zaśpiewa i spuści się na ziemię. Pracowite woły i konie ciągną resztki owsa lub tataraki z pola albo potraw z łąk. Patrząc na pełne plonu stodółki i na stogi ustawione na podwórzu, cieszą się gospodarze, Bogu za owoce dziękując.

Masz gospodarzu zapłatę za to,
Ześ przepracował wiosnę i lato.

Dziewczęta przygotowują wieniec ze zboża, jabłek i orzechów; poniosą go do dworu ze śpiewem i skrzypkami, a pan wyprawi dożynki; będą tańce, śpiewy i uciecha.

Bogata jest jesień, wszędzie pełno owoców, wszędzie zbierają, sprzątają.

Gospodarze zaglądają do pszczół, cieszą się, gdy ule ciężkie. Gospodynie moczą, suszą, trą i trzepią len, przygotowując przedziwo na zimowe wieczory. Ptastwo, instynktem zimę przeczuwając, odlatuje do cieplic; skowronki żegnają nas ostatnim śpiewem. Owady kryją się w ziemię, zasypiają snem zimowym. Zimny wiatr zrywa żółkłe liście z drzew. Pilny rolnik na nowo rolę uprawia i ziarnem obsiewa, zieleni się ozimina. Ogrodnicy przesadzają drzewa owocowe i opatrują młode drzewka słomą, aby je uchronić od mrozów i zajęcy. Zimno coraz mocniej dokucza, niedługo rankami szron bieleć będzie, woda ścinać się i marznąć. Tak skończy się jesień, a zajrzy do nas wkrótce zima.

Jesień.

Minęły słońca letniego skwary,
 Łaskawa jesień dzieli swe dary;
 Gdziekolwiek tylko wzrok się mój toczy,
 Jest czym ucieszyć i napaść oczy.
 Ciągną na wozach ogromne woły
 Snopki, którymi rwą się stodoły;
 Wesołe dziewczki, rażni młodzieńce
 Niosą, śpiewając, do dworu wieńce.
 Nie dba na żądla brzmiać chłastastry
 Chłop, podcinając z kanaru plasty.
 A w spore beczki i duże kadzie
 Wdzięczny pijakom prowiant kładzie.
 Rozlicznych wetów moc niezliczona
 Łamie ciężarem drzewom ramiona;
 Żaden nie sięga, żaden nie szczypie,
 Sam dobrowolnie owoc się sypie.
 Masz gospodarzu zapłatę za to,
 Żeś przepracował wiosnę i lato.
 Ciesz się z czeladką; a kto próżnuje,
 Niech głodny gardziel piaskiem łąduje.

Wyżeł i Brytan.

Pan strzelił, trafił kaczkę, pies dostał i dobił;
 A gdy postrzegł brytana, który nic nie robił,
 Zgrzytnął zębami.—My tylko sami,
 Wyżyły legawe, dajem wam strawę,
 A wy śpicie leniuchy!

—Patrz na moje łańcuchy,
 Rzekł brytan, stróż domowy,
 Gdy ty idziesz na łowy,
 Ja nic wprawdzie nie robie;
 Ale gdy w nocnej dobie,
 Do wczasu się sposobisz
 I nic wówczas nie robisz,
 Ja uwolnion z łańcucha,
 Czyniąc urząd podsłucha,
 Gdy wyreżam kolegę,
 Pana, Ciebie, dom strzegę.

Rzepa.

Kulawy, głuchy, stary i ślepy,
 Zeszli wór rzepy;
 Chciało się podjeść, bo jeść nie mieli.
 Ale szło o to, jakby się wzięli.
 Powiedział stary: ja nie ugryzę;
 Powiedział chromy: ja ledwo lizę;
 Ślepy—nie widzę jój, towarzysze;
 Głuchy: a ja was, bracia, nie słyszę.
 I tak, gdy ciągle spór z sobą wiedli,
 Została rzepa i nic niedliej.

Jak u nich rzepa, tak u nas mienie.
 Każdy ma swoje wyrozumienie;
 Gdy o zysk idzie, chcemy zarobić,
 A kiedy na zysk, nikt nie chce robić.

Z I M A.

Bociany, słowiki, skowronki, jaskółki z innym ptastwem odleciały już do ciepłych krajów, gdzie niema mrozów i śniegów; bydło już przestało chodzić na pastwiska; na polach i łąkach trawy powiędły; drzewa stoją nagie, liście opadły, niedługo je białe szron pokryje, jak człowieka siwy włos na starość; woły pracowite sprowadziły zboże z pola do stodoły; pajęczyna przestała spadać na ziemię długimi białymi sznurami; słońce rzadko świeci, mgły ziemię otaczają, deszcze często padają, po drogach błoto; kończy się obfita jesień, a zagląda zima.

Niedługo spadną gęste śniegi, okryją pola i ogrody, zasypią drogi, przyodzieją białym płaszczem niskie chaty. Zające i kuropatwy kryć się będą pod krzaki, ptastwo cisnąć się będzie do wsi, wróble kryć się w słomiane dachy, sroczka skrzeczeć zacznie na wierzbie, dzieci cisnąć się będą do komina.

Już ptaszynki cisną się do stodół, by podnieść ukruszone ziarno i głód swój zaspokoić. Ludzie brną po kolana w śniegu. Mieszczanin w rogatą czapkę kroczy po ulicy, wąsy szron mu okrywa; konie parskając biegną z saniami po utartym śniegu, dzieci wożą się na saneczkach, ślizgają po lodzie, chłopcy gonią się na łyżwach.

Mróz się zwiększa, słońce bystro świeci, śnieg čmi w oczy, gwiazdki śniegu skrzą się w powietrzu, para na szybach zamarza.

Długie są zimowe wieczory; często na dworze zawierucha, wiatr swiszczy, śnieg się sypie, w okna uderza, na kominie ogień bucha, łuczywo jasno świeci. Komin w domku obsiadła cała rodzina; wszystko do niego tuli się, bo na dworze mróz, zimno. Rychło udaje się wszystko na spoczynek, nie tak jak w lecie. Po zimie nastanie znowu wiosna, i wrócą ptaki, i znowu zaśpiwają słowiki, i znowu kwiateczki z ziemi się ukażą, i znowu zazienieją łąki, pola i drzewa.

Z i m a.

Bocianie guiazdo,
Zębata wrona,
Na wierzchu drzewa
Osamotniona.

O! nago, chłodno
I nie już niema:
Mroźno, pogodno
Nadchodzi zima.

Jak brylantowe
Drzewa się świecą,
Pyłki srebrzyste
W powietrzu lecą.

Zamarzłe wody,
Białe zagony,
Po drodze głodne
Włóczą się wrony.

Śniegi ubite
Pod nogą skrzypią,
A wiatry szczypią
Lica odkryte.

Więc się na komin
Drzewa nakłada
I z świętą księgą
Przed ogniem siada.

Dwa psy ogary,
Przyległszy blisko,
Drżemlą spokojnie,
Patrząc w ognisko.

To płomień buchnie,
To iskra pryśnie,
Szabla na ścianie
W półksiężyc błysnie.
Na okna kwiaty
Zaszyły śnieżyste,
Na które miesiąc
Promienie czyste
Rzuca z wysoka
I brylantuje,
Na szklistej kanwie
Srebrem haftuje.
Izba w półcieniu,
Wszystko w uśpieniu.

Cisza w okolo,
Tylko piosenka
Z chałup, gdzie drobne
Świecą okienka,
Jakby z za świata
Do mnie dalata.

Tam prządki ciągną
 Pod strzechą starą
 Ze lnu, konopi
 Długą, nie szarą;
 A z serca ciągną
 Nici srebrzyste,
 Długie powieści,
 Pieśni ojczyste;
 To o księżniczce
 Zaczarowanej,

Niby o naszłej
 Polsce kochanej;
 To jak Pan Jezus
 W ludzkiej postaci
 Wchodzi do chatek,
 Do prostej braci,
 I między dzieci,
 Trzodkę małąką,
 Rozdziela dary
 Najświętszą ręką.

Człowiek i Wilk.

Szedł podróżny w wilczurze, zaszedł mu wilk drogę.
 —Znaj z odzieży, rzekł człowiek, co jestem, co mogę.
 Wprzód się rozśmiał, rzekł potym—człeku—wilk ponury:
 —Znam, żeś słaby, gdy cudzej potrzebujesz skóry.

Duch Sieroty.

Idzie sobie pacholę
 Przez zagony, przez pole,
 Wielki wicher—ulewa,
 A to idzie i śpiewa.
 Wyszedł z gaju gajowy
 I rzecze tymi słowy:
 —Taka bieda na dworze,
 A ty śpiewasz, nieboże?
 —Oj, długom ja płakała,
 Gdy mnie nędza wyгнаła,
 Gdy ja biedna sierota
 Drżąca stałam u płota:
 Aż raz w nocy niedzielnej
 Przy dzwonnicy kościelnej
 Śnieg użyczył pościeli,

Duszę wzięli anieli,
 Jedna zimna mogiła
 Moją biedę skończyła.
 Siwy dziad mnie pochował,
 On mnie płakał, żałował.
 Teraz nic mi nie trzeba,
 Idę sobie do nieba.
 — O sieroto! o dziecię!
 Nic ci nie żal na świecie?
 —Żal mi jeno tej łąki,
 Gdzie fijołki i dzwonki.
 Żal mi słońca w zachodzie,
 Kiedy świeci na wódzie,
 I fujarki wierzbowej
 Z nad zielonej dąbrowy.

W I O S N A.

Cieszą się dzieci, cieszą się ludzie, cieszą się skowronki,
 pliszki, czajki, bociany, cieszy się wszystko ptastwo, cieszą się
 wiewiórki po lasach, pszczołki w ulach, mrówki na ziemi, rybki
 we wodzie, muszki w powietrzu,—wszystko się cieszy; bo
 już minęła zima, już lody i śniegi stajały, już minął błot-

nisty Luty i wilgotny Marzec, a przyszedł Kwiecień i nadchodzi miła wiosna.

Już bociany przyleciały; już pliszki, siadając na kamyczkach nad wodami, zwiastują, że ciepło będzie; już się trawki z ziemi podnoszą, już się pola zielenić zaczynają, już pączki na brzoškach mają pękać, już słoneczko cieplej grzeje, a dłużej na niebie świeci; niedługo przybędzie do nas czarna jaskółka i słowik co najśliczniej śpiewa. Jakże to miło i ładnie będzie na świecie; w powietrzu hucznie będzie śpiewać różne ptastwo, po zielonych lasach gwizdać będą drozdy, po zielonych łąkach świerkać będzie konik polny; kwiateczki po ogrodach i po łąkach i po lasach i po polach niedługo główki podniosą i śliczne kwiecie rozwiną, a zapachy i wonie rozniosą po całej ziemi. Kukułka wkrótce kukać zacznie w zielonej olszynie; zielone żabki na drzewach i żaby w wodzie za kilka dni wesoło rechtać i kukać zaczną; ciepły deszczyk będzie rosił; stare dęby szerokim liściem nagość swą okryją,—cała ziemia śliczną zieloną szatę przywdzieje. Ptaszki budować będą gniazdką, gąski skubać młodą trawkę; pasterze wypędzać będą bydło w pole, owczarki owce z młodymi jagniętami, oracze poprują pługiem czarną ziemię, wesoło przyśpiewując. Podziękujcie dziatki Panu Bogu, że wam znowu pozwolił doczekać się miłej wiosny; dziewczątka, rwijcie śliczne kwiatki i stróście obrazy w kościele i domu; chłopcy i pastuszkowie, bawiąc się i ciesząc na polu, nie psujcie ptaszkom gniazdek, nad którymi się tak napracowały, nie niszczycie młodych drzewek, nie zdzierajcie kory z drzew nad drogami, nie psujcie niepotrzebnie kwiatków, bo się cieszyć nimi mamy, ale nie niszczyć je.

Ziemia martwa wypoczywała przez zimę, i drzewa wypoczywały, i kwiaty wypoczywały, i pszczołki i mrówki, różne robaczki i owady wypoczywały,—wszystko wypoczywało. Człowiek nie może wciąż pracować, musi sobie wypocząć, musi się wyspać; tak też cała ziemia, cała przyroda potrzebuje snu. Ale jak po śnie, ale jak po wypoczynku wstaje człowiek czerstwy, silniejszy i weselszy, tak też cała ziemia, i cała przyroda po śnie, po wypoczynku, czyli po zimie, budzi się na wiosnę

czerstwiejsza, a wszystko się odmładza, jakby się na nowo urodziło. To też mówimy, że w Kwietniu natura się odradza.

W Kwietniu następuje czas siewów. Odmłodzona ziemia przyjmuje w swoje łono ziarnka, otula je, dodaje im wilgoci, a słońce ciepła, i tak ziarnka pęcznieją, wypuszczają kielki, rosną, kwitną i bogaty plon rolnikowi przynoszą.

Gospodarskie wiersze na Kwiecień są takie:

Kwiecień, plecień. Nie baj baja,	Byś do świętój Katarzyny
Umiej użyć twego staja,	Poobsiewał koniczny.
Boć daleko li do Maja,	Sadź rychliki, czy ziemniaki,
A bicz Boży na mazgaja.	Choć to dziś plód ładajaki.
Więc gdyś szparki, chwyć się jarki,	O dobytku wskaże pasza,
Na Tymona, siej jęczmiona,	Czy też dobra była nasza.

W Kwietniu rozgrzane od słońca korzonki traw, ziół i kwiatów puszczaają z ziemi zielone listeczki; więc łąki okrywają się zieloną darnią z miękkich trawek. Bydło w oborach, czując świeżą trawę, ryczy, nie chce jeść suchej słomy, tęskni do łąk, chce iść na zieloną ruń.

W Kwietniu tu wierzba miazgi dostaje, tam bez pęka, w sadku agrest drobnymi listkami zielenić się zaczyna, świętojanki pękają; potym zielenić się zaczyna głóg, jaskier, macierzanka, podbiał. Z pod wody wygląda na łąkach żółty kwiat. W ogrodach między trawą przy ziemi kwitną wonne fijołki, kryją się w ustroniu, jak słowiki w krzewach. Nad wodami kwitnąć zaczynają niezabudki czyli niezapominajki.

W Kwietniu najwięcej ptactwa z cieplic do nas powraca, a leci tak wesoło, jakby powracało z wygnania do swojej ojczyzny. Ciągną z cieplic sznury gęsi dzikich, żórawi i kulików. Wiosnę najprzód pliszka, a potym jaskółka zwiastuje, o czym takie jest przysłowie:

Na świętego Franciszka, przylatuje pliszka.
A znowu na Wita, jaskółka zawita.

Bocian także w Kwietniu powraca i siada na swoje stare gniazdo, przypatrując się polom i łąkom; kiedy go na wsi ujrzą, przywołują sąsiadów i dzieci i wołają: Patrzcie, patrzcie,

Wośm leci! Dlatego bociana Wojtusiem nazywają, że na święty Wojciech już jest z powrotem u nas.

Ciągnąć bociek, bo Wojciech wzywa go ku sobie,
Ciąg boćka, ja przy chacie Wojtusiem cię zrobię.

W Kwietniu mnogo się czajek po łąkach uwija; po lasach lęgną się kruki, wykluwają się gawrony, a niekiedy także głuszce i kwiczoły. Młode kruki, z gniazd wybrane, można obłaskawić i gadać uczyć.

W Kwietniu myśliwi wychodzą strzelać w lasach słomki, na łąkach bekasy, na błotach dzikie kaczki.

W Kwietniu resztki śniegów tają, wody wezbrane rzekami do morza odpływają, a flisaki puszczają się znowu Wisłą do Gdańska, wesoło na skrzypkach wygrywając i przyspiewując; w chmurach już czasem zagrzmie i zabłyśnie, bo powietrze cieplejsze, ale często jeszcze śnieg popruszy, zimny wiatr zawieje i przymrozek młode roślinki powarzy. Kiedy śnieg w Kwietniu pada, mówią gospodarze, że pada śnieg żrebiący, śnieg gąsiący. Przysłowie tu jest o Kwietniu takie:

Kwiecień, plecień; bo plecie;

Niby zimą, niby latem, a przeplata wszystko kwiatem.

Dawnymi czasy Kwiecień nazywał się u nas Łzy-kwiat, a to dlatego, że co kwiat jaki główkę w tym miesiącu z ziemi pokaże, to go śnieg jeszcze często, gęsto przysypie.

W Kwietniu najczęściej przypadają święta Wielkanocne. Święta Wielkanocne poprzedza Wielki post. Wielki post jest ustanowiony na pamiątkę, że Pan Jezus czterdzieści dni pościł na puszczy, nic nie jedząc i nic nie pijąc. Post ten zaczyna się popielcem, na pamiątkę, że człowiek prochem jest i w proch czyli w popiół się obróci. Ostatnia Niedziela przed Wielkanocą zowie się *Kwietnią Niedzielą*, na pamiątkę, jak Zbawiciel przed śmiercią swoją wchodził do Jerozolimy, a zgromadzony lud rwał zielone gałązki i rzucał mu z radością pod nogi. Dlatego też w Kwietnią Niedzielę przynoszą pobożni chrześcijanie gałązki świeże (palnę) do kościoła, które ksiądz poświęca.

Wiosna.

Wiosna, wiosna!	Dobra niwa,
Wieść radośna	Jak pocziwa
Z ciepłym tchnieniem wiatrów płynie;	Pierś rolnika co ją orze;
I sasanki,	Tylko trzeba,
· Już na wianki	By im z nieba
Rozwinięły się dziewczynie.	Przyświecało światło Boże.

Wstaj skowronku!	Nim ogrzane
W złotym słońku	Ziarno wsiane
Wykąp piórka twoje szare;	Zdrowym kielkiem w górę strzeli,
I skrzydlaty	I wnet potym,
Nad te chaty	Żniwem złotym,
Nad te ziemie wyleć stare.	Starą ziemię uweseli.

Wyleć z pieśnią!	Leć więc ptasze,
Ludzie prześnią	Prośby nasze
Świtu chwilę uroczystą;	Niech piosenka wzniesie drżąca;
Więc do Pana	Słońca, Boże!
Choć ty zrana	Na niw zboże
Głos za niwą wzniesie ojczystą.	I dla myśli ludu—słońca!

Oracz do Skowronka.

Już ty śpiewasz, skowroneczku, już też i ja orzę;
 I my ludzie i wy ptaszki—wszystko dzieci Boże.
 Człowiek w polu gospodarno pracować się sili,
 Ptaszek bierze swoje ziarno z zimowych badyli.
 Tyś, skowronku, mój towarzysz, choć w nierównej doli,
 O kochaniu jeno marzysz twemu sercu gwoili.
 Tyś szczęśliwy i wesoły; gdy jutrznia poranna,
 Lecisz w górę, by z anioły zaśpiewać hosanna!
 Z twój piosenki rade nieba i Pan Bóg się cieszy,
 Że ptaszkowi mało trzeba i dziękować śpieszy.
 Że różnymi gwarząc tony, głosisz w kraj daleki:
 „Niechże będzie pochwalony, na wieki! na wieki!“

Już ty śpiewasz, skowroneczku, już też i ja orzę,
 Lecisz w niebo—za oraczem pomódl się niebożę!
 Mów, żeś, krążąc wedle sioła, widział biedy nasze,
 W głodzie wiosna nie wesoła jako wiosny ptaszę,

Człowiek świtem ze snu wskrześnie, ale rąk nie dźwiga,
 Chciałby śpiewać świętą pieśnię, głodna pierś zastyga;
 Za nic wiosny widok rzewny i krasna jutrzienka,
 Gdy co ranek dzwon cerkiewny po umarłym stęka.
 Działwa jęczy, człek się błąka, z łez świata nie baczy,
 Wiosną życie dla skowronka, a śmierć dla oraczy.
 Módl się, ptaszku! Bóg wzruszony doda nam opieki
 I niech będzie pochwalony, na wieki, na wieki!

Wiosna.

Zniknęły już śniegi, spłynęły już lody
 I rzeka porusza się gładko;
 Jaskółki szczebiocąc, wybiegły z pod wody—
 Całe ich unosi się stadko.
 Kręcą się, wiją się, to niżej, to wyżej,
 Nad czystą jak kryształ rzeczulką;
 A coraz to szybciej, a coraz to chyżej,
 A w kółko, a w kółko, a w kółko!
 Na brzegu zielonym, na bujnej, na trawce
 Pasą się dwie krówki, baranek,
 A pastuch przygrywa na długiej ligawce
 I słońko przygrzewa w poranek.
 Przelotny wiaterek to trawką zawichrzy,
 To w trzcinę, w tatarak się wkradnie;
 Zakłóci, zamąci i cichszy i cichszy
 W zielonym gaju przepadnie.
 Ligawka przycichnie—to dzwonek z kościołka
 Z za lasu, zdaleka zadzwoni;
 A dzwonek zamilknie, to złota mi pszczołka
 Zabrzęczy na kwietnej na błoni;
 A pszczołka przysiedzie na świeży sasanek,
 To piosnka dziewczęcia drży w wietrze.
 O Boże mój drogi—w wiosenny poranek
 Jak wszystko i świeższe i lepsze.
 Ja siedzę pod lipą odwieczną, schyloną,
 Co ledwie że w paki rozpuka,
 I słucham, jak w lesie pod sosny koroną
 Kukułka wciąż kuka i kuka.

—Kukułko, kukułko! a dużo tam jeszcze?
 A dużo naliczysz mi latek?...

· O ptaszę ty moje—o ptaszę ty wieszczę,
 I kiedyś tam będzie ostatek?...
 Już dziesięć—dwanaście, i jeszcze wciąż dzwoni,
 Za wiele, moja ty ptaszyno!
 —Nie bój się, nie wiele—w ojczystej ustroni
 Twe lata jak woda przepłyną.

· · · · ·

Tulipan i Fijołek.

Tulipan okazały patrzył na to krzywo,
 Że Fijołek w przyjaźni zostawał z pokrzywą.
 Nadszedł pan do ogrodu tegoż właśnie rana;
 Widząc, że pięknie zeszedł, urwał tulipana.
 A gdy się do bukietu i fijołek zdarzył,
 Chciał go zerwać, ale się pokrzywą oparzył.
 Patrzył na to tulipan, mądry po niewczasie,
 I poznał, że przyjaciel, choć nierówny, zda się.

L A T O.

Po miłej wiosnie nastaje gorące lato; słońce wschodzi już rychlój, nocna zorza nie ustaje; jeszcze wieczorna nie zgasła, ranna już niebo oświeciła. Noce są więc jasne i miłe. Podczas dnia w górę wzniesione mgły spadają w nocy i sprawiają orzeźwiającą rosę. W południe słońce tak mocno grzeje, że jakby żarem na ziemię miotało, a wypogodzone błękitne niebo. Stawy i rzeki od wielkich wysychają upałów. Mocna rola spieka się i pęka. Zwiędłe kwiateczki ku ziemi się chylą, czekają ranniej rosy, by się ochłodziły. Ptaszki milkną, słowik już nie śpiewa. Od upałów dojrzewają trawy, zboża i owoce. Nastaje sianobranie: skoszone trawy sprzątają, wesołe dziewczyny i parobcy w kupki siano grabią, do gumien zwożą. Woń świeżego siana rozchodzi się po skoszonej łące. Oziminy dojrzewają, srebrzy się żyto, złoci się pszenica; ciężkie kłosa ku ziemi się chylą, a wiatr nimi kołysze; to się razem ziemi pokłonią, to znów ku niebu się wzniosą! Kwiaty bławatków czyli modraków, kąkolów i wiczek nadobne główki zpośród zboża wytykają. Koralowe wiśnie i tereśnie na drzewach się czerwienią; soczyste i rumiane jabłka ku ziemi się spuszczaają.

Kochanowski, ojciec Urszulki, to tak opisuje:

1.

Gorące dni nastawają,
Suche role się podają,
Polny świerz, co głosu staje,
Gwałtownemu słońcu łąje.

2.

Już mdłe bydło szuka cienia
I ciekącego strumienia,
A pasterze chodząc za niém,
Budzą lasy swoim graniem,

3.

Żytko się w polu dostawa
I swoją barwą znać dawa,
Że już niedaleko żniwo;
Miej się do sierpa co żywo.

4.

Sierpa trzeba oziminnie,
Kosa się zejdzie jarzynie;
A wy młodzi noście snopy,
Drudzy układajcie w kopy.

Ledwo słońce się pokazało, a już spieszą się żniwiarze w pole; kto tylko zdrow i mocny, biegnie z sierpem, z kosą lub z grabiami. W wiejskich domkach zostają same dziewczyny z sierpami i krzepcy parobcy i gospodarze z kosami. Błyskają kosy dzwiczące, rzną sierpy krzywe, a zboże pokosem się kładzie. Wesołe rozmowy i śpiewy żniwiarzów w powietrzu się rozlegają. Połgłe żyto spoczywa na ziemi, niby bór ścięty; jedni je zbierają w garście, drudzy wiążą w pękate snopki, inni te snopki znoszą, a starzy gospodarze w mendle układają. Z bicza trzaskając zajeżdżają półtoracznymi wozami fernalc i parobcy, pakują snopki między drabie i zwożą do stodół. Tu jedni z woza w sąsiek snopki podają, drudzy odbierają i innym podają, inni w warstwy układają, a każdy się spieszy i zwija.

Wśród południa na zielonej miedzy, lub pod drzewem na rowie siadają zemdleni żniwiarze, by wypocząć, posilić się i nowych sił do pracy nabrać. Na podwieczorek znów na chwilę wypoczywają i posilają się, a potem na nowo koszą, żną, wiążą i wozą, dopóki słońce się nie spuści. Zaszło słońce za lasy za góry; wieczorna zorza niebo blaskiem oblała, ucichły dzwoniące kosy i sierpy, ustały grabie. Skończył się dzień długi, skończyła się praca. Wracają wozy ze zbożem, ciężkie wozy pomału idą z pola. Wracają pasterze, owczarkowie, chłopcy z wysokimi na głowach kapeluszami z sitowia, a dziewczęta strojne w korony z modraków i kākoli. Najedzone bydelko postępuje zwolna, gromady owiec, tłocząc się, chmurę kurzawy w powietrze wzbijają, a wszystko

biegnie do stawu lub studni. Żóraw skrzypi, woda się leje, poi się bydło, owce i gęsi, a gospodarz raduje się, patrząc na ładny dobytek. Posileni wieczerzą żniwiarze wychodzą przed dom, siadają na murawach i kamieniach pod starymi lipami i wierz-
bami, cieszą się, patrząc, jak wesołe dzieci bawią się i hulają po
dworze. Spokojnie stoją drzewa z gałęziami ku ziemi spuszczo-
nymi, chłodny wietrzyk listkami szeleści; cicha woda na stawach
szkłem się lśni; zorza wieczorna gaśnie na pięknym niebie; na łą-
kach odzywają się bekasy i derkają derkacze, a między trzcina na
jeziorach bębnią bąki długimi dziobami. Miła, spokojna jest
wieś wśród lata!

Dziecię i Staruszek.

Niosło raz dziecię wody dzbanuszek,
Spotkał je w drodze siwy staruszek
I rzekł do niego z uprzejmą minką:
—Pozwól się napić, dziećinko!
Dziecina chętnie schyla dzbanuszką
I napoiła wodą staruszką.

Raz koło sadu szła ta dziecina;
Patrzy.... z owocem drzewo się zgina.
Jakżeby rada zjeść kilka gruszek!
Aż tu wychodzi siwy staruszek,
Ową dziećinkę dobrą poznaje
I najpiękniejszych gruszek daje.

Pieśni dożynkowe.

1.

Przepióreczko mała,
Gdzież się będziesz chowała?
My pszenicę już wyżęli,
W snopy powiązali,
W kopy poskładali.

Plon niesiemy, plon!
W jegomości dom!
Bodaj zdrowa plonowała,
Każda kopa sto korcy dała!

2.

Oj wyleć, wyleć, pstry sokole,
Bo już nie przyjdziem w to czyste pole.

Plon niesiemy plon!

Oj wyleć, wyleć, raba przepiórko,
Bo już nie przyjdziem w to czyste półko.

Plon niesiem plon!

Bodaj zdrowo plonowała,
Po cztery korce kopa dawała.

Plon niesiem plon!

Otwieraj panie nowe wierzeje,
Bo się na polu już ktoś nie chwieje.

Plon niesiem plon!

Otwieraj panie szerokie wrota,
Niesiem wianuszek z samego złota.

Plon niesiem plon!

Wynijdźże panie na ten ganeczek,
Przyjm od dziewczyny panie wianeczek.

Plon niesiem plon!

Zaściełaj panie stoły i ławy,
Jedzie do ciebie gość niebywały.

Plon niesiem plon!

Nie żałuj panie siwego żrebca,
Szlij po muzykę choć do Królewca.

Plon niesiem plon!

Nie żałuj panie siwego konia,
Szlij po muzykę choć do Torunia.

Plon niesiem plon!

Bodaj zdrowo plonowała
Za tak roczek doczekała.

Plon niesiem plon!

Krakowiak.

Wesoły—szczęśliwy
Krakowiaczek ci ja!

A mój konik siwy
Rażno się uwija;

Uwijaj się, rażno bież,
Kopytami ognia krzesz!

Czapeczka czerwona
Na głowie mi płonie,

Pokazuje ona,
Że mi gore w łonie;

Gore serce, pędzi koń,
A dziewczyna klaska w dłoni!

Z czapki pawie pióro
 Barwami się mieni,
 Jak dzionek za chmurą
 Gdy ją świt zrumieni;
 Dumnie błyszczy pawi puch,
 I ja dumny i ja zuch.

Krakowiaczek ci ja
 Pędzę sobie żwawo;
 Kto mnie nie wymija,
 Plunę w twarz kurzawą!
 Bo ja pan, bo ja król,
 Wśród zielonych niw i pól!

W koło szumi zboże,
 Kłania mi się kłosem,
 Kiedy zbiorę—zorzę,
 To pobrażę trzosem.

STRONY ŚWIATA.

Póki ludzie mówią o bardzo bliskich sobie przedmiotach, póty im łatwo miejsce ich bytności wskazać. I tobie, dziecię, łatwo wskazać miejsce, gdzie leżą twoje zabawki, gdzie rosną twoje kwiatki, gdzie biegać sobie pójdziesz. Ale gdzie mieszkają państwo ci lub owi, gdzie jest Warszawa, Kraków, lub inne jakie miasto, tego już tak łatwo nie wskażesz. Chcąc wskazać, musisz wiedzieć, w której stronie przestrzeni ono się znajduje. Cała przestrzeń ma stron cztery, z których zawsze jedna jest przed tobą, druga za tobą, trzecia po prawej ręce, czwarta po lewej. Dajmy na to, że przyjechałeś z Krakowa: wiesz zatem, że Kraków po za tobą został. Jak się kto spyta, gdzie jest Kraków? ręką po za siebie wskażesz. Ale teraz obróć się i spróbuj wskazać, gdzie Kraków; wszakże już ręki wtył nie wyciągniesz, bo Kraków został na miejscu, a ty miejsce zmieniłeś.

Otóż więc, żeby się we wskazaniu nie mylić, ludzie za pomocą słońca stanowczo sobie strony oznaczyli. Tam gdzie słońce wschodzi, oznaczyli stronę jedną i nazwali ją wschodem; tam gdzie zachodzi, stronę drugą, pierwszej przeciwną, i nazwali ją zachodem. Od wschodu po prawej ręce, tam gdzie słońce w czasie południa się posuwa, oznaczyli stronę trzecią i nazwali ją południem; a po lewej ręce od wschodu naprzeciw południa, stronę czwartą, którą nazwali północą.

Widziałeś zapewne, jak słońce wschodzi, lub jeśli ci się tak rano wstać nie chciało, to widziałeś przynajmniej jak zachodzi. Stańże teraz w ten sposób, żebyś zachód miał po lewej, to wschód będzie po prawej, północ przed tobą, a południe za tobą.

Teraz odwróć się—masz południe po lewej ręce; gdzież będzie północ, wschód i zachód?

Wychodzisz np. z domu i idziesz prosto przed siebie, a słońce zachodzące masz przed sobą; z jakiejże strony idziesz i ku jakiej stronie?

Kiedy wychodząc z domu zachodzące słońce masz przed sobą, a pójdziesz na lewo, w jakąż stronę pójdziesz?

Najodleglejsze miejsca wskazuje się tym sposobem, że się mówi, w której stronie leżą: na północy, na południe, na wschodzie, czy na zachodzie. Jeżeli miejsce jakie leży na zachodzie, to jest np. w tej stronie, którą masz przed sobą, lecz zbliża się bardziej ku lewej ręce twojej, a daleko jest od prawej, wtedy mówi się, że jest na zachód ku południowi, czyli w stronie południowo-zachodniej.

Przeciwnie zaś gdy miejsce jakie leży także na zachodniej stronie, którą masz przed sobą, ale zbliża się więcej ku prawej ręce twojej, wtedy mówi się, że jest na zachód ku północy, czyli w stronie północno-zachodniej.

Kiedy miejsce jakie leży np. po za tobą na wschodzie, a zbliża się ku lewej ręce, to jest na wschód ku południowi, czyli w stronie północno-wschodniej. Kiedy zaś leży na wschodzie po za tobą, a zbliża się ku prawej ręce, to jest na wschód ku północy, czyli w stronie północno-wschodniej *).

POLOWANIE NA TYGRYSY.

Zwierz ten szkodliwy znajduje się obficie na wyspie Jawa. Najpospolitszą jest odmiana tygrysa królewskiego, nierównie

*) Oznaczenie takie różnych położeni miejsca często powtarzać trzeba, a zawsze na widocznych przykładach, pytając się, w jakiej stronie ogród, dziedziniec, w jakiej wszelkie gospodarskie zabudowania, w jakiej pobliskie wioski, znane dzieciom.

rzadziej napotyka się czarny, nie braknie także lampartów, nie ustępujących w okrucieństwie i zuchwałości tygrysom.

Wewnątrz kraju zdarza się mnóstwo nieszczęść spowodowanych przez to krwiożercze zwierzę. W pobliżu osad europejskich nie tak często ukazują się tygrysy, przenosząc gęste i nieprzebyte lasy nad miejsca więcej zaludnione. Jeżeli jednak ukaże się w tych stronach, natychmiast zarząd miejscowy nakazuje obławę; jednakże, chociaż polowania te odbywają się na wielką skalę, stosunkowo bardzo mało ginie na nich tygrysów.

Obliczono, że co rok na tej wyspie około trzechset osób kończy życie pod kłami i pazurami tego strasznego zwierzęcia. Rząd hollenderski wyznaczył znaczne nagrody, aby zachęcić ludność do tępienia tygrysów; lecz chociaż zabijają ich wiele corok, przecież to bardzo mało wpływa na zmniejszenie liczby ofiar. Jawańczycy sami temu winni, mając jakiś zabobonny przesąd i obawę względem tygrysa, i nieraz jednoczą się całymi wsiami, ażeby wspólnym kosztem zaopatrywać żywnością tygrysa w jego legowisku, spodziewając się tym sposobem zapobiec napadom na ludzi i trzody.

Na parę dni przed moim przybyciem do Batawii, tygrys w biały dzień rozszarpał na gościńcu opodal miasta młodą Jawankę; natychmiast więc gubernator nakazał wielką obławę, do której przyłączyłem się z ochotą. O świcie następnego dnia wsiedliśmy na konie, ażeby zdążyć na czas w miejsce, gdzie się zbierała obława; we dwie godziny potem przybyliśmy. Słońce już weszło, złocąc promieniami wierzchołki drzew nieprzebytych lasów, rozłożonych na wzgórzach po za obszerną równiną, na której zbierała się obława; przed nami znajdował się mały lasek, zarośnięty gęstymi krzewami; tutaj właśnie znajdować się miało legowisko tygrysa.

Wyprawa składała się z kilkudziesięciu Europejczyków, głównie Hollendrów, i kilkuset Jawanów. Pierwsi ustawili się przed lasem w pół-księżyc, o dwanaście kroków jeden od drugiego, uzbrojeni po największej części w karabiny zaopatrzone bagnetami; reszta miała dubeltówki i kordelasy, po za tym łańcuchem stali Jawanie; ci mieli długie włócznie z ostrzami gzy-

gzowatymi i szerokimi, na kształt płomyków. Gdyby zwierzę zdołał się przedrzeć przez szereg europejczyków, krajowcy mieli go zabić po swojemu.

Jawanie nie służy w wojsku regularnym, nie umieją zatem obchodzić się dobrze z bronią ognistą; dla uniknięcia więc jakiego nieszczęśliwego wypadku, Hollendrzy nie pozwalają im brać na polowanie strzelb, zostawiając broń sieczną, którą wybornie umieją władać. Na znak dany przez kapitana dowodzącego obławą, rozległ się po za laskiem piekielny hałas przez krajowców sprawiony: bębny, kotły, trąby, tamtamy *), zele i piszczalki, naśladujący prawdziwą kocią muzykę, która miała wyruszyć tygrysa z legowiska i napędzić go pod nasze strzały.

Z odwiedzionym kurkiem i wytężoną bacznością stałem przed lasem, oczekując z biciem serca wypadnięcia tygrysa. Już w zburzonej wyobraźni widziałem potężnego księcia lasów, wyskakującego z gąszczu i sadzącego wprost na mnie; lecz chwile upływały bez skutku, zwierzę się nie ukazywało i nareszcie pogonka jawańska wyszła z lasu i stanęła przed nami.

Właśnie użalałem się przed najbliższym sąsiadem, że polowanie zeszło na niczym, gdy wtym usłyszałem, jak towarzyszy po drugiej stronie przywołał krajowców, rozkazując im uderzyć włóczniami w krzak leżący pomiędzy laskiem a nami, nie mający więcj jak półtora sążnia w przecięciu.

Skądby on się tam wziął! zawołałem z niechęcią i odwróciłem się znów do sąsiada po prawej stronie, który także w bytność zwierzęcia nie wierzył. Zaledwie zdołaliśmy zamienić z sobą kilka słów, gdy wtym usłyszałem za sobą jakiś dziwny szelest—zwróciłem się szybko. Jawańin trzymał w objęciu ogromnego tygrysa. Strzały, włócznie i pugiwały ze wszystkich stron raniły zwierza, Jawańczykowi strumień krwi spływał po rozdartej twarzy, lecz mimo to konwulsyjnie ścisnął potwora.

*) *Tamtam* jest to dzwon chiński ulany z mieszaniny metali w kształcie kręgu, głos jego donośny i przeraźliwy. *Zele*—talerze mosiężne do uderzania o siebie.

Tygrys skonał i upadkiem swym pociągnął krajowca na ziemię; lecz ten nie wypuszczał go z rąk, dopókiśmy ich gwałtem nie oderwali. Mimo to stał osłupiały i milczący jakby mowę utracił, a dopiero wtedy przyszedł do siebie, gdy mu kapitan powiedział, że otrzyma nagrodę przeznaczoną za uбиcie tygrysa.

Jawanie w inny sposób polują na to straszne zwierzę. Kopią oni doły, a ponad nimi umieszczają drzwi, które jak kłapa zapadają się i potem znów podnoszą. Skoro zwabiony przynętą tygrys wpadnie w pułapkę, zabijają go dzidami, lub schwycwszy na arkan, osadzają w mocnej drewnianej klatce, aby im potem służył do walki z bawołem, którą namiętnie lubią. Bawół jawański dochodzi ogromnej wielkości, ma sierść krótką i gęstą, nastrzępioną, brudno-sinawo-czarną, niekiedy białą; rogi odstające, pochylone ku przodowi i ostre.

Na walkę bawołu z tygrysem. obiera się miejsce równe, mające około sześćdziesięciu kroków średnicy, mocną i wysoką palisadą otoczone, po za palisadą stoją Jawanie uzbrojeni w dzidy dla zabicia tygrysa, jeżeliby mu powiodło się przesadzić ogrodzenie.

Do cyrku wprowadzają najprzód bawołu, potem jeden z naczelników jawańskich, podskakując przy odgłosie muzyki, zbliża się do klatki z wlepionymi w zwierza oczyma i otwiera ją, cofając się tym samym sposobem napowrót. Tygrys wychodzi z niechęcią, gdyż zna swego zażartego i silnego przeciwnika; z początku zwolna obchodzi ukradkiem plac dokoła, upatrując sposobnej chwili, ażeby rzucić się na kark lub łeb nieprzyjaciela, który zwykle z strasznym rykiem uderza.

Nareszcie tygrys, korzystając z chwilowej nieuwagi bawołu, wskakuje mu na kark i zatapia mu szpony. Buhaj z dzikim wrzaskiem rzuca się ku palisadzie i przyciska wroga do niej tak silnie, iż ten puszcza swą zdobycz. Wówczas tygrys traci odwagę i pragnie się schronić, lecz rozżarty bawół ściga go bez wytchnienia, dopóki nie przebiję rogami, lub brzemieniem cielska nie rozmiżdży o palisadę.

Niekiedy zdarza się, że tygrys wcale walczyć nie chce po pierwszym starciu się z bawołem; wówczas krajowcy drażnią

go, koląc lekko ostrzami włóczni, oblewają go wrzącą wodą lub rzucają na łeb rozpalone wiechcie słomy, dopóki rozwścieczony do najwyższego stopnia nie rzuci się po raz drugi na przeciwnika i pod ciosem rogów jego nie legnie.

Jeżeli przypadkiem tygrys odniesie zwycięstwo, wówczas zabijają go innym sposobem. Przed zagrodą ustawia się wkoło stu Jawańczyków; skoro otworzą zaporę i tygrys z niej wyłeci, drażnią go póty, dopóki nie odważy się rzucić na swych przeciwników, a wtedy znajduje śmierć na spisach.

Chociaż, jak wspomnieliśmy wyżej, Jawanie mają dla tygrysa pewną zabobonną trwogę, to znów gdy już w obec niego staną, okazują odwagę graniczącą z szaleństwem. Przed kilku laty jeden z nich za popełnioną zbrodnię został przez sułtana skazany na śmierć; pozwolono mu jednak, dla ocalenia życia, walczyć z wielkim tygrysem, którego wściekłość głodem i drażnieniem umyślnym podnieconą została do najwyższego stopnia. Jedyną bronią, jakiej surowe prawo użyć dozwalało, był krótki obosieczny sztylet.

Skazany spokojnie i odważnie wstąpił do szczupłego ogrodzenia z obwiązany lewym ramieniem chustką, utkwivszy zimne grożące spojrzenie w nieprzyjaciela. Tygrys rzucił się z zajądłością na Jawań, który wbił mu rękę obwinętą chustką w gardło, a prawicą zagłębił ostry krysz aż po rękojęść, przeniknąwszy do serca.

W przeciągu minuty tygrys leżał rozciągnięty u stóp zwycięzcy, któremu książę darował życie za ten dowód męstwa, a nawet podniósł do stanu książęcego.

Dziwnym jest, że tygrys nadzwyczaj rzadko napada Europejczyka, chociaż tylu zabija krajowców. Jawanie wiedzą o tym dobrze i twierdzą, że gdy się gdzie znajduje kilkunastu białych, a między nimi jeden tylko krajowiec, to on niezawodnie stanie się pastwą tygrysa.

Mnóstwo wypadków potwierdza to w zupełności. O ile się zdaje, pochodzi to stąd, że osadnicy europejscy mieszkają na wybrzeżach, to jest w najludniejszej części wyspy, i z tego powodu mniej są wystawieni na napady tego drapieżnego zwie-

rzęcia. Przytym Jawanie nacierają się codziennie olejem kokosowym, silną woń wydającym; tygrys, który raz tylko zakosztował w ten sposób przyprawionego ciała ludzkiego, zna już swój ulubiony przysmaczek i wietrzy za jego wonią.

Zachowanie się tak osobliwe tygrysów zabobonni krajowcy przypisują temu, iż, wedle ich przesądów, dusze zmarłych europejczyków wstępują w ciała tygrysie. Mniemanie to, rozpowszechnione pomiędzy ludem, dokładnie daje poznać, że europejczycy swym okrutnym postępowaniem dali powód do niego.

WYSPA PŁYWAJĄCA.

Ze wszystkich prowincyj dzisiejszego Meksyku najrozleglejszą, ale zarazem najmniej zaludnioną, jest Sonora. Kilka, czasem kilkanaście mil przejechać można, nie napotkawszy ludzkiego mieszkania, a folwarki, czyli, jak je tu zowią, haciendy osadników zwykle są obwarowane, gdyż w ziemi tej na wpół barbarzyńskiej o napad nie trudno i trzeba zawsze mieć się na ostrożności.

Rozległe bory, skaliste puszcze, nieprzejrzone stepy składają tę ogromną prowincję; mnóstwo dzikiego zwierza: niedźwiedzie, wilki, bawoły, pantery, zamieszkują te przestrzenie, zwiedzane nie tylko przez meksykańskich, ale przez amerykańskich, a nawet kanadyjskich myśliwców. Gromady Indyjan, zaprzyśiężonych wrogów europejczyków, przebiegają konno stepy, uganiając się za zwierzyną, a chętniej jeszcze za białymi.

Ciekawi jesteście zapewne, mili czytelnicy, skąd ta nienawiść pochodzi. Dużoby wypadało mówić o tym, powiemy wam jednak tyle tylko, że gdziekolwiek stąpi noga europejczyka, tam niknie swoboda i bezpieczeństwo Indyjan; biali, a mianowicie też północni amerykanie, dopuszczają się z zimną krwią najstraszniejszych okrucieństw, polują na Indyjan jak na dzikie zwierzęta; mordują ich bez litości, nie dotrzymując nigdy warunków zawartej umowy i oszukując czerwonych w najbezczelniejszy sposób. Cóż więc dziwnego, że wypędzeni z swych sie-

dzib, prześladowani na każdym kroku Indyjanie odpłacają taką samą monetą i, gdy im się tylko nadarzy sposobność, zabijają białych. Wojna ta nie zakończy się dopóty, dopóki choć jeden Indyjanie pozostanie przy życiu.

Przed odkryciem Ameryki, kilkanaście milionów szczęśliwych Indyjanie zamieszkiwało tę piękną część ziemi, dzisiaj już i miliona nie pozostało, a i te szczątki zapewne znikną przed upływem wieku.

Objaśniwszy stosunek wzajemny obydwu plemion, możemy teraz przystąpić do opisanie jednego ustępu tej odwiecznej walki, która zakończy się wtedy dopiero, kiedy Europejczykom zabraknie czerwonych nieprzyjaciół.

Przed trzydziestu laty w jednej z najnieludniejszych stron Sonory polowało trzech dzielnych i do wszelkich niewygód przyzwyczajonych myśliwców. Okolica, w której przebywali, była bardzo niebezpieczną, gdyż przebiegali ją Apaszowie, będący wówczas najzaciętszymi nieprzyjaciółmi plemienia białego.

Myśliwi o tym wiedzieli bardzo dobrze i dokładali wszelkich starań, ażeby uniknąć spotkania z Apaszami. Wieczór już się przybliżał, kiedy ujrzeni brzeg rzeki Gila, wpadającej do Colorado, która uchodzi do odnogi Kalifornijskiej, czyli tak zwanego szlachetnego morza.

Całodzienny pochód utrudził ich niemało, trzeba było przed nocą wyszukać schronienia bezpiecznego, a zarazem ukryć ślady swego pochodu przed bystrym wzrokiem Indyjanie, umiających z nieporównaną zręcznością odkrywać z najmniejszych znaków pobyt białych, swych nieprzyjaciół.

Olbrzymi Kanadyjczyk, stary łowiec i doświadczony wędrownik, dowodzący strzelcom, po długim, nadaremnym szukaniu, dostrzegł nareszcie na środku rzeki małą kępę, gestymi krzewami zarosłą; miejsce to obiecywało wyborczy i całkiem bezpieczny nocleg.

Kanadyjczyk, liczący około pięćdziesięciu pięciu lat wieku, którego życie upływało na przebieganiu stepów i puszczy północ-

no-amerykańskich, znał doskonale tę okolicę i zapewnił swych towarzyszy, iż pomimo głębi i rwącej wody będzie można przebrodzić rzekę bezpiecznie. Z naciętych gałęzi drzewa, na które wysoko wspiał się Hiszpan, ażeby Indianie nie dostrzegli znaków noża, spleciono trawę, na której myśliwi złożyli broń i suknie. Poczym wszyscy weszli w rzekę i brodząc aż do ramię szczęśliwie dostali się na kępę, na którą tratwę wciągnięto.

Kępa składała się z kilku grubych pni, które widocznie porwane powodzią, natrafiwszy w tym miejscu na dno płytsze, zarły się, nie mogąc płynąć dalej. Z biegiem czasu gromadziło się coraz więcej kłód i gałęzi, z czego splótł się rodzaj tratwy. Butwiejące od deszczów i słońca od góry pnie utworzyły nieco ziemi rodzajnej, na którą naniesione nasionka wydały mnóstwo krzewów trzin i traw, i bujną roślinnością pokryły tę małą wysepkę. Długość jej nie przechodziła pięciu sążni, szerokość ledwie czterech sięgała.

Trzej myśliwcy ucieszyli się niezmiernie z tak wygodnego noclegu. Meksykanin wydobyl z torby kawał suszonego mięsa, nieco soli i kilka sucharów. Posiliwszy się do syta, gromadka ułożyła się do snu, nie troszcząc się ani o dzikie zwierzęta, ani o straszniejszych jeszcze Apaszów.

Słońce dosięgało już prawie widnokręgu i naszym łowcom oczy zaczynały się kleić, kiedy nagle jakiś dziwny hałas zabrzmiał w przestrzeni. Obadwa brzegi rzeki ocieniał gęsty gaj wysokich białych topoli, tu i owdzie ukazywały się wierzby i tylko jedno miejsce na północnym brzegu огоłoconym było z gąszczu. Przez tę przestrzeń można było z wysepki przejrzeć część stepu. Z owej to właśnie strony zabrzmiało nagle przeciągłe wycie, w którym wprawne ucho myśliwych z łatwością rozpoznało wrzask wilków ścigających zdobycz.

Po kilku minutach ukazał się przepyszny jelen, z pochylonymi na grzbiet rogami, pędzący z szybkością błyskawicy ku rzece, a za nim sadziła tuż gromada rozżartych wilków.

Jelen znacznie wyprzedzał swych wrogów, lecz niepodobna, ażeby mógł wymknąć się pogoni, gdyż ze wszystkich stron zaskakiwały wilki, przecinając zupełnie ucieczkę.

Jeleń zbliżywszy się na pięćdziesiąt kroków do rzeki i ujrawszy wilcze czaty, przystanął chwilę, ale widząc, że dalsza ucieczka jest niepodobną, zwrócił się przeciwko ścigającym wilkom, a dobywszy ostatnich sił, uderzył na nich z nastawionymi rogami, ażeby przedrzeć się przez gęsty ich zastęp.

W mgnieniu oka wyleciały w powietrze dwa wilki z wy-paproszonymi brzuchami, inne ranione i stratowane racicami wiły się w boleściach, dwom atoli powiodło się dosięgnąć jelenia; jeden zatapia mu kły w karku, drugi chwyta za gardło, lecz silny zwierz oba unosi z sobą. Raz jeszcze zwraca się ku rzece, potężnym wstrząśnieniem pozbywa się obydwu wrogów i wpada w wodę. Wilki za nim. Ponad falami wystaje tylko głowa pięknego zwierza, ustrojona rozłożystą rogów koroną. Tuż za nim kurzą się parą szkaradne łby wilków, błyskające zielonymi ślepiami. Woda pieni się i pryska, a od brzegu dolatuje wycie zgłodniałych bestyj, szczękających krwi chciwymi zębami.

Jeleń już drugiego dopływał brzegu, kiedy nagle wilki pozostałe na lądzie wyć przestały i przejęte jakąś nieznana trwożą w jednej chwili pierzchnęły.

— Co to jest? czego się one zlekły? zagadnął niespokojnie Hiszpan. Ale dalsze zapytania skonały mu na ustach, gdyż niespodziany obraz rozłożył się przed oczyma myśliwych.

— Schylcie się! schylcie, na miłość Boską! krzyknął przerażony Kanadyjczyk. Indyjanie polują i w tej chwili tu będą.

Stado dzikich koni pędziło czwałem w największej trwodze ku brzegowi, ścigane przez jeźdźców indyjskich, którzy oklep, z przykurczonymi niemal pod brodę kolanami, gnali jak wicher. Z początku było ich trzech tylko, potym pięciu, nareszcie przeszło dwudziestu.

Jedni, wstrząsając podniesionymi dzidami, pędzili za końmi; drudzy, wywijając w powietrzu rzemiennymi arkanami, wyli przeraźliwie. Hiszpan wzrokiem pytał doświadczonego Kanadyjczyka, który z wybladłą twarzą, zimnym potem okryty, śledził z po za gąszczu ruchy Apaszów. Grobowa cisza zaległa kępę; zdaje się, że trzej myśliwcy tłumią oddech, lękając się,

ażeby go Indyjanie nie usłyszeli. Jakkolwiek step przerzynały liczne wąwozy, mnóstwo zaś wzgórków i kolczaste kaktusy utrudniały niezmiernie jazdę, mimo to jednak dzielni jeźdźcy indyjscy sadzili tak łatwo, jakby go aksamitna zaściełała murawa. Nie wstrzymując na chwilę rozognionych rumaków, z szaloną odwagą, szydząc z niebezpieczeństwa, niby śpiżowe centaury przebywali wszystkie zawady. Trzej biali z żywym współczuciem śledzili każdy ruch Apaszów, podziwiając ich nieporównaną zręczność.

Widownia ożywała się coraz bardziej, po obu brzegach wzmagala się wrzawa; na południowym wysilony jeleni dobywał sił ostatka, ażeby ująć przed zgłodniałymi wilkami; na północnym tętniły dzikie konie, rżały rumaki Indyjana, a wrzask Apaszów nie ustępował wcale wyciu wilków.

— Cudowne! przypyszne! szeptał w zachwyceniu najmłodszy z trzech łowców Meksykanin, będący po raz pierwszy świadkiem łowów indyjskich.

— Wolałbym tych cudów wcale nie widzieć, mruknął ponuro Kanadyjczyk.

— Niech nas Bóg uchowa od podobnych piękności, rzekł smutno Hiszpan; jeżeli te czerwone djabły dostrzegą nasze ślady, będzie nam daleko gorzej, aniżeli temu wspaniałemu jeleniowi którego za chwilę wściekle wilki rozszarpią.

Wtym Indyjanin zdobny pękiem czarnych piór, w czuprynie utkwionych, a prawdopodobnie wódz gromady Apaszów, wstrzymał konia. Przez chwilę stał jak posąg, wlepiwszy wzrok w ziemię, a potem rzuciwszy cugle jednemu z młodych towarzyszy, skoczył z konia, i patrząc bystro przed siebie, szedł nie zatrzymując się aż na brzeg, z którego myśliwcy puścili się ku wyspie.

Serce Kanadyjczyka uderzyło gwałtownie, a krew o mało mu z twarzy nie trysła... ścisnął za ręce swych towarzyszków i wzrokiem pokazał Apasza.

Wódz skinął ręką i jakby czarem łowy ustały. Wojownicy otoczyli go w koło, słuchając cichego szeptania i przyglą-

dając się śladom. Po chwili pięciu Indyjan popędziło cwałem na północ.

Tarcza słoneczna już dotykała krańca stepu, rzucając krwawy blask na wierzchołki trzcin zarastających kępę, na której tak uroczysta cisza panowała, jak w owych chwilach, kiedy nad brzegami Gili same tylko zamieszkiwały bawoły. Cisza ta jednak nie zdołała omamić doświadczonego wodza Apaszow, postąpił on ku brzegowi, a złożywszy w krąg dłonie, przyłożył je do ust i silnym głosem zawołał:

— Niech biali wojownicy podniosą się z swego legowiska. Czarny Sokół i dzielni Apaszowie, którym dowodzi, są przyjaciółmi białych.

— Niech cię piekło pochłonie z twoją przyjaźnią, przeklęty sokole, mruknął Kanadyjczyk; gdybyśmy się podnieśli, ucztowałbyś nas natychmiast tuzinem strzał.

— Cóż odpowiemy Apaszom? zagadnął cichutko Meksykanin.

— Nic, odpowiedział krótko Hiszpan.

I w samą rzecz, tylko powiew wiatru szeleszczący trzcina był odpowiedzią na przemowę Czarnego Sokoła.

Po kilku minutach wódz indyjski zawołał powtórnie:

— Orzeł może w powietrzu ukryć ślady swojego lotu, łosós pływający pod wodą nie zostawia na jej fałach bruzdy, lecz biały myśliwiec przebiegający stepy nie jest ani orłem ani łososiem *).

— Ani też głupcem, szepnął Hiszpan, jakimby był, gdyby zawierzył twoim słowom, chytry węże.

Indyjanin czekał przez chwilę, ale gdy i teraz nie odebrał odpowiedzi, począł znowu:

— Ślad białego łatwiejszym jest do odkrycia, aniżeli tropy bawołu. Indyjanin pozna z nich, czy zwierz jest tłusty czy chudy, w którą pobiegł stronę i jak dawno przeszedł tędy. Ale Czarny Sokół jeszcze dokładniej opowiedzieć może o trzech

*) Indyjanie północno-amerykańscy używają zwykle w swjej mowie malowniczych obrazów i przenośni.

białych myśliwcach, którzy kryją się na wysepce zielonej. Najstarszy z nich jest strzelcem z północy, silny jak bawół i o półtorą głowę wyższy od zwykłych ludzi; średni, krępy, o szerokich barkach, przybył z za odległych mórz; najmłodszy, gibki jak trzcina wodna, za którą się kryje, zręczny jak pantera, nie jednego już wojownika indyjskiego zgładził ze świata. Ale trzech białych, chociaż męźnych i silnych, cóż poradzi przeciwko dwudziestu Apaszom. Jeżeli myśliwcy są ich przyjaciółmi, niech się podniosą; jeżeli nie, krew będzie płynąć.

— Krew nasza popłynie niezawodnie, szepnął Kanadyjczyk do swoich, lecz niejednen Apasz wprzód kozła wywróci.

Wódz indyjski słuchał jeszcze przez chwilę, lecz gdy i tym razem nie odebrał odpowiedzi, wyczerpała się jego cierpliwość. Przywołał wojownika jednego, który posiadał strzelbę i rozkazał mu dać ognia do kępy. Indyjanin wypełnił rozkaz, a kula tuż przed kępą w wodę wpadła.

Czarny Sokół pogardliwym spojrzeniem zmierzył niezręcznego wojownika, a potem z niecierpliwością obejrzał się dokoła.

Hiszpan rozśmiał się i rzekł cicho: — Szukaj nędzniku, wiele jeszcze upłynie wody, zanim zdołasz w strzelby przemienić arkany i dzidy swych wojowników.

W tej chwili powróciło pięciu wysłanych Indyjan. Uzbrojeni byli od stóp do głów w tarcze, dzidy, łuki i strzelby. Ścigając za śladem dzikich koni, złożyli oni poprzednio broń na krańcu równiny, aby im w łowach nie przeszkadzała. Natychmiast pięciu innych odjechało, ażeby się także uzbroić.

— Położenie nasze pogorsza się z każdą chwilą, czy nie lepiejby było uderzyć, dopóki ich jest piętnastu? zagadnął Hiszpan.

— Jeszcze nie... dotychczas nie mają pewności, czy tu jesteśmy, odrzekł Kanadyjczyk.

Tymczasem wódz, pochwywszy strzelbę, wszedł w wodę za kolana, wymierzył i dał ognia. Kula świszcząc przeleciała tuż koło głowy Meksykanina. Natychmiast dwóch innych, idąc za przykładem Czarnego Sokola, gotowało się do strzałów.

— Tak dłużej być nie może, szepnął Kanadyjczyk, wystrzelał nas jak dzikie kaczki; trzeba tym łotrom dać nauczkę; dalej

Pedro, bierz na cel tę czerwoną małpę z czarnym piórem. Domówiwszy tych słów, podniósł strzelbę, wymierzył, a równo z hukiem jeden z Indyjan, zamierzających dać ognia, powalił się do wody, drugi legł od kuli Hiszpana, nakoniec Meksykanin celnym strzałem zgruchotał prawe ramię Apasza, który dla przypatrzenia się skuteczności ognia dwu swoich braci wjechał do wody.

Indyjanie wydali wściekły okrzyk, lecz poznawszy z wysokości czapki bobrowej Kanadyjskiego strzelca, najzaciętszego swego wroga, cofnęli się żywo po za doniosłość strzałów. Tymczasem pięciu uzbrojonych w strzelby nadjechało, a w kwadrans później wszyscy już dziecy zaopatrzeni byli w broń ognistą.

— Trzeba skorzystać z ich chwilowego przestachu i obwarować się przeciwko strzałom, zawołał stary myśliwiec. Czy nie uważałeś wiele strzelb mają czerwone skóry?

— Dziewięć, odrzekł Meksykanin.

— Ośmiu więc nie może nam szkodzić, zresztą tylko z obu brzegów strzelać mogą i z tej właśnie strony zabezpieczyć się należy.

Od południa sterczały wysoko nastroszone pnie drzewa i stąd nie groziło wcale niebezpieczeństwo; ku północnemu tylko brzegowi rosnące trzcinę żadnej nie dawały zasłony. Olbrzymi strzelec potężnym wysileniem wyrwał kilka pni, świeżo do kępy przyczepionych, i ułożył z nich rodzaj wału, mogącego wytrzymać ogień ręcznej broni. W kilka minut wszystko było gotowe.

— Patrzcież, zawołał Kanadyjczyk, zacierając ręce z radości; za tą barykadą możemy sobie leżeć jak za murem kamiennym, i tylko nas mogą osiągnąć ze szczytu drzew, ale też w tym sztuka, ażeby nie dopuścić żadnego na wierzch topoli.

— Rzecz szczególna, zauważył Hiszpan, że za każdym razem, gdyś pnie odrywał, cała kępa drżała i lękałem się, ażeby zerwana z posady nie popłynęła z wodą.

Tymczasem ostatni promyk słońca znikł po za krańcem stepu, a trzej strzelcy czuli, że teraz rozpocznie się śmiertelna walka. Kwadrans przeminął tak cicho, że oprócz mruczenia

wody nic słyhać nie było; myśliwcy zapuszczali wzrok to w brzeg przeciwny, to w szczyty chwiejących się topoli, gdyż noc zbliżała się szybko, a z nią niebezpieczeństwo coraz groźniejsze. Nadbrzeżne zarośla, tonąc w zwiększającym się zmroku, poczęły przybierać coraz dziwniejsze kształty. Strzelcy jednak, pędząc ciągle życie w pustyni, nabyli niezmierniej bystrości wzroku, a natężonym ich zmysłom nic ujść nie mogło.

— Uważaj, szepnął Kanadyjczyk, czy ci się nie zdaje, że ów krzak nadbrzeżny zmienił swój kształt i stał się znacznie szerszym?

— Tak jest, z największą pewnością, odpowiedział Hiszpan. Stary zwrócił się do Meksykanina.

— Masz wzrok wyborny, rzekł cicho, wpatrz się dobrze w tę wierzbę na prawo, zdaje mi się, że jej gałęzie pochyliły się ku dołowi.

Młodzian rozgarnął trzciny i zatopił wzrok w wskazanym kierunku.

— Mógłbym na to przysiąc, odpowiedział. Lecz widzę ja tu jeszcze jedną ważną zmianę, pomiędzy tą samą wierzbą a topolą wyrosł nagle krzak, którego tam wprzód nie było.

— Aha, rzekł stary, nasi panice przez ten czas nacięli gałęzi i porobili sztuczne krzaki, ażeby pod ich zasłoną zbliżyć się niespostrzeżenie ku brzegowi—nie przyda im się to na wiele. Wymierz-no do świeżo wyrosniętego krzaka; ty Pedro zajmij się wierzbą z zwieszonymi gałęziami, a ja zgrubiałym krzewem. W mgnieniu oka huknęły trzy strzały naraz. Udany krzak rozciągnął się na ziemi; z wierzby wypadł raniony Indyjanin, a gruby krzew załamał się przy odgłosie upadającego ciała. Strzelcy rzucili się natychmiast na wznak i poczęli nabijać.

W téjże chwili zagrzmiała salwa z brzegu, lecz kule Indyjan zgruchotały tylko kilka trzcin, nie dosięgnąwszy białych.

— Jeżeli się nie mylę, to mamy tylko z czternastoma wrogami do czynienia, tamci już nie podźwigną strzelb więcój, mówił dowódca białych, zatykając sześć gałązek w ziemię. Liczmy zabitych, aby wiedzieć, ilu jeszcze mamy żywych przeciwko sobie... Oho.., patrzajcie, jak gałęzie topoli poruszają się me-

cno; nierozsądny Apasz myśli, że się nie poznamy na jego niezręcznym wdzieraniu się na drzewo i weźmiemy to za powiew wiatru. Co za głupiec, nie ukrył się nawet po za grubym pniem drzewa. Trzeba ci dać przestrożę, mój czerwony chłopcze, żebyś na drugi raz ostrożniej się zachowywał.

I zmierzwszy w widłową gałąź, dał ognia, a Indyjanin, odbiwszy się kilkakrotnie od konarów, spadł na ziemię.

Straszliwe wycie całej bandy odpowiedziało na ten strzał wyborny; pomimo odwagi dreszcz przebiegł ciała trzech białych myśliwców.

— Któż wie, ilu ich jeszcze siedzi na drzewach? trzeba nam leżeć spokojnie na grzbietach i baczyć na wierzchołki, gdyż tylko stamtąd mogą nas dosięgnąć; jeżeli zaś dadzą ognia, trzeba udawać zabitych, ażeby przestali zasypywać nas kulami.

Zaledwo europejczycowie poszli za radą swego doświadczonego towarzysza; gdy znów strzały zagrzmiały. Kanadyjczyk zerwał bobrową czapkę i rzucił ją opodal, niby od kul indyjskich zrzuconą, a wszyscy trzej zachowali głębokie milczenie.

Okrzyk tryumfu zabrzmiał na brzegu, poczym ponowiły się wystrzały, ale mimo to na kępie panowała cisza grobowa.

— Patrzcie, oto znów jeden z tych łotrów wdarł się na drzewo, tym razem wytrzymamy ogień spokojnie, jakbyśmy byli zabici, naówczas Apasz doniesie swoim, że tylko trzy trupy białych zajmują kępę.

Wniosek ten przyjęto jednomyślnie. Trzej strzelcy leżeli bez ruchu na ziemi. Indyjanin z największą przeczornością posuwał się z gałęzi na gałąź, nareszcie dosięgnął miejsca, z którego można było przejrzeć wewnątrz wyspy. Tu najprzód wychylił ostrożnie głowę. Widok trzech rozciągniętych ciał nie zdawał się go wcale zadziwiać; aby jednak nabrać pewności, czy w samą rzecz nie żyją, Apasz usiadł na gałęzi i wymierzył na leżących strzelbę; ruch ten powtarzał kilkakrotnie, a gdy mimo to biali nie zrobili najmniejszego poruszenia, wydał głośny okrzyk tryumfu.

— Poznam ja cię, łotrze, szepnął Hiszpan, i z nasypką odpłacę twoje kocie igraszki.

— To jest Czarny Sokół, mruknął strzelec z Kanady.

Indyjanin raz jeszcze skierował wylot lufy na bezwładne ciało, mierzył długo, spokojnie, jak strzelec do tarczy, nakoniec skłonił się dać ognia. Kula zerwała kilka włosów z głowy Hiszpana, lecz gdy ten nie poruszył się wcale, Indyjanin splóźł się z drzewa i przywołał wojowników, ażeby wydać rozkazy.

W tej chwili czerwony blask wschodzącego księżyca zaigrał na zwierciadlanej powierzchni wody; piękna gwiazda nocy bladła coraz bardziej i podnosiła się coraz wyżej; godzina czasu przeszła, a najmniejszy szmer nie przerywał grobowego milczenia na brzegu. Nareszcie dziesięciu dzikich, uzbrojonych w noże i siekiery, weszło w wodę, zamierzając przebrnąć na kępę, ażeby na znak zwycięstwa zedrzyć czupryny białych strzelców.

— Indyjanie pójda jeden za drugim, rzekł Kanadyjczyk, weźmiesz pierwszego na cel, Pedro zajmie się środkowym, ja biorę na siebie przedostatniego; tym sposobem rozerwiemy ten piekielny łańcuch, a potem niechaj nóż i kordelas reszty dokona.

Tymczasem Apaszowie, milcząc, brnęli ku wyspie. Czarny Sokół postępujący na czele, doszedł w tej chwili miejsca głębszego, tak że tylko z największą trudnością mógł się najprzód posuwać; była to najlepsza sposobność wykonania poleceń Kanadyjczyka. Właśnie biali chcieli dać ognia, gdy wiedziony czy przeczuciem, czy też ujrawszy przy świetle księżyca połyskującą lufę strzelby, wódz Indyjan zanurzył się pod wodę.

— Ognia, zawołał Kanadyjczyk. Huknęły strzelby; Indyjanin przedostatni w szeregu poszedł na dno ołowiem, dwaj drudzy ugodzeni przez chwilę walczyli z silnym prądem, lecz nie zdoławszy się oprzeć jego gwałtowności, popłynęli z wodą. Strzelec z Kanady i Hiszpan, dobywszy kordelasów, oczekiwali napadu; Meksykanin tymczasem nabijał strzelby.

— Apaszów jest tylko siedmiu! zawołał Kanadyjczyk piorunującym głosem, i nie odważą się skalpować białych.

Wykrzyk ten jednak był zbyt cichym, nagłe zniknięcie wodza i śmierć trzech wojowników odebrało odwagę napastnikom. Nie uciekali jednak, lecz stanęli bez ruchu jak czarne głazy, obmywane falami rzeki.

— Pójdźcie tu psy! pójdźcie zgłodniałe wilki, zawołał Hiszpan, piniąc się ze złości; pójdźcie spróbować naszej stali, skosztowawszy ołowiu! Indyjanie, nie odpowiedziawszy słowa, skierowali się ku brzegowi.

Nagle Hiszpan dostrzegł pływającego Apasza, którego zdawał się pęd wody unosić; ale pomimo obwisłych ramion i poziomej bezwładności, rozwarte i iskrzące oczy okazywały dowodnie, że to nie trup.

— Na miłość Boską, podaj mi strzelbę, to Czarny Sokół, udający trupa. I pochwyciwszy broń, wziął na cel pływające ciało; chciał dać ognia, lecz wyjąwszy oczu, błyszczących jak ogień, można było przysiąc, że to martwe ciało nienawistnego wroga. Pedro spuścił strzelbę, nie chcąc psuć naboju, i rzekł:

— Omyliłem się.... on nie żyje...

Ale w tej chwili zdawało mu się, że Indyjanin zadrgnął. Trzykroć podnosił i trzykroć spuszczał fuzyę, nareszcie dał ognia.

— Czyś go zabił?—zapytał strzelec z Kanady.

— Nie, zgruchotałem mu tylko ramię, ażeby popamiętał długo strach, jakiego się w podobnym położeniu doświadcza.

— Lepiejbyś zrobił, gdybyś go był zabił odrazu, bo jeszcze się nam dobrze da we znaki, rzekł tamten z niechęcią. Cóż teraz pocniemy, myślałem, że się wszystko skończy, tu widzę trzeba będzie rozpoczynać na nowo. Gdybyście umieli pływać, moglibyśmy się wymknąć tym łotrom, ale około wysepki jest prąd tak gwałtowny, że nawet wprawny pływak, a zwłaszcza w nocy, nie da sobie rady.

— Jeżeli tak dalej pójdzie jak dotąd, niema się co spieszyć, wszak mamy przeciwko sobie tylko dziesięciu wrogów zdatnych do boju.

— Zdaje mi się, że się mylisz, mój Pedro. Dziesięciu weszło w wodę, a coś się stało z czterema pozostałymi na brzegu, mniemam że ich Czarny Sokół wystął po posiłki.

Tymczasem znowu cisza zaległa dokoła. Przeszło godzinę najmniejszy szelest nie przerywał milczenia, pomimo to trzej biali ze strzelbami w rękę, wytężonym wzrokiem i słuchem stali na czatach.

Nagle Meksykanin poszepnął:

— Zdaje mi się, że opodał pluszcze woda, jak gdyby w nią poruszały się zwierzęta, czy ludzie... Wszak w tej porze bawoły nie zwykły gasić pragnienia. Wymówiwszy te słowa, młody łowiec powstał i począł pilnie wpatrywać się w górę rzeki, lecz w pobliżu poczęły się już wznosić tumany mgły nocnej, rozciągając nieprzejrzaną oponę po nad zwierciadłem wody.

— Widzę tylko mgły, rzekł z niechęcią, a przecież wyrażnie plusk słysząc.

Zwolna jednak ustał szelest i znów grobowa zapanowała cisza; godzina za godziną płynęły w śmiertelnym oczekiwaniu. Księżyc już przebył znaczną część drogi i począł chylić się ku zachodowi, a gęstość białych wyziewów wzmagala się coraz bardziej.

Nagle obrońcy wyspy wstrzęśli się przejęci trwogą.

Z obu stron wyspy wzniósł się okrzyk potężny, najmniej z stu pięćdziesięciu piersi Apaszów wydany; echa skał pomnożyły jego okropność.

— Zginęliśmy, zawołał Hiszpan, wrogom przybyły liczne posiłki; trzeba było przeprawić się na ląd, póki ich było tylko dwunastu.

— Czyż nie wszystko jedno czy dwanaście, czy dwieście wilków nas rozszarpie, odrzekł strzelec Kanadyjski; zanim wyprawimy jeszcze kilkunastu do piekła, trzeba się przygotować na śmierć jak dobrzy chrześcijanie. I ukląwszy, wzniósł oczy w niebo i złożył ręce do modlitwy; towarzysze naśladowali go w milczeniu.

Nakoniec księżyc zaszedł. Z po za gęstych tumanów mgły czerwonawy blask ognisk indyjskich dawał znać, że dżicy pilnie czuwają nad swą zdobyczą i oczekują poranku, ażeby dokonać zagłady białych. Gdyby nie te ognie możnaby mniemać, że na brzegach niema nikogo, gdyż od ostatniego krzyku Indyjanie zachowali jak najgłębsze milczenie.

W miarę gęstnienia mgły, zdawało się strzelcom, że brzoogi rzeki odsuwają się coraz dalej, a ogniska zmieniały się w słabe czerwonawe światełka. Indyjskie czaty, rozstawione nad

wodą, dawno już zniknęły w nieprzezroczystej oponie, oczy ich nadaremno usiłowały przebić białe tumany, wyteżyli więc słuch, aby najmniejszego nie stracić szelestu. Przepyszny to był widok. Czaty Apaszów przy łunie ognisk, wsparte na dźbidach, wyglądały jak miedziane posągi. Od czasu do czasu przyrzucanie gałęzi na stos płonący okazywało, że to są żyjące istoty. Czarny Sokół siedział na brzegu, wsparty o pień drzewa, i iskrzącym wzrokiem starał się przebić zasłonę, po za którą leżała kępa; a chociaż zgruchotane i bandażami skrępowane ramię sprawiało mu niemało bólesci, nie zdradzał jednak cierpienia najnniejszym skrzywieniem twarzy; malowała się na niej dzika zajadłość i chęć zemsty.

Od czasu do czasu posyłał jednego z podrzędnych wodzów dla podniesienia czujności wartowników, a po wydaniu rozkazów wzrok jego zwracał się z niespokojnością ku wyspie, jak gdyby lękał się, czy mu nienawistne wrogi nie uszli.

Trzój myśliwcy na kępie z zimną rezygnacją oczekiwali świtu, mającego przynieść im śmierć męczęńską.

Nagle Hiszpan, zerwawszy się z miejsca, poskoczył do Kanadyjczyka i zawołał z wzruszeniem.

— Bracie, jesteśmy ocaleni, mam cudowny pomysł, który nas zbawić może.

— Wątpię, ażebyś cuda potrafił czynić, odrzekł starzec, wzruszając ramionami.

— Słuchaj, mówił Hiszpan z gorączkowym pośpiechem, kiedyś wrywał pnie dla zbudowania barykady, mówiłem ci, że drży cała wyspa. Z początku zamierzałem z oderwanych pni zbudować tratwę, ale myślę, że lepiej będzie połączonymi siłami całą kępę od dna oderwać. Mgła gęsta, noc ciemna, a nim błysnie poranek....

— Będziemy już daleko, zawołał, zrywając się strzelec. Oczy jego dziwnym ogniem zabłysły i łza nadziei stoczyła się po zwiędłych licach. Do dzieła! mówił, do dzieła! Wiatr ranny już zaczyna się zrywać i zapowiada świt bliski; niema chwili czasu do stracenia. I z nadzwyczajną szybkością pozbył się obuwia i sukni.

— Co czynisz, zawołał Pedro, alboż nie lepiej we trzech wzięść się do pracy; sam jeden nie podłazysz potężnym pniom kępy.

— Jeżeli ja sam nie poradzę, to i we trzech nic nie zrobimy; nasze ocalenie zależy na tym, ażeby wysepka nie rozleciała się w kawałki.

Wtym w wielkiej odległości dał się słyszeć żałosny jęk puszczyka; cisza nocy zwiększała jeszcze jego okropność.

— Przeklęty ptak, rzekł z niechęcią Hiszpan, nie cierpię jego skomlenia, bo to zawsze zapowiada nieszczęście.

— Wstydź się zabobonniku, mruknął stary, czyż nie rozpoznałeś hasła Apaszów, którym dziś spodobało się udawać puszczyka?

Zaledwie też przestał mówić, gdy z przeciwnego brzegu taki sam głos rozdarł powietrze, a wkrótce jeszcze kilka zabrzmiało wrzaskiem puszczyków, jak gdyby całe ich stado obiadło brzegi.

— Śpiewajcie sobie, moje leśne sowy, tym lepiej, nie usłyszycie mojej roboty, mówił Kanadyjczyk, zsuwając się lekko w wodę. Wkrótce wynurzył się z drugiej strony wysepki, a powtórzywszy kilkakrotne badanie, szepnął towarzyszom jak można najciszej:

— Kępa trzyma się tylko na jednym mocnym pniu, jeżeli mi się powiedzie wyrwać go z mułu, będziemy ocaleni; jeżeli nie, to wszystko przepadło.

I znowu stary strzelec zniknął pod wodą.

Nastąpiła chwila trwożliwego oczekiwania, nagle cała kępa zadrżała w posadach. Dwaj myśliwcy poculi, że olbrzym czyni ostatnie wysilenia. Naraz dał się słyszeć pod wodą głuchy trzask, jak gdyby dno okrętu gruchotało się o skałę; po chwili ukazał się Kanadyjczyk — woda strumieniem lała się z włosów i szat jego, a po twarzy spływała szeroka wstęga krwi. Jednym skokiem był już na kępie, która zwolna poczęła się w kółko obracać, a następnie lekko z prądem rzeki spłynęła, nie czyniąc najmniejszego szelestu.

— Teraz spoczywa los nasz w ręku Stwórcy, mówił zdyszany starzec, ocierając krew z twarzy. Jeżeli kępa utrzymać

się zdoła na środku rzeki, to przy pomocy otaczającej nas mgły wymkniemy się tym rozbójnikom. O Boże wszechmocny, godzina, jedna tylko godzina nocy, a wybawisz nas od najokropniejszej śmierci!

I nastąpiło uroczyste milczenie; zdawało się, że tę ciszę, brzemienne wypadkami, przerywają tylko silniejsze serc uderzenia. Nadzieja i trwoga miały nimi naprzemian. Z nieopisanym wzruszeniem śledzili każdy obrót wysepki. Dzień zbliżał się szybko, ale zimno nocne, zwiększające się zwykle przed wschodem słońca, pomnażało gęstość mgły, która bałwanila się nieprzejrzanymi kłębami.

Ogniska płonące na brzegach wydawały się zdala jak czerwone gwiazdy błedniejące w morzu purpurowego światła budzącej się zorzy. Z tej strony myśliwi nie mieli się czego obawiać, ale inne niebezpieczeństwo zagrażało im.

Kępa, jakkolwiek lekko posuwała się po wód powierzchni, ale jej pływ był bardzo powolny, wspomagany tylko ruchem wirowym. Obracając się tak ciągle, mogła zejść z prostego kierunku i przybić do jednego lub drugiego brzegu; obadwa zaś były gęsto obsadzone zbrojnymi Indyjjanami. Jak majtkowie, miotani burzliwymi bałwanami na statku pozbawionym masztów i steru, z trwogą oczekują lada chwila uderzenia o podwodne skały, tak trzej nasi strzelcy za każdym zboczeniem spodziewali się wpaść w ręce Apaszów.

Meksykanin zbladł, Hiszpan smutno pochylił głowę.

— Odwagi, odwagi, szeptał nieustraszony starzec, dopóki nie ujrzymy wierzchołków drzew rosnących na brzegu, nie ma czego rozpaczać.

— Lękam się, że je lada chwila ujrzymy, zawołał Hiszpan. Patrz, patrz, dodał, wskazując na brzeg południowy, czy widzisz?

W istocie przez oponę mglistą przebijały się niewyraźne zarysy wysokich topoli, jakby jakieś olbrzymie widma.

— Tak, rzekł wzruszonym głosem Kanadyjczyk, wychodzimy z kierunku, a ognie rozłożone na brzegu wyraźnie okazują, żeśmy nie wiele upłynęli.

A kępa coraz więcej i więcej przybliżała się ku fatalnemu brzegowi. Już jedno z ognisk powiększyło się znacznie, a przy blasku wyraźnie rysowała się posągowa postać czaty indyjskiej. Długa bawola grzywa spływała z karku wojownika, a na głowie sterczał pióropusz zwieszający się jakby z rzymskiego hełmu.

Kanadyjczyk wyciągniętym palcem wskazał towarzyszom groźnego wroga. Szczęściem mgła zanadto była gęsta, aby bystry wzrok Apasza mógł przedrzeć jój tumany. Naraz Indyjanin wstrząsnął gęstą grzywą, wbił dzidę w ziemię, schylił się, przyłożył ręce do oczu, jak to czynią ludzie chcący coś rozpoznać w ciemności.

Zbiegi zadrżeli, ciała ich zmartwiały; zaledwie odważyli się oddychać, śledząc szpiegującego Apasza.

Wtym Apasz poskoczył ku brzegowi i zniknął. Straszna chwila oczekiwania zdała się wiekiem zwątpiałym strzelcom. W kilka minut potym rozległ się donośny krzyk puszczyka, wreszcie wszystko ucichło. Znać nie było znaki trwogi, ale zwykłe czat nawoływanie. Dziki powrócił do ogniska, a wyrwawszy z ziemi utkwioną dzidę, przybrał dawną postawę.

Ale niebezpieczeństwo nie przeminęło wcale, gdyż coraz bardziej przybliżali się ku brzegowi.

— Jeżeli tak dalej pójdzie, szepnął stary strzelec, to za pięć minut Apasze rozpoczną z nami śmiertelny taniec.

Hiszpan nie odpowiedział, lecz rzuciwszy gałązkę na wodę, z największą niespokojnością śledził, w jakim popłynie kierunku. Gałąź kręciła się parę minut w miejscu, ale potym spłynęła na środek rzeki. Strzelcy zamienili radosne spojrzenia. Wkrótce też i kępa podążyła za gałązką. Opony mgliste po obu stronach stawały się coraz nieprzezroczystszymi, a silny prąd wody poniósł wysepkę środkiem koryta.

Wśród trwogi i nadziei upłynęła dobra godzina. Dawno już ogniska indyjskie zniknęły w wyziewach. Strzelec z Kanady stanął teraz na tylnym końcu wysepki, a wyłamawszy dużą gałąź, zaczął nią niby sterem kierować tratwę, obadwaj towarzysze wiosłowali z boku, a kępa pędem strzały płynęła

— Wkrótce już dzień zajaśnieje, mówił stary, przybijemy do brzegu południowego i puścimy się pieszo w góry, gdzie nas nie dosięgną czerwone djabły.

Skierowana na lewo tratwa wnet uderzyła o brzeg skalisty.

Myśliwcy wskoczyli w płytką wodę i połączonymi siłami rozerwali pnie składające wysepkę, spychając je na środek wody. Odbywało się to z nieporównaną szybkością, tak że w parę minut nie pozostało szczątki z zbawczego statku.

— O dzięki Ci, dzięki wszechmocny Boże! zawołał Kandyjczyk, zdejmując czapkę i upadając na kolana. Poczym powstał i rzekł:

— Najprzód! godzinę jeszcze pójdziemy łożyskiem rzeki, a jeżeli zdołamy wydostać się na góry, zanim nieprzyjaciół spostrzeże, nasza wygrana; mogą sobie wówczas ścigać za nami na koniach po urwiskach skalistych, jeżeli się na nie wydrapią.

Wędrowniacy rzeką była bardzo uciążliwą. Po trzech kwadransach drogi, brocząc nieraz do pasa, natrafili nareszcie na ujście potoku górskiego, płynącego skalistym jarem. Szli więc środkiem strumienia, wdzierając się coraz wyżej, w nadziei, że Apasze będą ich ścigać za biegiem rzeki, myśląc, że uchodzą na kępie. Kiedy pierwsze promienie wschodzącego słońca położyły wierzchołki skał, trzej myśliwcy znajdowali się już na niedostępnych wyżynach, a nad wieczorem, przebywszy grzbiet górzystego pasma, znaleźli się na koniec w okręgu przyjaznych pokoleń, kędy z trudów i niebezpieczeństw mogli wytechnąć swobodnie i natrzasać się z bezsilnej wściekłości Czarnego Sokoła, jaka go musiała ogarnąć na widok, że tak pewny i pożądany łup zdołał się wydrzeć z jego krwawych szponów.

WIELICZKA.

Wracam z *Wieliczki* zdumiona; nie, kto tam nie był, wyobrazić sobie tych dziwów nie potrafi, to zupełnie świat inny; ale będę się starała, kiedy nie można miejsca tego słowami wystawić, opisać przynajmniej odwiedziny jego.

Wieliczka, lubo dosyć porządne miasteczko, nie objawia przecież niczym skarbów ukrytych w jej łonie; kto nieświadomy mógłby przejechać przez nie, nie domyśliwszy się niczego; równie jak przechodzimy nieraz koło mędrca, nie zgadując po mało znaczącej twarzy, jakie bogactwa dusza jego mieści. Tak pod stopami mieszkańców spokojnej, prostej Wieliczki jest ogromny przestwór, jakby miasto drugie, i blisko tysiąc ludzi, o tyleż łokci w głąb ziemi zagrzebanych, kopie skarby istotnie potrzebniejsze od złota, bo wszyscy, bogaci i ubodzy, zwierzęta nawet są ich uczestnikami. Mimo podania gminu, które Ś. Kunegundzie odkrycie soli w Wieliczce i Bochni przyznaje, te kopalnie znane już były przed 1105 rokiem.

Po obu stronach gór Karpackich ciągnie się pas ogromny soli, blisko 200 mil długi, a na kilkadziesiąt szeroki. W ciągu tego pasu, gdziekolwiek sięgnąć, wszędzie soli dostrzec można; w niektórych miejscach, miasta, wsie, gaje stoją na słonej powierzchni, czasem tak mało ziemią pokrytej, że fundamenta na domy w soli kuć trzeba. W całej Europie Wieliczka pierwsze miejsce zajmuje, tak dla czystości i wielości soli, jakoteż dla wspaniałych robót podziemnych; Francya, Anglija najwięcej warzoną solą się żywią.

Otwór kopalni jest w kształcie ogromnej studni i nim zstępują robotnicy i ciekawi; zajrzawszy w tę głębiznę, którą się ma przebyć, mimowolny dreszcz przechodzi; pióro, podane do napisania nazwiska swego w księdze, ku temu sporządzonej, drży zlekka w ręku, a długie płócienne koszule, w które obiekają podróżnych, dla oszczędzenia sukien, zdają się być przypomnieniem ostatniego śmiertelnych ubioru. Jednak przemaga ciekawość i każdy mówi śmiało: „Już ja spuścić się muszę.“

Jakoż prawdziwie wszystko tu odmienne, a wszystko jednostajne; natura tak wszędzie rozmaita, w tym miejscu zawsze taż sama. Światło słońca nigdy tu nie dochodzi, pory nigdy się nie zmieniają, czy na ziemi dzień jasny, czy noc ponura, czy wiosna lubym tchem wieje, czy skwar słoneczny dopieka, czy dżdże jesienne wkroś przejmują, czy mróz ściał wszystko, tu zawsze głębokie ciemności, światłem tylko lamp i kagańców

rozjaśnione, tu ciągle powietrze czyste, chłodne, jednakowe. Na ziemi tyle niezliczonych przedmiotów, tu jeden wiecznie, wszystko co widzisz, czego się dotykasz, na czym stąpasz nawet, jest solą; bo ściany ogromne tych długich ulic, te filary wspaniałe, te schody niezliczone, te stosy bałwanów czyli beczek, te góry okrucichów, wszystko to jednego rodzaju, jednego koloru, wszystko z soli. Postać robotników, których nogi, ramiona i piersi nagie, a to żeby soli gdzie chować nie mieli, te kagańce wszędzie poprzyczepiane, nawet do tacek, którymi sól wożą, wszystko jakąś nową zupełnie krainę wystawia. Patrząc na robotników pracę, niejednego może przejść zadziwienie nad śmiałością owęj znikomęj przez się istoty, która, słabą ręką wątłe ująwszy narzędzie, porywa się na kruszenie opok, na gór obalanie. Otóż przemysłem i pracą człowiek wszystko zwycięża, bo jest w jego umyśle iskra boskiego gieniuszu.

Dotąd w kopalniach Wieliczki trzy są pięttra, lecz może z czasem i czwarte wykują; natura bowiem ich jest taka, że im głębiej posuwają górnicy swe prace, tym czystsza sól znajdują; a nigdzie jeszcze od spodu nie pokazała się woda, prócz kilku niewielkich źródeł, i te kopalnie śmiało najsuchszymi w całej ziemi nazwać można, zwłaszcza, że im głębiej, tym mniej wilgoci. W opisach Wieliczki dawnych i późniejszych czytać można różne polskie nazwiska *szyb* czyli *okien* kopalni, uczczone pamiątką wielkich królów, najślawniejszych mężów.

Czy te kopalnie doczekają się skończenia świata, czy też zawalą się wkrótce? tego sami uczeni przewidzieć nie umieją: powtarzają jednak wszyscy, że tu wielkiej baczności trzeba, ażeby dobrze podierać wiszące sklepienia; z dawnych szyb już niektóre się zapadły. Kopalnie te kilka razy uległy pożarom. Sama imaginacya wzbrania się od wystawienia sobie tego, co tam dziać się musiało w tych straszliwych chwilach; jak trudny ratunek, jak niepodobna ucieczka, a jak ten ogień samowładnie rozpościerać się musiał po tych ogromnych galeriach, wszędzie wybuchać i pożerać wszystko! W r. 1510, pisze Bielski, w Wieliczce, w górach solnych, jeden górnik ogień zapuścił, czym się wielu ludzi podusiło.

SZALONY SŁOŃ.

Od roku mieszkalem ciągle w mojej plantacyi, położonej w pobliżu Mahé *). Nudy mnie trapiły niezmiernie, gdyż oprócz Henryka Hollingwortha, towarzysza broni i serdecznego przyjaciela, mieszkającego o dwie przeszło mile odemnie, nie miałem z kim żyć, a niepodobna znów codzień odwiedzać się nawzajem.

Jednego wieczoru właśnie udawałem się na spoczynek, gdy Mausz, mój służący indyjski, przyniósł list przywieziony przez posłańca Hollingwortha. Otworzyłem go i przeczytałem co następuje:

„Mój drogi, przybywaj o świcie; w bliskości mój osady zjawił się słoń szalony, trzeba go ubić koniecznie, bo nam niezmiernych szkód narobi. Wiem, że się nudzisz piekielnie, a polowanie lubisz nad życie. Czekamy cię w wąwozie Mon-go-Hill. Sciskam cię—Twój Henryk.“

Nic nie mogło mnie bardziej ucieszyć nad te zaprosiny. Znudniałem i zleniwiałem w gorącym klimacie indyjskim. Łowy, a jeszcze na szalonego słonia, połączone z niebezpieczeństwem, miały dla mnie niezmierny powab. Wydałem natychmiast rozkazy na jutro, oczyściłem zdawna spoczywającą broń i rzuciłem się na łóżko. Ale wzruszenie odpędzało sen, który zaledwie nad ranem skleił me powieki.

Ranek był precudny, wyjechaliśmy z domu na godzinę przed świtem. Jechałem lekkim truchtem, ażeby na czas zdążyć; obok mnie biegło pieszo trzech służących indyjskich, nazwyczajonych do tego rodzaju odbywania podróży. Zanim przybędę na miejsce, należy wprzód uwiadomić czytelnika, co to znaczy „szalony słoń.“

W lesistych górach Ghats, właśnie w owym czasie, namnożyło się niezmierne mnóstwo dzikich słoni. Błąkały się one

*) Mahé, osada niegdyś francuska, dziś odstąpiona Anglii, leży na wybrzeżu Malaborskim niezbyt daleko od Kalikuta, gdzie przybił Vasco de Gama, odkrywca drogę do Indyj.

w małych stadach po lasach, a chociaż nie zaczepiały ludzi, jednakże wypadając na pola ryżowe, pustoszyły je niezmiernie. Czasami jednak, niewiadomo z jakiej przyczyny, odłączał się od stada stary samiec i, jakby wpadwszy w szaleństwo, pędził pomiędzy osady ludzkie, zabijając wszystko co mu się nawinęło na drodze. Jakaś gwałtowna wściekłość gnała go naprzód i jedynie uciebie rozjuszzonego zwierzęcia mogło położyć koniec jego rozbojom.

Zdarzało się niekiedy, że taki słoń całe wsie burzył a mieszkańców tylko śpieszna ocalała ucieczka. Jeżeli więc gdzie się ukazał taki szalony słoń, natychmiast zawiadamiano sąsiadów. Indyjanie musieli także zbierać się zbrojnie i zarządzano wielką obławę.

Na ćwierć mili od miejsca naznaczonej schadzki znajdował się dziki, romantyczny wąwóz skalisty, środkiem którego ponad bystrym potokiem szła droga; zaledwieśmy ujechali nim kilkadziesiąt kroków, gdy jeden z mych służących zatrzymał się trwożliwie i wskazał świeże tropy słonia na trawie, dowodząc, że zwierz niedawno tędy przeszedł.

— Po czym poznałeś, że to trop dzisiejszy? zapytałem go.

— Rosa w tym miejscu jest starta, a i na przyległych krzakach też samo, odrzekł Indyjanin.

— Słuszna uwaga. Może znajduje się jeszcze w pobliżu; byłaby to cudowna rzecz, gdybyśmy go mogli ubić sami, bez pomocy innych myśliwych.

— O panie! zawołał z przestraczem Mausz, on jest dziki nadzwyczaj dziki, pozabija nas wszystkich. Drudzy służący potwierdzili mowę tamtego, a z przełkniętych ich twarzy poznałem łatwo, że wcale nie mieli ochoty ubiegać się o zaszczyt odniesienia zwycięstwa nad słoniem.

— Nie lękam się słonia, mając dwururkę nabitą czterema kulami, odpowiedziałem na to, a wasze ostrzeżenia nie odstraszały mnie wcale.

W téj chwili, jakby w odpowiedzi na me wyzwanie, z bliskich zarośli dał się słyszeć głośny ryk, połączony z trzaskiem łamanych gałęzi.

— Słoń! Słoń! krzyknęli przerażeni Indyjanie i w mgnieniu oka zniknęli w gęstych zaroślach.

Muszę wyznać, że i ja miałem wielką chętkę umknąć, a mój koń podzielał widać to zdanie, gdyż wspinał się, rzucał i byłby niezawodnie pobiegł czwałem, gdybym go z trudnością nie wstrzymał. W téj chwili z gęstwiny wypadła przerażona antylopa; miałem oczekiwać, aż w ślady jój słoń wyleci? jak tu strzelać ze spłoszonego niespokojnego konia, tym bardziej, że ziemia bagnista ugiwała się pod jego kopytami, a wrazie niebezpieczeństwa niepodobna było uciekać. Obejrzałem się w koło; niedaleko stamtąd był wzgórek drzewami zrzadka porośnięty; spiąwszy konia ostrogami, za chwilą dostałem się nań szczęśliwie

Z odwiedzioną strzelbą i wytężonym wzrokiem wpatrywałem się w gąszcz. Naraz z po za obsłony liściastej ukazują się dwa kły potężne, więc to był zwierz stary; potym trąba wzniesiona w górę, niby sztandar bojowy. Nareszcie wypadł ogromny słoń, druzgocząc krzewy i małe drzewka, jak gdyby żdźbła zbożowe. Na szczęście pomiędzy nami była znaczna przestrzeń, mogłem więc wybierać przyjęcie walki lub odwrót.

— Uciekaj pan! uciekaj, póki czas! zawołał na mnie jakiś głos z góry. Wzniosłem oczy nad siebie i ujrzałem pomiędzy gałęziami ogromnego drzewa wszystkich moich służących. Jeżeli rozpocznę walkę ze słońmi, mogę być pewnym, że mi najmniejszej nie udzielą pomocy. Zanim postanowiłem co począć, słoń mnie spostrzegł i szalonym pędem puścił się prosto w tę stronę; koń, usłyszawszy tentent, zaczął się rzucać podemną; nie było rady, zeskoczyłem z niego, a zarzuciwszy cugle za gałąź drzewa, wymierzylem dwururkę. Zwierz, natrafiwszy wzgórze, zwolnił biegu, tak iż mogłem swobodniej wycelować. Nakoniec gdy się zbliżył na trzydzieści kroków, pociągam, lecz przez pośpiech zamiast za jeden, za obydwa cyngle na raz: huknęły strzały, słoń dostał w czoło, ale rany nie były śmiertelne. Ból ogłuszył na chwilę wściekłe zwierzę, ryczy straszliwie i jak szalone miota trąbą. Nareszcie rzuca się naprzód, ażeby mnie rozdeptać jak robaka. Niema innego ratunku tylko śpieszna uciecz-

ka. Rzucam się na konia i, dawszy mu ostrogę, pędzę jak strzała przez krzaki i skały, nie zważając na żadną przeszkodę.

Słudzy, spostrzegszy niebezpieczne moje położenie, poczęli wrzeszczeć z całego gardła, ażeby zwrócić na siebie uwagę rozjuszonego zwierza. Słoń staje, ogląda się i śledzi nowego nieprzyjaciela. Mausz, korzystając z tego, ciska nań kijem i uderza go w trąbę. Naówczas słoń zapomina o mnie i rzuca się z wściekłością na drzewo, między gałęziami którego siedzi Indyjanin. Pod uderzeniem ogromnych kłów i brzemieniem cielska ugina się i wstrząsa gruby pień, niema jednak obawy, aby się złamał. Kilkakrotne wysiłki zniecierpliwiają słonia; wstrzymał się na chwilę, obszedł pień w okolo, a potem zaczął raz po raz uderzać ostrym kłem w korę, usiłując zwolna pień podruzgotać.

Ochłonawszy z pierwszego przerażenia i widząc, iż zwierz przestał mnie ścigać, zatrzymałem się po za wystającą skałą; nabiłem strzelbę powtórnie, a potem podjechałem znowu ku miejscu, gdzie się słoń szamotał z drzewem, i wzięwszy go dobrze na cel, dałem ognia kolejno z obydwu luf. Tym razem strzał był lepiej wymierzony: jedna kula przeszyla oko, druga skroni. Słoń zachwiał się; usiłował rzucić się w stronę, skąd strzały padły, lecz nadaremnie — z gwałtownym trzaskiem legł na ziemię. Przybliżyłem się ostrożnie, ale znać nie było wcale obawy, bo wszyscy trzej Indyjanie opuścili już swe schronienie i otoczywszy słonia, przypatrywali się jego ranom. Słoń w kilku sekundach zakończył życie.

Nie wiem, czy który z wielkich wodzów po odniesieniu największego zwycięstwa doznał tak wielkiej radości, jak ja, widząc rozciągniętego u stóp mych straszliwego słonia. Zeskoczyłem z konia i usiadłem na trupie wroga. Indyjanie nie mogli wyjść z podziwienia i obsypywali mnie pochwałami. Rozkazałem im pozostać przy ubitym zwierzu, a sam puściłem się ku miejscu, gdzie mnie oczekiwać miał Henryk z gronem przyjaciół.

— Oj śpiochu, śpiochu! zawołał Hollingworth, ujrzawszy mnie zdaleka, od pół godziny czekamy na ciebie, a tu czas schodzi i wkrótce trudno będzie znaleźć świeży trop słonia.

— Nie lękaj się, mój drogi! Oto, odpowiedziałem wesoło, udajcie się tylko za mną, a pokażę wam o tysiąc kroków stąd świeżuteńkie ślady na rosie.

Cała gromada z wesołym okrzykiem ruszyła za mną, lecz nie jestem w stanie opisać wrażenia strzelców, kiedy im wskazałem ubitego słonia. Nie chcieli wierzyć, że go sam bez cudzej pomocy powaliłem; wyjęte kule z mózgu przymierzali do kalibru strzelby, a kiedy wreszcie przekonali się, że tak było, cały orszak obskoczył mnie i, ściskając serdecznie, winszował zwycięstwa, a zarazem uniknięcia śmierci. Odtąd nabrałem niezmiernego znaczenia między myśliwcami na całym Malaborskim wybrzeżu.

Słoń i Pszczoła.

Niechaj się nigdy słaby na mocnych nie dąsa.
Zaufana tym pszczoła, że dotkliwie kąsa,
Widząc, iż słoń ogromny na łące się pasie,
A na nią nie uważa, choć przybliżyła się,
Chciała go za to skarać. Gdy kąsać zaczęła,
Cóż się stało? Słoń nie czuł, a pszczoła zgingła.

2. Moralność i obyczaje.

REZEDA.

Wesoła, ale uważna Felunia zapytała matki:

— Dla czego kochana mama lubi zawsze stawiać na oknach te niskie zielone krzaczki w takich ozdobnych doniczkach? Wszakże w naszym ogrodzie mamy mnóstwo piękniejszych kwiatów. Radabym bardzo wiedzieć, z jakiej przyczyny ta niepozorna roślina otrzymuje pierwszeństwo?

— Prawda—odpowie matka—ta skromna roślina, zwana rezeda, nie jaśnieje ani szkarłatem wspaniałej róży, ani białością lilii, ani rozmaitością kolorów tulipanu; ale te kwiatki,

z pozoru niepowabne, obdarzone są miłym zapachem, przyjemniejszym nawet od woni róży. Aż do końca jesieni, a nawet w zimie, kiedy wszystkie inne kwiaty dawno powędzną, rezeda napelnia jeszcze mieszkanie nasze miłym zapachem. Dlatego też kwiatek ten jest wyobrażeniem cnoty cichój i skromnej, która jedynie posiada wartość prawdziwą. Taka cnota przetrwa czyny głośne, które im żywiej dopominają się chwały, tym prędzej tracą powab i zupełnie idą w zapomnienie.

Jan Chęciński.

Przysłowia.

Będzie dobre, jak złe minie.

Chcącemu nic trudnego.

Cudze ręce lekkie, ale nieużyteczne.

Do czasu dzban wodę nosi.

Jak cię widzą, tak cię piszą.

Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz; jaka praca, taka płaca. x

Kiedy trwoga, to do Boga. †

Jest to cnota nad cnotami, trzymać język za zębami.

Mądry polak po szkodzie.

Nie każdy śpi, co chrapie.

Poznać z mowy, jakiej kto głowy.

Sen mara—Pan Bóg wiara.

Prawda w oczy kole.

Oko pańskie konia tuczy.

Obiecanka cacanka, a głupiemu radość.

Trafiła kosa na kamień.

Umie za panią matką pacierz.

Wilka natura ciągnie do lasu.

Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi.

Z wielkiej chmury mały deszcz.

Z śmiechu wielkiego poznać głupiego.

Strzeżonego Bóg strzeże.

Trafiło się jak ślepój kurze ziarno.

ŚLUSARZ ZAWINIŁ A KOWAŁA POWIESZONO.

Przysłowie to używane wtenczas, gdy niewinny za występnego ukarany zostanie. W *Pacanowie* na całe miasto był jeden tylko ślusarz, a dwóch kowali. Ślusarz ukradł konia; złapany, miał wisieć; atoli ponieważ sam jeden był w mieście, przeto dla publicznej wygody, chcąc oraz prawu zadość uczynić, powieszono niewinnego kowala.

Zdarzenie z nosem.

Stał za stolikiem synek cześnika,
Gdzie kilku panów grało z sobą w ówika,
A między nimi krótki pękaty,
Jakiś szlachetka dziwniej facyaty,
Z krzywą bródką, rudym włosom
I nadzwyczaj wielkim nosem.

Chłopiec ów zrazu cichy i skromny,
Patrzy i graczy obchodzi do koła,
Gdy wtym nagle zawoła,
„Co za nos ogromny!“

Spojrzał się srogo cześnik na syna;
Przeląkł się, zadrżał chłopczyzna
I woła, wznosząc głos drżący i cienki,
„Jakiż to nosek maleńki.“

Już naówczas, jakby zjadła osa,
Zrywa się cześnik i za bat porywa;
A chłopiec z wielkim krzykiem się odzywa:
„Ten pan nie ma nosa.“

Bije więc cześnik, w całym bije gniewie,
Zda się, że chłopca chce dobić,
A biedne dziecię w swój rozpacz nie wie,
Co z tym nosem zrobić.

W różny więc sposób i woła i krzyczy,
A gniewny ojciec coraz gorzej ćwiczy.

Tak i my, co to lubimy rozprawiać,
Kiedy się z głupstwem wyrwiemy,
Chcemy się niby ratować, poprawiać,
A gorzej brniemy.

Fr. Morawski.

OGRODNIK I JABŁOŃ.

— Co ty sobie myślisz? zawołał rozgniewany ogrodnik do jabłoni, rodzisz same dziczki—kwaśne, cierpkie, obrzydliwe, do ust ich wziąć nie można, a corok to gorszel

— Śmieszny jesteś, mój człowiecze, odpowie mu na to jabłoń—sam szczepiłeś mię, a teraz dziwisz się, że rodzę niedobre owoce; siebie win, żeś się nie postarał o lepsze; ja wydaję takie jabłko, jakieś ty zaszczepił.

Gdy ci źle idzie z własnej twój przyczyny,
To na drugiego nie zwalaj swój winy.

Wł. L. Anczyc.

Chłopczyk ukarany.

Piął się chłopczyk na drzewo, co nad rzeką stało,
Bo cudzych paniczowi gruszek się zachciało.
Ale na takich sprawkach każdy źle wychodzi,
Cudza własność jest świętą, tknąć jej się nie godzi;
I nasz chłopczyk to poznał, ale już po szkodzie.
Spadł. I gruszek nie dostał, i skąpał się w wodzie.

St. Jachowicz.

POCHYŁE KŁOSY.

Tomasz wyszedł ze swoim synem Michałkiem w pole, aby zobaczyć, jak prędko będzie można rozpocząć żniwo.

—Mój ojczu, zagadnął Michaś, dla czego niektóre łodygi z kłosami są pochylone ku ziemi, a niektóre trzymają się zupełnie prosto? Zapewne proste są najlepsze, a pochyłe nic nie warte.

Na to Rolnik zerwał dwa kłosy, a pokazawszy je synowi, rzekł:

—Przypatrzyć się, moje dziecię! Ten kłos, skromnie pochylony ku ziemi, pełen jest najpiękniejszego ziarna; ten zaś, który z taką dumą trzyma się prosto, jest zupełnie pusty. Tak samo, i między ludźmi: rozumni są zwykle skromnymi, głupcy zaś jak najwyżej zadzierają swoje puste głowy.

Jan Chęciński.

Gościnność polska.

Wielkie domy za granicą,
 A w nich ciasno, choć nie ludno,
 U nas mury się nie świecą,
 A o kącik nie tak trudno.
 Ledwo człek by czasem wierzył,
 Dom niewielki—wtym gość wchodzi,
 Ot i domek się rozszerzył,
 I wnet miejsce gdzieś się rodzi.
 Przybył drugi i dziesiąty
 I nie ciasno jest nikomu,
 Wyprzągnięto wszystkie kąty—
 Coraz szerzej w małym domu.
 Zda się, że pan domu sobie
 Ścian i miejsca gdzieś przysporzył,
 A on tylko w domu tobie
 Drzwi i serce swe otworzył.
 I ta strzecha choć uboga
 Chociaż niska, przecież bliska
 Dla obcego i dla swego,
 I od Boga aż do wroga,
 Jest tam miejsce dla każdego.

A dopieroż to przyjęcie
 Jakie bywa w takim domu!
 Jak tam każdy poczezon święcie,
 Jak nie braknie nic nikomu.
 W dzień wesoło, w noc rześisto,
 Biało, gładko, potoczysto;
 Czeladź syta i okryta,
 Wszystko w czasie urządzone,
 Przymaszczone, osłodzone,
 Indyk kruchy, kapłon tłusty,
 A do tego dzban nie pusty.
 Jest czym serce rozweselić,
 Jest się wszystkim czym obdzielić.
 Choć przyjęcie najlaskawsze,
 Jest mis parę, parę dzbanów,
 Zostawionych jeszcze zawsze
 „Dla zagórskich panów.“
 Lecz gdy rzucisz stoły hojne
 I pominiesz dworską bramę,
 Ściany jakby nie te same,
 Znowu ciche i spokojne!...

Wincenty Pol.

STRUMYK.

W gorącym dniu sierpniowym, mała Zosia, szukając ochłody, usiadła z matką nad brzegiem czystego strumyka. Patrzyła z upodobaniem na kamyczki, leżące na dnie, na niebo, drzewa i kwiaty, odbijające się w spokojnej i przezroczystej wodzie. Wtym wiatr powstał, zmieszał wodę... i znikły miłe obrazy. Zasmuciła się Zosia.

—Niech ci ten widok nauką będzie, powiedziała jej matka; swój obraz niechęcy widziałas. Pókiś czysta i spokojna, póty czytać w sercu twoim można, póty w nim samo niebo się odbija; lecz skoro namiętności, gniew, zazdrość, upór powstaną w twój duszy, zmiesza się spokojność twoja, przestaniesz być czystą, nadobną i miłą.

Klem. z Tańskich Hofmanowa.

O POTRZEBIE KORZYSTANIA Z CZASU.

Próżniactwo jest nietylko szkodliwą przywarą młodości, ale obrócone w nałóg staje się na całe życie gniazdem wielu nieszczęść, zdrożności i zbrodni w towarzystwie, czego dowodzą obyczaje żyjących i dzieje wszystkich narodów. Przez nie człowiek wszystko w sobie doskonalić zaniedbuje, staje się niewdzięcznym Stwórcy i przyrodzeniu; zakopując dary ciała i umysłu, wyrasta na nieużytecznego, a częstokroć szkodliwego członka społeczności; przywyka do opuszczania i lekceważenia obowiązków, od których nikt w życiu wolnym być nie może; gotuje sobie nudę, nieodstępną całego życia męczarnię i towarzyszkę, od której uciekając, rzuca się w nałogi i roztargnienie, rujnujące jego zdrowie, majątek, a czasem uczciwość i dobrą sławę. Nie trzeba się więc dziwić, że pierwszy a surowy Ateńczyków prawodawca, Drako, położył próżniactwo w liczbie najszkaradniejszych występków i na nie jak na ojcobójstwo równe kary rozciągnął.

Człowiek z przepisu natury jest stworzeniem czynnym: jego siły i władze, raz odsklepione i wydobyte, potrzebują ruchu i użycia. Nie masz zaś biedniejszego stworzenia, jak człowiek młody i do niczego nie przywiązany. Wszystko mu się wydaje obojętne i nudne, dorywcze zabawki są tylko dla niego przemijającym roztargnieniem na zgubę czasu. Dla niego świat cały trzeba żeby się ustawicznie odnawiał i przemieniał, iżby płóche jego żądze mógł rozerwać i zatrzymać. Dla uniknienia téj przywary trzeba szanować czas i być rządnym w jego użyciu.

Jan Sniadecki.

B Ł A W A T K I.

—Ach! gdyby te zagony samymi bławatkami były zasiane, wołały na przemiany Basia i Józia, idąc z matką przez pole kłóśącym się żytem okryte! Jakby to przedziwnie było! Jakiebyśmy miały bogate wience! A tak, mały tylko uzbierałyśmy pęczek—bławatków trochę, a tych utrapionych kłóśów tyle!

— Dzieci! dzieci! odpowiedziała im matka, jakże płoche to żądanie wasze! Czyż nie wiecie, że nie kwiaty, z których nie ma użytku, ale kłosa są celem wszystkich rolnika zabiegów?

Pole do życia przyrównać można, blawatki do zabaw i igraszek, kłosa do owocu starania i pracy. Ktoby zabawom i igraszkom dni swoje poświęcił, byłby podobny temu, któryby wszystkie zagony blawatkami zasiał; czas jakiś zdawałby się widok powabny i wesoły, ale w chwili żniwa nicby do zebrania nie miał.

Kl. z Tańskich Hofmanowa.

Przypowieść wschodnia.

Do Mahometa, jako przystoi,
Ze czią przystąpił młodzian nieśmiały.
—Pomarli—rzecze—rodzice moi;
Chciej mię pouczyć, czy nie ustały
Mi obowiązki względem nich wszelkie?

—O nie! zostały cztery i wielkie:
Do Boga modły wznosić za niemi;
Długi ich wiernie spłacić na ziemi;
We czci zachować co szanowali;
Strzedz od ruiny co zbudowali!

Roman Zmorski.

R Ó Ź A.

Było to w niedzielę rano przede mszą. Anusia, straciwszy kilka godzin przed zwierciadłem, wystrojona i wymuskana, usiadła sobie na ławeczce przed domem swoich rodziców, gdzie w przyległym ogródku wykwitnął świeży krzak róży. Dwóch mieszczan, przechodząc, rzuciło wzrok na nią, a jeden rzekł:

—Ahl jaka ładna! jaka świeża, pełna i rumiana!

Anusia, biorąc tę pochwałę do siebie, uśmiechnęła się i podziękowała ukłonem za grzeczne słowa. Ale owi mieszczenie zaczęli się śmiać do rozpuku i jeden ozwał się z naigrawaniem:

— Nie o pannie tu mowa, ale o téj róży, którą téj wiosny pierwszą widzimy.

Zawstydzona dziewczyna spuściła oczy. Jakże ukaraną została za swoją próżność!

Lucyan Siemieński.

CUDOWNE ZIELE.

Dwie służące wiejskie szły razem do miasta, każda z koszykiem sporym owoców. Brygida ciągle narzekała, że dźwigać trzeba było kosz tak ciężki; Kasia zaś śmiała się i żartowała.

— Nie wiem, skąd ci ta weselość? zapytała pierwsza; przecież ani twój koszyk nie jest lżejszy od mojego, ani ty nie jesteś mocniejsza odemnie.

— Bo nie wiesz, odpowiedziała Kasia, że ja włożyłam w mój koszyk trochę pewnego ziele, które go czyni tak lekkim, że prawie w rękach go nie czuję.

— Doprawdy? zawołała Brygida—to musi być jakieś cudowne ziele? O bardzoby się i mnie przydało. A jakże się ono nazywa?

Kasia rozśmiała się i rzekła:—Chcesz je poznać? możesz je nawet łatwo posiadać. Jestto chęć dobra i cierpliwość, przez które każda praca staje się łatwiejszą, każdy ciężar lżejszym.

J. Chęciński.

PODRÓŻNY I WOŹNICA.

Pewien młody człowiek, wysłany z miasta na wieś, spotkał woźnicę, który na drodze pełnej kamieni niemiłosiernie gnał konie.

— A czy ja stanę w mieście przed nocą? zapytał woźnica podróżnego.

— Staniesz, odpowiedział, jeżeli nie tak prędko będziesz jechał.

— A to głupi człowiek! rzekł do siebie woźnica i popędził jeszcze bardziej konie.

Nad wieczorem posłaniec ów, wracając tą samą drogą, napotkał woźnicę w wielkim kłopotcie; jedno koło złamało mu się u wozu, a koń jeden ciężko okulał.

— A nie mówiłem ci, rzekł do woźnicy, że jeżeli chcesz ściągnąć na noc do miasta, trzeba ci jechać wolniej?

St. Jachowicz.

P o d r ó ż n y.

Arab jeden, gdy mu noc w podróży zapadła,
A był dwa dni, wśród stepu, bez wody, bez jadła,
Postrzegł worek na drodze. Wziął rozweselony,
A w blasku gwiazd chcąc widzieć, czym był napełniony,
Jęknął i rzekł, niezmierną boleścią przejęty:
— Jam rozumiał, że kasza, a to dyamenty!

Ign. Krasicki.

W ó z z s i a n e m.

Przy powrozie, na mrozie,
Wielki ciężar konie wlekły.
Węc sobie rzekły:
Aby naszą pracę skrócić,
Starajmy się wóz wywrócić.
I tak się stało.
Siano się w wodzie zmaczało.
Ale czego nie dociekły,
Cięższe, bo zmokłe do domu przywlekły,
A nim wyszło, bywszy w wodzie,
Pracowały trzy dni w głodzie.

Ign. Krasicki.

KORZYŚCI DOBREGO WYCHOWANIA I NAUKI.

Pewnego dnia przechadzał się Julek z matką po ogrodzie i ujrzał ogrodnika, który od rana obcinał, oskrobywał i szczepił drzewa.

— Mamo! rzekł Julek, dla czego ten ogrodnik zadaje sobie tyle pracy? Widziałem przecież w lesie tyle drzew rosnących swobodnie, a nikt ani ich obcina, ani szczepi, ani oskrobuje, ani podlewa.

— Prawda, mój synu, odpowiedziała matka, jednakże między leśnymi a ogrodowymi drzewami wielka jest różnica.

— Jakażto różnica? zapytał Julek.

Matka, zamiast odpowiedzi, urwała kwiatek z klombu i owoc z drzewa i podała oboje synowi. Julek wziął owoc, skosztował i powiedział, że smaczny; powąchał kwiatek i oświadczył, że pachnie przyjemnie. Poczym poprowadziła Julka do blizkiego lasu, zerwała kwiatek polny i podniosła owoc leżący pod dziką jabłonką. Julek powąchał kwiat, lecz nie poczuł w nim zapachu; skosztował owocu, lecz zaraz rzucił go na ziemię, mówiąc, że cierpki i twardy.

— Teraz przekonaj się, mój synu, rzekła matka, i pamiętaj, że człowiek bez wychowania i nauki jest jak dzikie drzewo, jak kwiat polny. Kwiatek ten, lubo piękny, nie ma woni; drzewo to wydaje owoc, ale cierpki. Dobrze wychowany człowiek jest podobny do drzewa starannie szczepionego, które słodki i smaczny owoc wydaje.

Lucyan Siemieński.

KRĘTE ŚCIEŻKI.

— Dla czego ojcie, wszystkie prawie ścieżki, tu wydeptane, są kręte? mówił syn do ojca, chodząc z nim po górach i polach; mnie się zdaje, że prosta droga—najkrótsza.

— Mój synu, odpowiedział ojciec, jedni tak wydeptali te ścieżki dla wygody, przez lenistwo, chcąc kamień, rów, wzgórek ominąć; drudzy tak uczynili przez nieuwagę, nie patrząc na cel, do którego dążyć byli powinni; szli to w lewo, to w prawo, i tych zapewne najwięcej się trafiło; ich torem reszta poszła. — Tak i ludzie w wędrówce swojej do szczęścia czynić zwykli. Jedni przeszkód i trudów, na prostej drodze będących, nie chcą pracą i stałością przewyciężyć; wolą je przebiegami, dowcipem ominąć, i krętymi idą ścieżkami. Drudzy, nierozmyślni, udają się, gdzie ich oczy prowadzą, i tak z prostej zbaczają drogi.

—Synu mój, nie idź wydeptanym przez nich śladem, strzeż się manowców, trzymaj się drogi prostej, a najprędzej dojdiesz do celu.

Klem. z Tań. Hofmanowa.

Radziwiłł Sierotka.

Niegdyś żył w Litwie zuchwały
I wielki pan,
Od okolicy był całej
Sierotką zwan.

Nie wierzył w mszę, sakramenta,
Ni w żaden cud;
Tylko pijaństwem czcil święta,
Bo lubił miód.

Sam mięso jadł i częstował,
Nim w wielki post;
A jeśli go kto strofował
Nie uszedł chłost.

Raz w Wielki Piątek spostrzega,
Że piękny czas;
Uderza w trąbkę, wybiega
Na łowy w las.

A za nim hajduków tłuszcza
I wiele sfór;
Z hukiem się, z trzaskiem zapuszcza
W rozległy bór.

I sarny, dziki, jelenie
Wybijają w pień;
Aż wreszcie wietzarne cienie,
Wygnały dzień.

Wtenczas myślistwo zmęczone
Zachciało jeść;
Różne mięsiwa pieczone
Pan każe nieść.

Daremnie nie jeden woła:
—Przecież to grzech!

Pan ich wygania z za stoła
Przez pusty śmiech.

Liczne szklanice wysusza,
Mówiąc do sług:
—Jeżeli słusznie nas zmusza
Dziś pościć Bóg;

Niechaj nam niezaprzeczony
Da władzy znak
I niech z półmiska pieczony
Ten wzleci ptak!

Wtym krzyk mu mowę przerywa,
Bo wstaje kur;
Pieje i w górę się zrywa
Skrzydłem bez piór.

Przelęknęła się sług gromada,
Widząc ten dziw;
Sam pan na ziemię upada,
Zaledwie żyw.

A kiedy do zdrowia wrócił,
Zmieniony był;
Próżności światowe rzucił,
Jak święty żył.

Po wielkich pielgrzymkach chodził
Odwiedził żłób,
W którym się Chrystus narodził,
I święty grób.

W puszczy o wodzie i chlebie
Żył sam bez sług,
Jak nędzarz, aż go do siebie
Powolał Bóg.

Henryk Potocki.

TRZEJ PRZYJACIELE.

✕ Nie ufaj żadnemu przyjacielowi, póki go nie poznasz.

Więcej ich jest przy obfitym stole, niżeli przy drzwiach więzienia.

Jeden człowiek miał trzech przyjaciół. Dwóch bardzo kochał, dla trzeciego był obojętnym, chociaż ten lepiej mu sprzyjał. Raz zawołany był do sądu, gdzie niewinnie ale ciężko był oskarżonym.

— Który z was, mówił, pójdzie zemną, by za mną świadczyć, bo ciężko jestem obwiniony i król się gniewa. ✕

Pierwszy przyjaciel wymówił się zaraz, że pójść nie może, bo ma inne zatrudnienia. Drugi odprowadził go do drzwi sądowych, ale tu się odwrócił i odszedł,—bał się bowiem sędziego. Trzeci, na którego najmniej rachował, wszedł za nim, przemówił i tak dowiódł jego niewinności, że sędzia nie tylko go puścił, ale i obdarzył. ✕

Trzech przyjaciół ma człowiek na tym świecie, jakże oni się zachowują w godzinę śmierci, kiedy go Bóg do sądu powoła? Pieniądz, jak najlepszy przyjaciel, opuści go najprzód i nie pójdzie za nim do grobu. Przyjaciele i krewni odprowadzą go do bramy śmierci i powrócą do swych domów. Trzecim przyjacielem, o którym najmniej pamiętał w życiu, są jego dobre czyny. One tylko pójdą za nim do tronu sędziego—one mówić będą za nimi i wyproszą mu litość i łaskę.

K. Brodziński.

Lew i Zwierzęta.

Gdy się wszystkie zwierzęta u lwa znajdowały,
 Był dyskurs: jaki przymiot w zwierzu doskonały.
 Słoń roztropność zachwalał, zubr mienił powagę,
 Wielbłądy wstrzemięźliwość, lamparty odwagę,
 Niedźwiedzie moc znamienitą, koń ozdobną postać,
 Wilk staranie przemyślné, jak zdobyczy dostać,
 Sarna kształtną subtelność, jelen piękne rogi,
 Ryś odzienie wytworne, zajęc rączne nogi,
 Pies wierność, liszka umysł w fortele obfity,
 Baran łagodność, osieł żywot pracowity.

Rzekł lew, gdy go się wszyscy o zdanie pytali:

—Według mnie, ten najlepszy, co się najmniej chwali.

Ig. Krasicki.

ZA CO BIJĄ LENIWCA.

U pewnego gospodarza służył parobek, co miał wielką ochotę do miski, a nieprzełamany wstręt do pracy. Napomnienia, groźby i prośby tyle skutkowały, jakby wdział na psa łyko. Sprzykrzyło się to gospodarzowi i razu jednego, dopadłszy bata, nuże po Stachu, bo tak było imię parobkowi.

— A za co wy bijecie! wołał parobek, płacząc, kiedy wam nic nie robię!

—Za to właśnie, odpowiedział gospodarz, chłoszcząc go z całej siły, że nic nie robisz.

Zwierciadło dziecinnego wieku.

Chciej, a będziesz szczęśliwym.

Motylek z kwiatka na kwiatek ulata
I sam ma postać kwiata;
Kąpie się w świetle, chłodną rosę pije
I mówi:—A co? nie rozkosznież żyję,
Czym nie szczęśliwy, bogaty?
Wszystkie dla mnie rosną kwiaty.

Chrzaszcz w wieczornym pływa chłodzie,
Buja sobie po ogrodzie
I na róży ściele łoże.

—Cóż? czym nieszczęśliwy może?
Czy rozkoszą się nie poję
Drzewa, kwiatki, wszystko moje.

Komarek, wśród kwiatków woni
Wieczorem za braćmi goni,
A rozkoszny i szczęśliwy
Przepływa gaje i niwy
I brzęczy sobie wesoło:

—Wszystko moje naokoło:
Przypatrz-że się temu, dziecię!
Jak rozkoszne Bóg dał życie:

Trzodka w polu, rybki w wodzie,
 Ptaszki w lesie i w ogrodzie.
 Wszystko woła: dziecię tkliwe,
 Chciej tylko, będziesz szczęśliwe!

St. Jachowicz.

SMUTNE SKUTKI NIEMĄDREGO FIGLA.

Powiatka w liście babuni do wnuczki.

Kochana Lucynko! Mama twoja, która mi wszystko o sobie i o was donosi, skarży się przedemną w ostatnim liście swoim na ciebie. Od jakiegoś czasu masz mieć szczególne upodobanie w psotach, straszeniach, wynysłach, chowaniach, słowem w tak zwanych figlach; bawi cię to i zajmuje, ale nieznośnym czyni pożycie z tobą, i już rodzeństwo i domowi mniej kochać cię zaczynają. Moja Lucynko, póki czas jeszcze, póki ta wada nie wkorzeni się w ciebie, popraw się, zaniechaj tych niemądrych żartów; tym więcéj cię o to proszę, że lękam się, aby ta skłonność nie była w tobie dziedzictwem po mnie; bo wyznać ci muszę, iż w dzieciństwie moim miałam także niesłychane upodobanie w figlach; lecz ciężko odpokutować mi je przyszło. Czytaj, jak się to stało, a zapewne poprawić się nie omieszkasz, bojąc się skutków podobnych. Trudno to dziś wystawić sobie, znając mnie starą babunią, widząc twarz moją bladą, wyschłą i zmarszczoną, suchą i nachyloną kibić, włosy białe, a zęby czarne, że ja niegdyś byłam dzieckiem i dzieckiem bardzo ładnym; twarz miałam pełną, gładką i rumianą, figurkę kształtną i okrągłą, włosy czarne, a zęby równe i białe jak perełki; przytym ja, która dziś tak pomału chodzę i tak poważnie napominam, usiedzieć nie mogłam na miejscu, wszędzie mnie było pełno, a w koncepty niemądre, w figle i psoty byłam nieprzebrana. Lubiłam osobiłwie, tak jak i ty lubisz, chować pokryjomu rzeczy najpotrzebniejsze w domu; i czas jakiś udawało mi się tak to robić, że nikt się ani domyślił. Chowałam się nie u rodziców, bom straciła ojca i matkę, jeszcze w kolebce będąc, ale u ciotki, już w wieku osoby. Ciotka była bardzo zacną, kochała mnie i, jak sobie dziś przypominam jéj słowa, prawdziwie dobrze mi życzy-

ła; ale wtedy jój napomnienia zdawały mi się zbyt ostre i częste, a czego teraz codziennie żałuję (modląc się za jój duszę przy wieczornym pacierzu), poważylam się razy kilka jój samęj wyrządzić psotę.

Tak raz wzięłam jój okulary i rzuciłam na bardzo wysoką szafę; przerzucono dom cały, ale nikomu nie przyszło na myśl tam ich szukać; ciotka powiedziała: „Musiałam je zgubić w kościele”—i kupiła sobie nowe. Pódoabało mi się to bardzo. We dni kilka książkę jój do nabożeństwa rzuciłam na szafę, potym woreczek z piędzini, nareszcie tabakierkę złotą. Wielki hałas powstał w domu zwłaszcza po tój ostatniej zgubie, i kto wie, czybym była potrafiła dochować tajemnicy, gdyby się właśnie tak nie zdarzyło, iż tego samego dnia, kiedym zarzuciła tabakierkę, jakaś przyjaciółka ciotki wzięła mnie z sobą na parę tygodni na wieś.

Za moim powrotem już wszystko było cicho, tylko nie zastałam mojej piastunki Balbiny. Pytałam się ciotki, pytałam się służących, coby się z nią stało? Odpowiedzieli mi: „Odprawiła się.”—I skończyło się na tym. Przecież długo niezmierny żal miałam po Balbinie; ona mnie wychowała od pieluch; ona rodziców moich znała, mówiła mi o nich i podobno na całym świecie ją najlepiej ze wszystkich kochałam. Jój oddalenie tyle nawet mnie odmieniło, żem już prawie wszelkich psot i figlów zaniechała i zrobiłam się rozsądną panienką.

Tak minął rok; w tój porze wypadło ciotce zmienić mieszkanie i zaczęły się przeprowadziny. Bawiło mnie to bardzo. Żadnego ładunku nie było w pokojach, wszystko przestawiali z miejsca, wszystko ruszać było można; portrety i obrazy, które widziałam od tak dawna wiszące wysoko na ścianach, teraz stały na podłodze i dotykałam się ich sukien i twarzy; za komodami, pod sofami znajdowałam różne stare zabawki i książki, o których wiecznie zapominałam. Właśnie cieszyłam się elementarzem z obrazkami, wydobytym z pod komody, i pokazywałam go ciotce, kiedy wszedł z pośpiechem służący i położył przed nami na stole zakurzone okulary, książkę, woreczek i tabakierkę. Zadrżałam, zobaczywszy to wszystko.

—Ktoż odniósł te rzeczy? zapytała się ciotka z podziwieniem.

— Nikt, — znaleźliśmy je na szafie z sukniami w pokoju kobiet.

— Któż je tam mógł zarzucić?

— Ja, ciociu—odpowiedziałam, spuszczać oczy. Już tak dawno to się stało, żem myślała, iż niebardzo łajaną będę.

— Nieszczęśliwa moja godzina! krzyknęła przeraźliwie ciotka.—Niegodziwa dziewczyno, idź mi precz z oczu! dodała, spojrzawszy na mnie surowo, i wpadła w płacz serdeczny, który długo uspokoić się nie dał. Gdy przyszła do siebie, napisała dwa listy, co się jęj rzadko trafiało, posłała potym po proboszcza parafii i po jakiegoś prawnika. Widziałam po tym wszystkim, iż stało się coś bardzo okropnego, ale nie śmiać się pytać i domysławiać się mojej w tym winy, stałam w kąci, płacząc. Przywołała mnie ciotka po chwili i tak mówiła: „Widzisz, jakie to mogą być okropne skutki dziecinnych psot i figłów. Twoja piastunka Balbina raz skłamała przedemną, nie ufałam jęj przeto zupełnie i, kiedy te wszystkie rzeczy poginęły, posądziłam ją o kradzież. Biedna dziewczyna zaklinała się z płaczem, przysięgała na niewinność swoją—wierzyć jęj nie chciałam i odprawiłam haniebnie. Może ona tam już gdzie umarła z żalu i nędzy, albo obróciła się jak najgórzej. Może już nie będę mogła wynagrodzić złego, któregoś ty przyczyną.“

Jak też byłam nieszczęśliwą, słuchając słów ciotki, wypowiedzieć nie potrafię; myślałam, że umrę z żalości, przez kilka dni i nocy ciągle płakałam. Ani przenosiny, ani nowe mieszkanie, nie przez długi czas mnie nie bawiło; zawsze mi stała w oczach moja pocziwa Balbina, chora, nędzna, pogardzona; a jak na nieszczęście, mimo wszystkich starań i nakładów ciotki, znaleźć jęj nie można było—jakby w ziemię wpadła.

Ten jęj los niewiadomy, wymówki stąd moje, gdyby kamień ciążyły mi na sercu; wyrosłam słuszną, straciłam ciotkę, poszłam za mąż, a nie było prawie dnia, żeby mi choć raz moja Balbina gorzko nie przyszła na myśl. Pojechaliśmy z mężem na zimę do Warszawy. Zaczynały właśnie wchodzić w modę kwesty po domach na szpitale, które się dotąd jeszcze

utrzymują. Panny z matkami, młode mężatki z najpierwszego towarzystwa zbierały się u szanownej kasztelanowej Połanieckiej i tam wyciągały na losy, w której części Warszawy zbierać pieniądze mają. Mnie wypadło *Stare Miasto*. Młoda, żywa, obchodziłam pilnie najciaśniejsze uliczki, najwyższe piętra; i jak dziś pamiętam, na Zapiecku, w małym i brudnym podwórku, na czwartym piętrze, w izdebce odrapanej, na barłogu, zesłaliśmy kobietę chorą i w takiej nędzy, że widzieć ją trzeba było, aby w nią uwierzyć. Nie stara jeszcze, ale wyżółkła, chuda,—zdawała się w ostatnim stopniu suchot. Zamiast prosić ją o składkę, właśnie dobywałam z własnego woreczka kilka złotych, chcąc poratować ją, kiedy tymczasem przemówiła.

Głos jój, lubo zmieniony i słaby, obił się dziwnie o moje uszy, i natychmiast przysła mi na myśl moja Balbina. Jakoż ona to była! Odprawiona przez moją ciotkę i posadzona o kradzież w Krakowie, gdzieśmy mieszkali, nigdzie miejsca znaleźć nie mogła; powędrowała więc do Warszawy, ale i tam dziewczyny bez zaświadczenia, obdartej, bez grosza, nikt przyjąć nie chciał; puszczała się przeto na żebranię i tak wlokła nędzne życie, odpychana, łajana, wzgardzona, póki nie zachorowała na duszność w piersiach. Wtedy jakaś rzeźniczka ulitowała się nad nią i pozwoliła jój mieszkać darmo w owój izdebce, gdzie ją zastałam; piekarz z tego samego domu dawał jój co tydzień bochenek chleba, czasem trochę mléka wyżebrała u mleczarek, kiedy się zwlokła na ulicę; i tak żyła już kilka miesięcy, wyglądając śmierci. Mówiła mi, że długo miała przekonanie, iż później czy prędzej wykryje się jój niewinność, ale gdy minęło lat piętnaście z górą, wątpić zaczęła, i niemało to powątpiewanie do jój choroby się przyczyniło.

Wieleby pisać trzeba, kochana Lucynko, chcąc ci wystawić wiernie wszystkie uczucia moje w czasie tego opowiadania; odgadniesz je łatwo i daj ci Boże, abys nigdy podobnych nie doznała! Pojmiesz także snadnie, ilu starań dołożyłam dla wynagrodzenia jakiegokolwiek pocziwój Balbinie tego, co wycierpiała z mojej przyczyny, jak serdecznie wypowiadałam się przed nią, i ze łzami błagałam przebaczenia. Bóg miał wzgląd

na żal mój szczerzy; Balbina zupełnie wyzdrowiała. Przez lat dwadzieścia była w naszym domu, nie jako sługa, ale jak przyjaciółka; na rękach moich, błogosławiąc mnie, umarła; ja sama zamknęłam te oczy, które przezemnie tyle się napłakały, i pochować ją kazałam w naszym rodzinnym grobie. Przecież nie-raz jeszcze mi się wydaje, iż nie dosyć dla niej uczyniłam i wymawiam sobie jej piętnastoletnie cierpienia. Bo nie mo- cniiej nie ciąży na sercu, jak krzywda bliźniego, i usilnie starać się powinniśmy unikać wszystkiego, co ją sprawić może.

Ileżto jest ofiar niesłusznego posądzenia, które gorzej jeszcze od mojej Balbiny wychodzą! Iluż osobom zdarzyło się skrzyw- dzić kogo, a nie móżd wynagrodzić!

Przyjmij te uwagi, kochana Lucynko, i niech ci na dobre posłuży przykład twojej przywiązanej Babuni.

Klem. z Tańskich Hofmanowa.

Dziecię i płomień.

Dziccina, niemająca jeszcze doświadczenia,
Ujrzała piękny połysk jasnego płomienia.
Napiera się koniecznie, o skutki nie pyta
I, pomimo ostrzeżeń, chciwą rączką chwytą.
Zadrży złękniona matka, łza błyska na twarzy....
Na to ojciec:—Nie szkodzi, że się dziecię sparzy,
Zobaczysz, jak paluszki schowa przed płomieniem.
Pozwólmy, niech mądrzeje własnym doświadczeniem.

Stan. Jachowicz.

S i e r o t a .

Kuje zuzula, kuje siweńka
Po sadzie latający,
Płacze dziewczyna, płacze młodzieńka
U ludzi chorujący.
Bodaj zuzula, bodaj siweńka
Już więcej nie kowała,
Ej wykowała ojca, mateńkę
I ja sierotą została.

Ej wykowała ojca, matkę,
 Wykujże i mnie samę,
 Niech ja po swoim ojcu, matce
 Sierotą nie zostanę.

Zygmunt Gloger.

Do zdrowia.

Szlachetne zdrowiel!	Także wiek młody
Nikt się nie dowie,	I dar urody,
Jako smakujesz,	Miejsce wysokie,
Aż się zepsujesz.	Władze szerokie,
Tam człowiek prawie	Dobre są—ale
Widzi na jawie	Gdy zdrowie wcale.
I sam to powie,	Gdzie nie masz siły,
Że nie nad zdrowiel	I świat niemiły.
Ani lepszego,	Klejnocie drogi,
Ani droższego.	Mój dom ubogi,
Bo dobre mienie,	Oddany tobie
Perły, kamienie,	Ulubuj sobie.

Jan Kochanowski.

Modli się pod figurą, a ma djabła za skórą.

Wyraz figura znaczy w tym miejscu obraz Stwórcy, Świętego, lub krzyż prosty drewniany, które pospolicie u nas w Polsce przy wioskach lub na rozstajnych drogach stawiają. Całe to przysłowie określa dokładnie obłudnego świętoszka, co tylko dla oka ludzkiego wznosi modły do Stwórcy, a wewnątrz myśli o zgubie współbraci. Tak go określił Krasicki w jednej satyrze:

Paweł trzech mszy słuchał,
 Zmówił cztery różańce, na gromnice dmuchał,
 Wpisał się w bractwa wszystkie, dwie godziny klęczał,
 Krzywił się, szeptał, mrugał, i wzdychał, i jęczał,
 A pieniądze dał w lichwę.

Przysłowia.

Bąki strzela.

Czego oko nie widzi, tego sercu nie żal.

I strzyże i goli.
 I wrony nań kraczą.
 I baba śmielsza za murem.
 Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.
 Kto śmie zelgać, śmie i ukraść.
 Komu szczęście dogadza, tego w głupstwo wprowadza.
 Kto z dobrych szydzi, tym się Bóg brzydzi.
 Lepszy łut szczęścia niżli funt rozumu.
 Ma się jako pączek w maśle.
 Nie uciecze co się odwlecze.
 Nie wszystko złoto co się świeci.
 Na święty nigdy.
 Nie rada koza na targ—ale musi.
 Nie utonie co ma wisieć.
 Nikt nie jest bez *ale*.
 Nie straszny nagiemu rozbój.
 Nie da sobie w nos dmuchać.
 Najciężej począć.
 Odął się by półtora nieszczęścia.
 Pańska choroba—ubogiego zdrowie.
 Patrz skąd wiatr wieje, tedy cię deszcz nie zleje.
 Starszy Pan Bóg, niż Święty Marcin.
 Trafiła kosa na kamień.
 Trudno mądrego oszukać.
 Trudno mur głową przebić.
 Ukazuje gruszki na wierzbie.
 Według stawu grobla.
 Większy huk, niżli puk.
 Więcej Bóg ma, niżli rozdał.
 Wygląda by szczurek z mąki.
 Znać ptaka po głosie.
 Z wielkiej chmury mały deszcz.
 Znam cię ziółko, żeś pokrzywka.
 Zły to ptak, co swe gniazdo plugawi.
 Znać dobrze po mowie, co się dzieje w głowie.
Z przypowieści polskich—zebrał S. Bysinski.

SYN MARNOTRAWNY.

Jezus lubił najwięcej w przypowieściach swoje Boskie nauki wykladać. Te przypowieści są skarbcem prawd najdroższych. Mogą być rozumiane przez prostych i mędrców, a wiele do myślenia dają. Otóż jedna z tych przypowieści: Człowiek niektóry miał dwu synów. I rzekł młodszy z nich ojcu: Ojcze, daj mi część majątności, która na mnie przypada. I ojciec rozdzielił im majątność. A po niewielu dniach, zabrawszy wszystko, młodszy syn odjechał w daleką krainę i rozproszył tam majątność swą, żyjąc rozpustnie. A gdy wszystko utracił, stał się głód wielki w onęj krainie, i on począł niedostatek cierpieć. Poszedł i przystał do jednego obywatela onęj krainy. I ten posłał go do wsi swojej, aby paś wieprze. I radby był nasycić się strawą tych wieprzów, ale nikt mu nie dawał. A wszedwszy w siebie, rzekł: Jak wielu najemników w domu ojca mego mają dosyć chleba, a ja tu z głodu umieram. Wstanę i pójdę do ojca mego i rzeknę mu: Ojcze! zgrzeszyłem przeciw niebu i przed tobą. Jużem nie jest godzien być zwany synem twoim, uczyni mnie jako jednego z najemników twoich. A wstawszy, szedł do ojca swego. A gdy jeszcze był daleko, ujrzał go ojciec jego i miłosierdziem ruszony, przybieżał ku niemu i ścisnął go. I rzekł mu syn: Ojcze! zgrzeszyłem przeciw niebu i przed tobą; jużem nie jest godzien być zwany synem twoim. I rzekł ojciec do sług swoich: Rychło przynieście pierwszą szatę i obłeczcie go; a dajcie pierścien na rękę jego i obuwie na nogi jego. I przywiedźcie cielca utuczonego i zabijcie, a jedźmy i używajmy. Albowiem ten mój syn umarł był (dla mnie), a ożył, zginął był — i znalazł się. Jakże tkliwą jest ta radość i dobroć ojca dla syna, który już sam o sobie wszelką był tracił nadzieję! Ale Bóg czyż nie jest nierównie miłosierniejszym dla grzeszników, którzy prawdziwie pokutują? Niedosć mu na tym, że przebacza winnemu, ale jeszcze sam raduje się z nawrócenia onego. Ktokolwiek, oddaliwszy się od tego Ojca, rzucił się na rozpustę i roztargnienie, niech z żalem szczerym wróci do niego, a zawsze znajdzie w nim Ojca.

A starszy syn był w polu wtenczas, gdy przybył brat jego. A gdy przychodził i zbliżał się do domu, usłyszał muzykę i tańce. I przyzwał jednego ze służebników i spytał, coby to było? A on mu powiedział: Brat twój przyszedł. I zabił ojciec twój cielca utuczonego, iż syna zdrowego dostał. I rozgniewał się ów brat i nie chciał wejść. A tak ojciec jego, wyszedszy, począł go prosić. Ale on rzekł: Oto tak wiele lat służyę tobie i nigdy nie przestąpił przykazania twój, a nigdyś mi nie dał koźlęcia, ażebym używał z przyjaciółmi moimi. Ale gdy przyszedł ów syn twój, który z nierządny mi majątność swoją rozproszył, zabiłeś mu utuczonego cielca. — Synu mój! odpowiedział ojciec, tyś zawsze jest zemną, i wszystko moje, twoje jest. Ale należało używać i weselić się, iż ten brat twój był umarły, a ożył, zginął był, a znalezion jest.

Nie możemy sobie przyznać téj chluby, abyśmy, jak ów syn, który nigdy przykazań ojca swego nie złamał, zawsze wolę Ojca niebieskiego pełnili. Ale jakkolwiek sami jesteśmy godni litości, jednak częstokroć surowo błędy bliźnich naszych sądzimy. Strzeżmy się owego syna, który dumny ze swego posłuszeństwa, tyle się twardym dla brata okazał. Miejmy raczój ducha miłości i miłosierdzia i bądźmy takimi, jakim był ten ojciec, albo raczój, jakim jest zawsze spólny nasz Ojciec niebieski.

P y t a n i a .

Czym są dla nas przypowieści Jezusa? Jaką powiedział Jezus przypowieść o marnotrawnym synu? Czego jest syn ten obrazem? Jakim się okazał tu starszy brat i co mu ojciec odpowiedział?

Czego strzedz się powinniśmy w sądzeniu drugich, a jakimi dla nich być powinniśmy? Gdzie w téj przypowieści syn marnotrawny robi rachunek sumienia? Gdzie żal za grzechy? Gdzie mocne postanowienie? Gdzie spowiedź? Gdzie zadośćuczynienie?

Kaź. Brodziński.

W a l u ś .

Długo Waluś pieniędzy oceniać nie umiał;
Co mu dano, to przesumiał;

A chociaż nie raz pieniądź dostał mu się wielki,
Poszedł zaraz na ciastka, pierniki, karmelki.
Raz z ojcem, na przechadzkę, wychodzi wieczorem.
Zgięty, z ciężkim na plecach idzie starzec worem.

—Kupcie piasku! głośno krzyczy.

Nikt sobie nabyć nie życzy.

Pot starcowi płynie z czoła;

Coraz głośniej z płaczem woła:

„Tanio sprzedam, to się przyda.

Ach! widzicie jaka bięda!

Ledwie dźwigam, sił nie staje.

Wszak za marną cenę daję.“

Biada nieszczęsnym! biada!

Nikt do niego nie zagada.

W nieczym sercu czucie się nie wzbudzi,

Jakby nie człowiek przemawiał do ludzi.

—Kupmy, rzekł Waluś, choć nam nie potrzeba,

Będzie miał biedny starzec na kawałek chleba.

Wszak on pracuje pocziwie.

Jakże się tym ludziom dziwię,

Co jakby byli bez serca, bez duszy,

Los ich bliźniego nie wzruszy!

Kupili. Wtedy ojciec uwagę mu zwraca:

Jak na pieniądź ciężka praca;

Jakić ceny kilka groszy,

Co zbytek w chwili rozproszy.

Odtychczas Waluś dobrze używał pieniędzy,

Wspomagał jęczących w nędzy,

I gdy miał kilka groszy wydać na łakocie,

Wspomniał, jak ciężki pieniądź, i co winien cnotcie.

St. Jachowicz.

OFIARA WDOWY.

W ostatnich dniach swoich Jezus siedział w Kościele blisko skarbnicy, gdzie wierni ofiary swoje składali. Wielu bogaczy rzucało dary odpowiednio możności swojej. A między nimi była wdowa ubogo ubrana, która dwa drobne pieniążki rzuciła. Nie sądziła, aby kto na nią patrzył, chyba z nieba wszystko widzący. Ale Jezus, czytający wszystko w sercu człowieka,

ujrzał większą wartość jęj jałmużny, niżeli bogaczów. I rzekł uczniom swoim: Zaprawdę, powiadam wam, iż wdowa ta uboga więcej wrzuciła niż wszyscy inni. Albowiem ci wszyscy z tego, co im zbywało, wrzucili do darów Bożych, a ta z tego, co jęj nie dostaje: wszystką żywność, którą miała, włożyła.

Pocieszającym jest, że Bóg patrzy najwięcej na chęci pobożne i że widzi to, czego ludzie nie widzą i widzieć nie chcą. Dobra chęć, pokora i ufność, pieniędzy w ofierze niosąca, więcej waży niż dary najbogatsze, z dumą i z zimną próżnością rzucane. Jaka dla biednych pociecha, jaka dla bogatych przestroga, jaka dla wszystkich zachęta!

Pytania.

Skąd Jezus poznał, co się działo w sercu wdowy? i jaką ona zrobiła ofiarę? Jaką przytym Pan Jezus powiedział naukę? Na co w czynach ludzkich Pan Bóg patrzy najwięcej. Czego strzedz się trzeba w uczynkach miłosiernych?

Kaź. Brodziński.

Uboga wdowa.

Zbogacom łupami wojny,
Ozdobiony wieńcem chwały,
Przedsięwziął pan bogobojny
Wznieść Bóstwu kościół wspaniały.
Ledwo piękna myśl błysnęła,
Natychmiast miejsce zakreslił,
Rączy się bierze do dzieła
Mienić w skutek co zamyslił.
Piękna praca, zewsząd do niej
Tysiące się ludu zbiega,
Hurgot wozów, tentent koni
I huk młotów się rozlega.
Jak laską zaczarowaną
Wydarte z głębi natury,
Z szybkością nieporównaną
Piętrzą się wspaniałe mury.
Ucieszon postępy tymi
Nagroda bogacz zachęca
I chlubi się przed wszystkimi
Jak wiele Bogu poświęca.

W ustroni wdowa uboga,
Okryta odzieżą lichą,
Widząc gmach na chwałę Boga,
Łzę tylko roniła cichą.
Tylko się jęj myśli wiły
O kościele i o złocie,
Lecz w niezgodzie z chęcią siły
Krajały serce sierocie.
Bóg, co widzi myśli skryte,
Serce nad wszystko ocenia,
Pociesza biedną kobietę,
Pobożne wieńczy pragnienia.
Spuścił na nią sen przyjemny,
Błysk odwarł niebios podwoje,
Z głębi zabrzmiał głos tajemny:
„Bóg serce przeniknął Twoje.
„Chcesz woli dopełnić Pana
„I pomnożyć chwałę Bożą,
„Kup dla wołów wiązkę siana,
„Co cegłę na kościół wożę.“

Wstaje ze snu przebudzona,
 Tkwi jęj w myśli wola Pana,
 Biegnie, biegnie ucieszona
 I kupuje wołom siana.

Znowu z nieba głos słyszano,
 Aż się ziemia wstrząsała cała:
 „Milsze Bogu twoje siano,
 Niż ta świątynia wspaniała!”

St. Jachowicz.

Modlitwa podczas pracy w polu.

Boże! z Twoich rąk żyjemy,
 Choć swoimi pracujemy,
 Z Ciebie plenność miewa rola;
 My zbieramy z Twego pola.

Wszystko Cię, mój Boże, chwali.

Aleśmy i to poznali,
 Że najmiłszą Ci się zdała
 Pracującą rękę chwała.

Ty co rządysz ziemią, niebem,
 Opatrz dzieci Twoje chlebem,
 Ty nam daj urodzaj złoty;
 My Ci dajem trud i poty.

Franciszek Karpiński.

Pieśń poranna.

Kiedy ranne wstają zorze,
 Tobie ziemia, Tobie morze,
 Tobie śpiewa żywioł wszelki:
 „Bądź pochwalon Boże wielki!”

A człowiek, który bez miary
 Obsypyany Twymi dary,
 Coś go stworzył i ocalił,
 A czemużby Cię nie chwalił!

Ledwie oczy przetrzeć zdołam,
 Wnet do mego Pana wołam,
 Do mego Boga na niebie,
 I szukam go wkoło siebie.

Wielu snem śmierci popadli,
 Co się wczoraj spać pokładli;
 My się jeszcze obudzili,
 Byśmy Cię, Boże, chwalili.

Franciszek Karpiński.

3. Historya i Biblia.

LECH, CZECH I RUS.

Powiadają, że był Lech, który z braćmi swoimi: Czechem i Rusem, z horwackiej krainy przybył w te okolice, gdzie dziś stoi miasto Gniezno. Tam w lesie znalazł gniazdo orle; tu więc miasto i stolicę państwa budować począł i orła wziął do herbu państwa, a braci swoich rozesał w strony: Czecha na zachód, Rusa na wschód, aby sobie siedliska szukali. Od Czecha i Rusa poszły narody Czechy i Rusini, a Lech swojemu narodowi nadał imię Lechitów, jak dotąd jeszcze Rusini Polaków nazywają. Ale to wszystko bajka, którą bardzo późno zmyślono. Był nie jeden Lech na świecie, ale o takim przez wiele wieków nie słyszano. Wówczas, kiedy on miał osiadać, herbów jeszcze nie było, i żadne państwo herbu swego nie miało; to więc jest wymysł daleko późniejszy, kiedy już na herby patrzano. Podobnie Rusinów imię jeszcze nie nastało, kiedy owi zmyśleni Lech i Rus mieli po świecie chodzić; jest więc to zmyślenie wtedy, gdy naród ruski Rusinów imię już nosił. Oczywiście, że z nazwiska Lechitów, Czechów, Rusinów i Gniezna utworzono nazwiska: Lech, Czech, Rus i gniazdo orle i stąd całą bajkę wymyślono.

Joachim Lelewel.

Ręka lewa i prawa.

Żyćcie, dzieci, zgodnie z sobą;
 Bo zgoda najpiękniejszą rodziny ozdobą.
 Szanujcie te lube związki
 Wy kwiaty jednej gałązki.
 Wszakże codzienne widzicie,
 Jak dwie rodzone siostry zgodne wiodą życie:
 Z ręką prawą ręka lewa.
 Jedna na drugą nigdy się nie gniewa,
 Jedna dla drugiej uprzejma i szczerza,
 Jedna drugą wiernie wspiera.
 A chociaż czasem jedna z nich leniwa,
 Druga jęj, bez mruczenia, na pomoc przybywa.

Ale też za to jak piękna nadgroda!

Ta śliczna zgoda

Obydwóm niesie korzyści wzajemne;

Wiodą życie przyjemne.

Żadna się z nich zbyteczną pracą nie obarcza,

Jedna i druga ciała posiłku dostarcza,

A stąd obiedwie czerstwe mają siły,

Oby to tak rodzeństwa wszystkie z sobą żyły!

St. Jachowicz.

STAROŻYTNI POLACY.

Obyczaje naszych przodków były proste, łagodne, pocziwe. Nie chcieli byli na cudze ziemie i tym się różnili od Niemców, ale swych siedzib bronili odważnie. Podróżnego i gościa przyjmowali chętnie i stąd to stare przysłowie: „Gość w dom, Bóg w dom.“ Przed nawróceniem się na wiarę Chrystusową byli poganami i czcili dwóch bogów głównych—Białego i Czarnego. Biały Bóg dawał rzeczy dobre, a Czarny Bóg czyli czarny duch—rzeczy złe. Po śmierci człowiek szedł do nieba i stąd umarłego nazwano nieboszczykiem. Mniemali, że w niebie potrzebuje tego wszystkiego, co tu na ziemi; więc przy pogrzebie zmarłego zakopywano albo palono z nim razem broń, psy, koty, sokoły, sprzęty, a nawet sługi jego i żonę. Z tego okazuje się, że uznawali nieśmiertelność duszy człowieka.

Oprócz tych dwóch bożków starszych czcili mnóstwo mniejszych, z których każdy opiekował się jaką rzeczą. Był Perun czyli Piorun, bożek burzy i piorunów, Dziedzilia—bogini małych dziełek, Marzanna—bogini urodzajów, Jesse—bóg złych i dobrych wypadków, i wiele innych. Nad wszystkimi bożkami był jeden najwyższy, to jest władca i stwórca pioruna. Godność kapłańska i książęca łączyła się u nich nieraz w jednym człowieku; domyslać się tego można z wyrazów: książdz i książę.

Z owych czasów pogańskich pozostały tu i owdzie rozmaite gusła, zabobony i zwyczaje, a lud nie wie, skąd one pochodzą. I tak zwyczaj palenia ognia w wigilię Świętego Jana i prze-

skakiwania przez niego, który się dotąd utrzymuje między ludem wiejskim, przy śpiewach i wesołych krzykach, zwany Sobótką, był obrzędem pogańskim na cześć bożków, a dziś jest sobie pustą chłopaków zabawką. Okrężne czyli święto dożynek, dziś już zatracone, było za czasów pogańskich uroczystością religijną na podziękowanie bogom za szczęśliwie ukończone zniwa. Po zaprowadzeniu religii chrześcijańskiej zamieniło się w wiejską zabawę.

Chociaż oświaty nie mieli, lecz nie można dawnych Słowian nazwać barbarzyńcami. Oprócz wiosek i osad mieli znaczne miasta, o których jest wzmianka przed erą chrześcijańską.

Nieraz rozkopując wzgórki ułożone z kamieni, znajdujecie tam naczynia gliniane, a w nich popiół, a czasem obrączkę miedzianą; takie miejsca lud zowie żałami. Są to dawne groby pradziadów naszych, którzy, spaliwszy ciało zmarłego, popioły po nim pozostałe chowali w naczynie gliniane i zakopywali w ziemi.

Nie w jednym miejscu w kraju naszym są większe lub mniejsze mogiły, albo też stoją wielkie, wysokie czworoboczne szance, zwykle do jakiego bagna lub rzeki przytykające, i jak można poznać, niegdyś wodą w około otoczone, a w środku zakłęsłe tak że gdy tam wnijdzie człowiek, to tylko niebo nad sobą zobaczy.

Najwięcej takich szanców jest na prawej stronie Wisły, w teraźniejszym powiecie Lipnowskim, ale można natrafić na nie w Gostyńskim i w Kujawach, chociaż nie w tak wielkiej liczbie. Do tych szanców lud zbiegał się i tam bronił się przeciw napastnikom i nieprzyjaciołom.

I to jeszcze dodam, że początkowo nie wszystkie plemiona nazywały się Polakami, Czechami lub Rusinami, ale każdy szczep dzielił się na mniejsze osady, które miały swoje nazwiska. Od strony niemieckiej między Elbą i Odrą byli Wenedy, Obotrycy i Lutycy; Szlązacy nad Odrą, Chrobaci biali około Krakowa, Chrobaci czarni między Sanem, Dniestrem i Bugiem; Mazowszanie nad dolną Wisłą; Pomorzanie nad morzem Bał-

tyckim; Polanie przy Gnieźnie i Kruszwicy; Kujawianie i inne pomniejsze ludy między Wartą i Pilicą. Te wszystkie szczepy, gdy coraz bardziej Niemcy naciskali na nich, połączyły się dla wspólnej obrony i utworzyły jedno królestwo nazwane Polskim, od plemienia Polanów czyli Polaków, które rozsiadło się między Gnieznem, Kruszwicą i Poznaniem, a stąd wszyscy mieszkańcy nazywali się Polakami. Sąsiedzkie ludy zwały nas także Lachami, od plemienia Lachów, albo od wodza ich Lecha.

Fr. Sal. Dmochowski.

ŚWIĘTY WOJCIECH.

(Okolo r. 1000 po n. Chr.)

Trzeba wam opowiedzieć o tym św. Wojciechu, patronie naszym. Był on rodem Czech i w czeskim mieście Pradze Biskupem, który to urząd z wielką świętobliwością sprawował, dając ze siebie przykład najniższych posług oddawanych bliźnim i wyrzeczenia się bogactw światowych. Dochody swego biskupstwa rozdzielił: jedną część dając na kapłany i kleryki, drugą na ubogie, trzecią na poprawę kościołów i wykupno niewolników, czwartą na swoje skromne wyżywienie. Złoto miał za błoto, a rozkosze do piekła prowadzące o ziemię uderzył. Stół jego dwunastu ubogich codziennie żywił. Mimo tak anielskiego życia, cierpiał na tym niezmiernie, że po jego gorliwych kazaniach i napomnieniach, ludzie coraz gorszymi się stawali, w zbytki i w wielką rozpustę wdawali się, dzieci swe i sługi sprzedawali za niewolników, a co najgorsza, że i stan duchowny także bardzo się popsuł i nie szanował władzy swojego pasterza. Widząc to, Wojciech postanowił odprawić pielgrzymkę do Jerozolimy do Grobu Chrystusa Pana i tam wymodlić sobie poprawę grzesznego Czeskiego ludu.

Atoli, przyszedłszy do Rzymu, tam został, przekonawszy się, że łaska Boska i tam go znajdzie. Jakoż wstąpił do klasztoru i tam spełniając pokorne usługi w kuchni, ćwiczył się w miłości Boskiej, posłuszeństwie ochotnym i wielkich cnotach.

Tymczasem Czechowie, stęsknieni za świętym pasterzem, ślali doń posły, aby wracał na stolicę Biskupią. Wrócił więc, ale zastał tych samych niepoprawnych Czechów, nieświęcących żadnego święta i gwałcących prawa Boskie i ludzkie. Ta zatwardziałość w grzechach owieczek jego pieczy powierzonych zniewoliła go do opuszczenia po raz drugi tak niesformego narodu. Udał się więc do Rzymu, a potem do Polski, gdzie go z wielką czcią przyjął Bolesław Chrobry i to wyrobił u Papieża, że ten zezwolił, aby Wojciech zasiadł na stolicy Arcybiskupiej w Gnieźnie. Co nim zaszło, święty ten kapłan nowonawróconych Polaków w Krakowie umacniał słowem zbawienia — jakóż na tym miejscu, gdzie nabożeństwo odprawiał, stoi dotąd mały kościółek w rynku pod jego imieniem. Przytym nauczył on Polaków śpiewać pieśń nabożną: *Boga Rodzica Dziewica*, którą przez wiele wieków śpiewało rycerstwo Polskie przed bitwą i prawie zawsze pobiło nieprzyjaciela. Sprawując Arcybiskupstwo Gnieźnieńskie przez trzy lata, utwierdził mieszkańców niedawno nawróconych w wierze świętej i pobożności. Lecz usłyszawszy o sąsiednim drapieżnym i pogańskim narodzie Prusaków, prosił Bolesława Chrobrego, aby mu pozwolił iść między ten lud na opowiadanie nauki Ewangelii. Wyprawił go więc Bolesław w towarzystwie dwóch kapłanów: Gaudencyusza i Benedykta. Pomimo, że apostołów tych źle ten lud przyjmował i nieraz śmiercią im zagrażał, nie ustraszyło to ich i coraz dalej zapuszczali się w ziemię Prusaków aż ku Litwie. Otóż zdarzyło się, iż pewnego dnia po odprawionej mszy św. w polu, posiliwszy się chlebem na drogę, szli do ciemnej nocy i, nie mogąc nigdzie znaleźć strzechy, przespali się pod gołym niebem; a gdy nazajutrz zbierali się do dalszej podróży, Prusacy z poduszczenia pogańskiego ich kapłana *Krywe-Krywejtę* puścili się w pogoń za św. Wojciechem i dognawszy go niedaleko miejsca, *Romowe* nazwanego, a leżącego o milę od Gdańska, siedm włóczni w nim utopili. On zaś, na krzyż ręce rozciągnawszy, gorącą modlitwę czynił za nich do Boga. Jest podanie, że orzeł wielki przez trzy dni odpędzał ptastwo drapieżne od ciała świętego Męczennika.

Bolesław, dowiedziawszy się, że ten św. Apostoł zginął, posłał zaraz do Prusaków, aby go wykupił, obiecując dać tyle złota i srebra, ile ciało św. Wojciecha zaważy.

Gdy więc przyszło na wagę, ciało nic prawie nie zaważyło, czemu się Prusacy bardzo dziwili i gniewali. To ciało sprowadzono potem do Gniezna i złożono w srebrnej trumnie, gdzie i dotąd spoczywa, a piękny nagrobek jego oglądać tam możecie.

L. Siemieński.

Pieśń ludowa o założeniu klasztoru na Łysiej górze.

Był król na łowach,

Jeździł po borach.

Trąby grają,

Psy szczekają

Po borach.

A wtym jelen z uboczy,

Z złotym rogiem wyskoczy,

Król naciągnie cięgiwy,

Pada jelen nieżywy,

Na borach.

Król wesół zakrzyczy,

Rwą się kundły ze smyczy,

Biegą strzelcy na łowach,

Po borach, po borach,

Na łowach.

W końcu rogu złotego

Obraz Syna Bożego,

Wkoło wielka jasność—

Taka była zachoś

Obrazu świętego.

Wszyscy się zbiegali,

Razem poklekali,

I na górze, na onej,

Na górze zielonej

Klasztor budowali.

Tam w organy grają,

Ludzie się schadzają,

Nabożnie śpiewają!

Z. Gloger.

ŚW. KUNEGUNDA KRÓLOWA POLSKA.

Dopiero ośmnastcie lat liczył Bolesław V, kiedy po śmierci jego opiekuna, Henryka Brodatego, najmłodszego panowie wyjechali w poselstwie do Węgier, prosząc o najstarszą córkę Beli, Kunegundę czyli Kingę, dla swego księcia za małżonkę. Wkrótce wrócili z za gór, wioząc dziewicę piętnastoletnią, smukłą, wdzięku pełną, a zewsząd zbiegali się do Krakowa ciekawi, aby podziwiać jej niezwykłą urodę. Lecz skromne wejście księżniczki już zapowiadało jej przyszły żywot świętobliwy i jednało jej serca wszystkich bogobojnych ludzi. Posag zaś, jak na owe

czasy wielki, bo dochodzący do czterech milionów złotych, bardzo się przydał książęciu, nad częścią kraju panującemu. Podania dochowane o św. Kunegundzie głoszą, że jój zaraz po chrzcie Przenajświętszy Sakrament podano, zanim jeszcze skosztowała mleka macierzyńskiego. Pierwój więc boskim niż ludzkim żyła pokarminem i okazywała też od najpierwszych lat życia pobożność zadziwiającą. We własnej rodzinie karmiona przykładami niewiast nadziemskiej cnoty, jak św. Salomea, św. Elżbieta, św. Jadwiga, i Kunegunda wcześniej zaczęła wstępować w ich ślady. Małym jeszcze będąc dzieckiem, miała upodobanie szczególniejsze w nabożeństwach kościelnych, a nauki słyszane na kazaniach, które pamiętała prawie dosłownie, stosowała do postępów swoich. Nie dziw więc, że przybycie téj Królowny było ubłogosławieniem dla Polski, nad którą właśnie zawisła była nieszczęść burza. Od wschodu w Azji poruszała się dziec Tatarska i już od lat kilku krążyły pogłoski o zbliżeniu się, o srogości i okrucieństwach tych pogan straszliwych, zwanych Tatarami i Mongołami, których nawet miano za ludożerców; lecz wieści te, niby bajki o szatanach, obiegały tylko wśród ludu, nie przychodząc długo do rzeczywistości. Aż nareszcie ujrzano pod Kijowem te hordy dzikich wojowników, o śniadych twarzach, z kołpakami na głowie, wywróconymi kożuchami okrytych. Od rżenia rumaków, ryku wielbłądów, skrzypu tegleg tatarskich nie można było dosłyszeć słowa ludzkiego—powiada kronika ruska.

Wtedy za posag Kingi, pilnie dotąd strzeżony w zamku krakowskim, zebrano rotę najemnego żołnierza. Rycerstwo polskie pospieszyło także do walki i choć od Tatarów zwyciężone, zostawiło im przecież wspomnienia dzielności swojej. Książę Bolesław wraz z matką i młodą małżonką uchodzić musiał przed plagą Tatarską, co jak powódź niepowstrzymana szeroko rozlała się po Rusi, Polsce i Węgrzech, póki nareszcie sami owi Mongołowie, nasyceni łupem i krwią przelaną, nie cofnęli się w stepy Azji. Wówczas Bolesław, zawdzięczając żonie utratę sum posagowych, zapisał jój osobnym pismem ziemię Sądecką. W tymże samym czasie Kinga odwiedziła ojca swe-

go Bilę w Węgrzech, i wtedy nastąpiło wydarzenie, które do tytułu powieści nastreńczyło wątek. Król Bela obwoził córkę dla rozrywki po różnych okolicach swego państwa. Między innymi zwrócił podróż ku otworom gór Karpackich, w krainę Małoruską, rozciągającą się wzdłuż południowych granic pokucia. Ojciec chciał ucieszyć miłego gościa widokiem podejmowanej w kopalniach soli pracy górniczej. Zatrzymał się dwór królewski w jednej z żup tamtejszych, otwierających się kilkomna szybami w solną głąb ziemi. Niezwyczajny obraz podziemnego trudu górników zabawił wielce księżnę młodziuchną. Żywe atoli przywiązanie do ziem po tamtej stronie gór i do narodu nadwiślańskiego zasępiło zabawę tą myślą, czemu i kraina Krakowska nie osiągnęła tak pożądanego błogosławieństwa niebios. Wtedy to miała prosić ojca i otrzymać w darze jeden z szybów widzianych, i biorąc go w posiadanie, obyczajem tamtych czasów, młoda księżna zdjęła z palca złotą obrączkę i w otwór szybu pomiędzy górników rzuciła. Zabrała potem liczne wozy solą ładowne do Polski, gdzie dotąd prawie samą tylko warzoną sól znano; zabrała także biegłych z Węgier górników. A gdy po kilkuletnich poszukiwaniach dokopano się w Bochni twardych pokładów soli, potworzyły się różne powieści, które zostawiły wielką zasługę Księżny w podniesieniu starań około wydobywania soli, tak potrzebnej do utrzymania życia ludzkiego.

Czterdzieści lat przeżyła z mężem swoim ta święta niewiasta, nie ustając w nabożeństwie i dobrych uczynkach, prowadząc żywot nadzwyczaj ostry i lekceważąc dostojność swoją i urodę. Szepeciła sobie umyślnie i brukała twarz, żeby nie wzbudzić ku sobie upodobania, płochych myśli i próżnych pochwał. Szyła całymi dniami własną ręką dla ubogich i kościołów różne ozdoby. Wiele się przyczyniła do kanonizacyi św. Stanisława. Przy wyjęciu jego kości z grobu sama je obmywała, całując pokornie. Wraz z mężem uczyniła ślub wystawienia klasztoru zakonnicom reguły św. Klary, który dopiero w czasie wdowieństwa swego dopełnić mogła, obracając na ten cel wszystkie dochody swoje i zapisując klasztorowi znaczną część posiadłości swoich.

Leszek Czarny, następca Bolesława, zaprzeczał jakiś czas Kunegundzie prawa rozrządzania ziemią Sądecką, aż wreszcie bogobojna niewiasta pokonała wszystkie trudności i wzniosła wspaniałą warownię przez wzgląd na niepokoje owych czasów—budowę, która do dziś dnia zbliżających się do starego Sącza wyniosłą wieżą i starożytnością swoją zachwyca. W tym klasztorze Kinga życia dokonała, otoczona siedmdziesięcią siostrami zakonnymi, pełniąc najlichsze usługi i pomywając naczynia brudne dla ćwiczenia się w pokorze. Z jój pobytem w tych stronach tysiączne spłynęły pociechy na lud dzikięj dotychczas okolicy. Na każdym też miejscu żyją jój wspomnienia, barwą poetycznej cudowności odziane. Tu ślady jój stóp wyryte na skałach wśród drogi, którą uciekła wraz z siostrami, chroniąc się przed napaścią Tatarów z nieukończonego jeszcze klasztoru w górze Pioniny. Tam, powiadają, zaszczerpiła swoją róższczkę lipową w grunt jałowy, a wnet wyrosły gaje napełnione pszczołami. W innym miejscu sprowadziła cudownym sposobem strumień, zwany Pasiecznicą, w okolicę całkiem wody pozbawioną.

Po jój śmierci, przypadłj w r. 1292, liczne zapisano cuda, za jój sprawą doznane. Ośmdziesięciu umarłych ożyło, sześćdziesięciu ślepych wzrok odzyskało, siedmnastu z niewoli pogańskiej powróciło do domu, a siedmset chorych od różnych słabości zostało uwolnionych.

Nad grobem Świętej w kaplicy, jój poświęconej, wystawił kardynał Radziwiłł ołtarz wspaniały, w którym po dziś dzień pokazują za szkłem jój relikwie. Widzieć także można w klasztorze celę przez nią zamieszkałą, oraz kubek i inne naczynia, których używała za życia; przechowują również rękopism Długosza z jego podpisem, opowiadający żywot św. Kingi.

(Obrazki życia świętobliwych Polek.)

KORONACYA WŁADYSŁAWA ŁOKIETKA.

(1319 r.)

Łokietek, uskromiwszy swych nieprzyjaciół i przywróciwszy w państwie porządek, ujrzał się panem obszernego państwa

i zamyslał uroczystą odprawić koronację, a to dla tego, aby się już nie rozrywały kraje polskie, uważające się za oddzielne księstwa. Bo to widzicie, dzieci moje, wtenczas najwięcej szło o to, aby wszystkich pogodzić, aby Wielko-polanie pobratali się z Mało-polanami, z Mazurami; aby cudzoziemcy, których znalazło było co niemiara do miast, za to, że polski chleb jedli i w bogactwach opływali, aby i oni zjednoczyli się ku jednemu celowi i byli braćmi. Gdy, jak to wiecie dobrze, niema większej siły, jak przy zgodzie. Pamiętacie może ową przypowieść o wiązce różg, którą ojciec podał synom do złamania, czego oni żadnym sposobem dokazać nie mogli. Dopiero rozwiązawszy wiązkę, z łatwością pojedyncze różgi połamali. Podobnie i z wami będzie, rzekł ojciec, jeżeli się wszyscy razem weźmiecie za ręce, nikt was nie zmoże; ale jak się sami między sobą zaczniecie klócić, zwaśnionych łada urwiesz pobije i rozpędzi.

Tak było i z Polską; więc Łokietek musiał ciężko pracować, aby się wszyscy kochali jak dzieci jednego ojca. Widząc tedy, że już cokolwiek lepszy porządek i zgoda nastała, wezwał panów i biskupów z całej Polski, naradził się z nimi, a posławszy do Gniezna po berło i koronę, którą się Bolesław Chrobry koronował, kazał się na króla namaścić w Krakowie (r. 1319). Trzeba wam tu opowiedzieć, jak się koronacja Królów odbywała, ażebyście sobie mogli wyobrażać ten uroczysty obrządek. Naprzd na zamek krakowski, gdzie zwykle król mieszkał, zbierali się senatorowie, biskupi, opaci i inni książę; tam ubierano króla w złociste trzewiki, w białą dalmatykę i w płaszcz purpurowy królewski. Tak ubranego prowadzono przy biciu dzwońów do kościoła na zamku, przed królem niesiono koronę, berło, złote jabłko, szczerbiec Bolesława Chrobrego i te znaki składano na ołtarzu. Arcybiskup gnieźnieński pytał go, czy chce wiarę świętą zachowywać i bronić? Czy chce sprawiedliwie na królestwie rządzić, nikomu krzywdy nie robić i od nieprzyjaciół nas bronić? Król odpowiadał na wszystko: chcę. Potym przyklekiwał przed arcybiskupem i przysięgał: Tak mi niech Bóg dopomoże i jego święta Ewangelia. Tymczasem klęczącemu królowi obnażono ramiona i arcybiskup namaszczał go

olejem świętym. Potym arcybiskup podany Szczerbiec przypasał mu do boku, którym król musiał krzyż w powietrzu uczynić. Następnie wkładał mu koronę Bolesławską na głowę, jabłko złote w lewą, a berło w prawą rękę dawał i tak ubranego poprowadził na tron. Łokietek usiadł na nim. Obok niego na chorągwi powiewał orzeł biały na dnie czerwonym i to już był zawsze herb Polski. W mieście odbywały się turnieje, czyli gonitwy rycerzy uzbrojonych na koniach z kopiami, którymi okazywali zręczność swoją w boju. Dla ludu stały beczki miodu i piwa, stoły mięsem zastawione, każdy mógł brać i jeść co sam chciał. A kiedy król wyjechał na miasto, siedł przed nim podskarbi i rzucał garściami pieniądze pomiędzy lud. Przez taką koronację Łokietek stawał się nietykalną osobą i miał już wielkie poważanie w narodzie i u sąsiadów.

L. Siemieński.

Władysław Łokietek

Już noc swe smutne rozpostarła cienie,
 Gwar tylko słychać wojennego ludu,
 Tu, ówdzie ognisk rozdęte płomienie,
 Przy nich w spoczynku z wojennego trudu
 Wsparci na tarczach wojownicy stali
 I o przypadkach bitwy rozmawiali.

Niekiedy księżyc, wychodząc z obłoków,
 Okropnej bitwy ukazywał ciosy,
 W równinach Płowców i w głębi potoków,
 Krzyżackich trupów niezliczone stosy,
 Leżące konie, zabite rycerze
 I połamane hełmy i pancerze.

Łokietek szczupły, lecz wytrwały w bojach,
 W dniu tym prowadził szyki natarczywe,
 A chcąc na chwile wypocząć po znojach,
 Zdjął hełm i czoło ukazał sędziwe,
 Skrwawione ręce obmył w źródłu czystym
 I tuż pod dębem usiadł rozłożystym.

A mierząc okiem smutne bojowisko,
 — Patrz, Kazimierzu, zawołał do syna,
 Patrzaj na wojen srogie widowisko,
 Skąd nieludności i pustyń przyczyna.
 Ścięte w dniu jednym zaległo tę ziemię,
 Tysiąca matek nieszczęśliwych plemię.
 Przecież wieść boje było mym udziałem,
 Zaskłaniać wszędy tę krainę biedną,
 Po trzykroć z króla tułaczem zostałem,
 A choćem dzielnie państwa złączył w jedno,
 Choć siedmiudziesiąt lat wiek już domierza,
 Nie zdjąłem jeszcze twardego pancerza.
 Taki los Polski—tu Krzyżaków szyki,
 Tam Litwa niszczy i jeńców zabiera,
 Tu Ruś zdradliwa, tam Tatarzyn dziki,
 Po włościach naszych mordy rozpościera;
 Z niechętnym dzisiaj książęciem północy
 W powinowactwie szukajmy pomocy.
 Litewskim ludem władający książę,
 Stary Gedymin ma córę nadobną,
 Z tą ślub twój niechaj dwa narody wiąże.
 Ani skarbami, ni szaty ozdobną,
 Ujrzysz ją synu; przyniesie ci więcej
 Pojmanych więźniów trzydzieści tysięcy.
 Skłania się książę; i wkrótce posłowie
 Stawia książniczkę w domu królewica,
 W sobolich szatach z perłami na głowie,
 Hożą, rumianą i gładkiego lica.
 Schyleniem głowy męża najprzód wita,
 Dziwi się gmachom i o wszystko pyta.
 Przy samym ślubie i oddaniu ręki,
 W koło litewscy stali wojownicy,
 Na barkach rysie—rozdarte paszczęki
 Lwów srogich powierzch zdołały przyłbicy,
 Wąs zawieszisty, wzrok ogniem się żarzy,
 Obok powagi—łagodność na twarzy.
 Weselnym godom przydali najwięcej,
 W śnieżnym ubiorze z kwiecistymi sploty
 Przez Gedymina powróceni jeńcy,
 Starcy, mężowie, dzieci i kobiety.

Ci, widząc kraj swój po długich cierpieniach,
Radość swą w tkliwych wyrażali pieniach.

Zokietek tak się do ludu odzywa:

—Złamany wiekiem, trudami i wojny,

Synu mój, tobie ta ręka sędziwa

Zda wkrótce berło i kraj ten spokojny.

Jam musiał walczyć, ty korzystaj z boju

I spraw, by Polska zakwitła w pokoju.

Po tylu walkach, krew, co jeszcze płynie,

Niech wsiąknie w ziemię; jeńce, com ci wrócił,

Niech zaludniają bezdrożne pustynie,

Niech pług naprawia co oręż wywrócił;

Wznosź gmachy, utwierdź kraj świętymi prawy,

I w szczęściu Polski szukaj tylko sławy!

Jul. Ur. Niemcewicz.

BITWA POD GRUNWALDEM.

(1410 r.)

Po śmierci nieodżałowanej Jadwigi myślał już król Jagiełło wracać na Litwę; ale Polacy go zatrzymali, mówiąc: że choć królowa nie żyje, do niego się przywiązali, proszą go więc, aby i nadal im królował. Pomyślano także o nowym dla niego małżeństwie z Anną, córką hrabi Cylejskiego; jakoż pojął ją za żonę, ale niebardzo polubił, bo nie umiała po polsku, tylko po niemiecku—z czasem jednakże wyuczyła się języka polskiego. Tymczasem Litwa nie mogła się żadną miarą uspokoić, bo Krzyżacy ciągle podniecali klótnie i nieporozumienie między braćmi Jagiełłowymi, podszczuwając jednych na drugich. Najbardziej zaś gniewali się o to, że Witold pogodził się z Jagiełłą; udali się przeto do Świdrygielli, drugiego brata królewskiego, i tego zbuntowali przeciw niemu. Te chytre postępy i zamachy dopiekły do żywego Jagiellie i przebrały jego cierpliwość, ściągnął więc ogromne wojsko i udał się ku Prusom, aby raz na zawsze przytrzeć rogów niespokojnym Krzyżakom. Z Polakami połączyła się Litwa i Ruś, jako też i Tatarowie; nawet hufiec Czechów także znajdował się przy nas,—w któ-

rym też walczył ów później wsławiony Hussyta: Żyszka. Król, wszedszy na nieprzyjacielską ziemię, stanął obozem pod Grunwaldem, a wzięwszy chorągiew królewską w rękę, na której był orzeł biały z koroną, zaczął się głośno modlić do Boga, prosząc, aby w tej bitwie raczył ukazać sprawiedliwość swoją, dodając też: Ażem pewny, jako przy naszej stronie słuszość, tedy podnoszę tę chorągiew w Imię Twoje Przenajświętsze! Zapłakało całe wojsko i zaczęło śpiewać pieśń św. Wojciecha:

Boga Rodzica Dziewica
Bogiem sławiona Marya!

Która to pieśń pobożna była hasłem wojska polskiego do bitwy. Zaraz tedy po mszy św. sprawiono wojsko do boju, którego było 51 chorągwi, czyli pułków, a 40 litewskich. Polskiemu hetmanił Zyndram Maszkowski, miecznik Krakowski, litewskiemu zaś Witold, a naczelne dowództwo miał sam król. Na prawym skrzydle stanął Witold z Litwą, Rusią i Tatary, po lewej Zyndram z Polakami, a we środku stali starzy i doświadczeni rycerze. Król, pomodliwszy się, wsiadł na cisawego konia i objeżdżał wojsko, upominając, aby się mężnie potykało. Wtenczas to przyjechało od mistrza Krzyżackiego dwóch posłów, którzy, przyszedszy przed króla, mówili: Sławny królu! Mistrz pruski Ulrych przysyła ci te dwa miecze, tobie jeden, a Witoldowi drugi, abyście się mieli czym bronić. Na co król rzekł z pokorą: przyjmujemy te dwa miecze—może się na was przydadzą. Widzicie same, moje dziatki, że to było urąganie się z króla Polskiego i z Litwy, o której mistrz Krzyżacki mawiał: że u Litwy więcej łyżek niż zbroi w obozie. Ale przypłacili oni tego. Bo zaraz uderzono w trąby i kotły. Krzyżacy zaczęli z armat strzelać na naszych, ale im nie kule nie szkodziły. Pierwszy to raz wtedy zaczęto broni palnej używać w bitwach; gdyż dopiero niedawno proch został wynaleziony. Oba wojska uderzyły potym na siebie i wielki był chrzęst zbroi i łamanie się kopij, a szczękanie mieczy. Tatarzy, nie mogąc wytrzymać gwałtownego natarcia Krzyżaków, zaczęli z początku ustępować, ale Polacy ich poparli. Wtenczas to krzyżacki jeden rycerz, nazwiskiem Dipold Kiekieric, rzucił się na króla,

chcąc go przebić włócznią; wtym Zbigniew Oleśnicki, co był przy boku Jagiełły, odbił włócznię, a król dopiero Niemca w samo czoło ciął mieczem. Tego Oleśnickiego, że był człowiek godny, król potym bardzo wysoko cenił i postarał się, że go zrobiono biskupem Krakowskim. W tej bitwie poległ sam mistrz krzyżacki Ulryk Jungingen i około 40 tysięcy krzyżackiego wojska; chorągwi zaś krzyżackich zdobyli Polacy 51. Bitwa pod Grunwaldem była wielką walką, w której los całego wschodu Europy rozstrzygnięty został (1410 r.). Zakon krzyżacki, choć wsparty całą potęgą Niemiec, uległ i złamany tą klęską już się więcej podźwignąć nie zdołał. Przeciwnie Polska nabierała coraz więcej potęgi i znaczenia. Przed tą bitwą święty Stanisław miał się ukazać na powietrzu i dawać znak Polakom, że nieprzyjaciół zwyciężą. Dowódzca czeskiej chorągwi Żarnowski uciekł był z bitwy; o czym gdy się własna jego żona dowiedziała, wyrzekła go się i nie chciała z nim mieszkać. Po tej wygranej król jeszcze dobywał niektórych zamków pruskich, nakoniec zrobił pokój i wrócił do Krakowa, gdzie wielkie nabożeństwo odprawił w kościele na zamku i zawiesił chorągwie, na Krzyżakach zdobyte.

L. Siemieński.

Śmierć Żyszki.

Z Czech wyruszyli bracia panowie,
Na Rakuszań w Morawę.
Na bój ich wiodą wielcy wodzowie;
Jan Żyszka dzierży buławę.
Jan Żyszka ślepy: niemieckie strzały
Oczu wyzarły mu dwoje,
Lecz widzi duchem jakby w dzień biały,
Gdy przyjdzie z Niemcem wieść boje.
I strasznym wrogów gromi ramieniem,
Szeroko grzmi o tym sława....
Pierś mu goreje wielkim płomieniem;
Ten płomień—światło mu dawa.
A tym płomieniem szlachetna, święta
Miłość swęj ziemi, cześć Boga,

Wieki Hetmana Czech zapamięta
I nie zapomni kark wroga.

Do Przybysławia przyszli wieczorem,
Rozgrzani bojem i drogą;
W krąg zatoczyli wozy taborem
I warzą strawę ubogą.

I o zwycięstwach gwarzą weseli,
O klęsce Niemców i zgrozie;
Jutro, gdy pierwszy promień wystrzeli,
Będą w Albrechta obozie.

Lecz cyt! wieść głucha gromady miesza,
Miesząją tłum rozhowory,
Pod namiot wodza cisnie się rzesza:
„Nasz hetman, Żyszka Jan chory!”

Zaniemógł Żyszka, po boju srodze,
Na twardym posłaniu leży;
Do koła niego strapieni wodze
I orszak smutnej młodzieży.

Ale nie złaman hetman na duszy.
Choć wie, że przyszła godzina,
Z twardego łoża jak lew się ruszy
I wodzów tak napomina:

—Czesi, Morawcy, Polacy mili,
Serdeczny, druży narodzie!
W ostatniej, bracia, proszę was chwili,
Miłujcie wy się we zgodzie.

Noście otwarte serca przed Bogiem,
Czyste jak wasze powietrze;
A kto z was kiedy bratał się z wrogiem,
Niech we krwi hańbę tę zetrze.

Nie szczędźcie trudu, rąk, ni oręża!
Tchórz tylko spokój wybiera...
Kto ród germański w boju zwycięża,
Szatanom głowy ten ściera.

Oni tu wnieśli hańbę, niewolę,
Jak śmierć szatani do raję.
Kłamstwami bożą zasieli rolę,
Ceść ojców wyparli z kraju.

Toż w boju z nimi nie odetchniecie,
 Nie opuście ramienia!
 A nienawidzić ród ten będziecie
 We setne aż pokolenia.
 Gdy skonam, ciało moje ciśnijcie,
 Niech sępom na żar posłuży,
 Skórą z mych barków bęben pokryjcie,
 Niech bębniąc Niemcom zgon wróży!
 To rzekł i skonał—i zwiesił głowę
 Na pierś ostygłą, bez tchnienia.
 Ale hetmana słowa gromowe
 Z pokoleń grzmiały w pokolenia.
 I zawsze rolnik w nocy majowej,
 Gdy zanocuje na błoni,
 Słyszy w powietrzu bęben Żyszkowy,
 Bijący na gwałt—do broni!

Mieczysław Romanowski.

G i e r m e k.

Był czas, gdyśmy za przedmurze,
 Za tarcz ludom, światu stali;
 Był czas, gdyśmy wschodnie burze
 Piersią naszą odpierali.

Lasem polskich dził narody
 Zasłaniane od poboju,
 Wynucały pieśń swobody,
 Pieśń miłości, pieśń pokoju.

Naszym hymnem był szczepek broni,
 Trąb wojennych dzikie dźwięki,
 Wrzawa bitew, pogoń,
 I rozległe rannych jęki.

Złoci wieczór łan Podola,
 Ciągłą wojska, tabor, wozy,
 Tetnią całe lasy, pola,
 Stoją groźne dwa obozy.

Z jednej strony sztandar wiary,
 Siwy hetman, młodzież dziarska;
 Z drugiej wściekłość, krew, pożary
 I straszliwa czerń tatarska.

Jutro, jutro z rannym brzaskiem,
 Dzień gonitwy, dzień rozprawy;
 Słońce krwawym zaszło blaskiem—
 Bój to będzie straszny, krwawy!

Ledwie pierwszy mrok zapada,
 Siwy hetman kord przypasze,
 Z młodym giermkiem na koń siada
 I objężdża czaty nasze.

Jedzie, patrzy w obóz dzicy,
 Słucha gwaru, rżenia koni,
 Pyta, zważa, ognie liczy
 I już w myśli łamie, goni.

O, nie ciesz się, wodzu stary!
 Zmienne wojny są koleje,
 Nie tak łatwo to z Tatary,—
 Słuchaj, patrzaj, co się dzieje.

Hurra! hurra! pędzi horda,
 Nocny napad w obóz leci;
 Giermek za broń, wódz do korda;
 —Na koń! woła, na koń dzieci!

Śpieszą, biegną do swych szyków,
 Wśród nocnych pędzą cieni;
 Gdy wtym z grzmotem nowych krzyków
 Zewsząd czernią otoczeni.

Tną i walczą na przebicie—
 Rąbie hetman, giermek łamie,
 Całą młodość, ogień, życie
 W wojujące przelał ramie.

I już słyszą, słyszą w dali,
 Jak nadbiega polska wiadra;
 Ale już ich nie ocali—
 Już nie wyrwie z rąk Tatara.

Wzięty giermek, hetman wzięty,
 Krzyczy, huczy motłoch dziki,
 Bucha gniewem han zacięty,
 Patrząc na swe niewolniki.

Wre—i zemstą ryczy srogą;
 Każe jednym skuć żelazem
 Nogę giermka z wodza nogą
 I tak obu więzić razem.

Smutnie wzrok ich wzniosł się, zwrócił
Na niebieskie gwiazd sklepienia...

Ale na cóżbym wam nucił
Ich boleści, ich marzenia!

O! kto nigdy pęt nie nosił,
Kto nie jęczał w wrogów mocy,
Strawy swojej łąz nie rosił,
Nie przetęsknił długich nocy,

Kto w pół-dzikim, podłym tłumie
Nie włókł ciężkich lat niedoli;
Ten nie pojmie, nie zrozumie,
Jak jest ciężki chleb niewoli!

Zasnął hetman siwobrody,
Zasnął, jakby między swemi;
Nie śpi, czuwa giermek młody,
Długo o swą duma ziemi.

I łąz tryska mu w źrenicy,
Żal i rozpacz serce tłoczy;
Gdy wtym nagle w swą ciemnicę
Zapomniany topór zoczy.

Patrzy, duma, drży i marzy,
Serce szczytnym ogniem płonie,
Wielki w duszy zamiar waży—
Topór w obie chwyta dłonie.

I podnosi rękę śmiałą,
Mężnie ku swym pętom zwróci,
Tnie, odcina nogę całą •
I hetmana swego cuci.

—Wolnyś, rzecze, straż zaspana,
Uchodź, ocal twą krainę!
Spiesz i pobij wojsko hana....
Ja z radością tutaj zginę!
Powstał hetman i wzniosł dłonie,
Rzewnymi się łązami zalał..
Żegnał,—boskiej zdał obronie,
Ścisnął—uszedł i ocalał.

A wtym straż się ze snu zrywa,
Wieść ucieczki wodza szerzy—
I sam wreszcie han przybywa
I zaledwie oczom wierzy.

Długo, długo, wzrok swój wryty
W śmiałych topi mu źrenicach;
Stoi jakby gromem zbity,
Po dostojnych czyta licach.

I odpycha wszystkie straze—
Cnota dzikość zwyciężyła...
Każe leczyć—darzyć każe,
I do Lachów go odsyła.

W świetnym dworzan, wodzów gronie,
Szkarłatnymi szaty odzian,
Siadł król polski na swym tronie;
Wdzięczny przed nim stanął młodzian.

W miejscu nogi—prosta kula
Ujmującą postać wspiera,
I dwór cały się rozczuła
I szmerem dziwu nań spoziera.

I dwaj wiodą go rycerze,
Kornie przed tron przystępuje.
Król z wezgłowia szczerbiec bierze
I rycerzem go pasuje.

Gdy wtym zpośród wodzów koła
Hetman nogę niesie złotą:
—Oto herb twój, król zawoła,
Wysłuszony twoją cnotą.

I porywa dłoń rycerza
Wśród okrzyków ludu wiedzie
I przed ołtarz pański zmierza
I sam klęka z nim na przedzie.

O blask, chwałę swych orężów
Kornie w niebo dłonie wznosi
I o więcej takich mężów
Dla ojczyzny swojej prosi!.

Franciszek Morawski.

MIKOŁAJ KOPERNIK.

Kopernik od dzieciństwa przykładął się najgorliwiej do matematyki. Każde dziecko polskie powinno wiedzieć, że ten wielki mąż urodził się w Toruniu r. 1473. Ojciec odumarkł

go bardzo wczesnie, ale pozostała mu matka i wuj, brat matki, który się troskliwie nim opiekował. Wysłany do Akademii do Krakowa, młody Mikołaj takie okazywał zdolności do matematyki i tak się gorliwie uczył, że został ulubionym uczniem, a raczej przyjacielem, profesora Wojciecha z Brudzewa, który tę naukę wykładał w Krakowskiej wszechnicy. Już wtenczas obaj, uczeń z nauczycielem, robili wspólnie astronomiczne spostrzeżenia. Zapewne niejeden człowiek rozsądny czuł dobrze, że systemat Ptolomeusza, powszechnie naówczas przyjęty, miał w sobie coś nieprawdopodobnego. Zapewne i Kopernik już w młodości swojej, patrząc w niebo, widział przed sobą wielką zagadkę i szukał jej rozwiązania.

Wyświęcony na kapłana, młody Mikołaj za staraniem wuja mianowany został kanonikiem w Frauenburgu. Prawo jednak wymagało, ażeby kanonik miał wyższy stopień naukowy, i Kopernik udał się do najślawniejszej naówczas akademii Włoskiej w Bolonii. Tam, idąc za dawnym upodobaniem, gorliwie oddawał się matematyce, nie zaniehbując innych nauk. Otrzymawszy stopień naukowy, Kopernik przebywał czas jakiś w Rzymie, gdzie zasłynął jako znakomity nauczyciel matematyki. Na wykłady jego młodzież uczęszczała z wielkim zapalem. Powrócił potym do Frauenburgu, ale niedługo tam bawił; żądza wiedzy powiodła go znów w świat daleki. Udał się do Padwy, gdzie jeszcze lat cztery w akademii strawił. Niespracowany ten człowiek uczył się tam także medycyny, bo naówczas był zwyczaj taki, że kapłani bywali często zarazem lekarzami. Nakoniec zamieszkawszy ostatecznie w Frauenburgu, Kopernik z zamiłowaniem oddawał się spostrzeżeniom astronomicznym.

Prawdziwie dziwić się należy, jak mu na to wszystko czasu starczyło. Oprócz bowiem kapłańskich obowiązków, najgorliwiej poświęcał się powołaniu lekarza, śpiesząc na każde wezwanie na ratunek cierpiących. Wuja chorego doglądał długo z najczulszą troskliwością i pomimo tak licznych, różnorodnych prac, obmyślił, uporządkował najgenialniejszy w świecie systemat naukowy.

Joachim Retyk, najmilszy uczeń i największy wielbiciel Kopernika, podał do druku uczone jego dzieło o obrotach ciał niebieskich. Ale tymczasem Kopernik zaniemógł i już tylko tę ostatnią przed śmiercią miał pociechę, że na kilka dni, a jak niektórzy utrzymują na kilka godzin przed zgonem oglądał dzieło swoje drukowane. Nie kosztował więc sławy za życia, nie doznał także prześladowań, których nie potrafił uniknąć następca jego w poszukiwaniach prawdy, Włoch Galileusz.

Za czasów Kopernika nie znano jeszcze szkieł powiększających, nie było zatym teleskopów, bo chociaż do obserwacji używano rur, rury te żadnych szkieł nie miały. On też gołym okiem robił wszystkie swoje spostrzeżenia. W tych czasach więc nie odkryto jeszcze wszystkich obecnie znanych planet, bo nie wszystkie mogą być widziane bez teleskopu. Kopernik liczył ich tylko sześć, jako-to: Merkury i Wenus, które są bliżej słońca, aniżeli ziemia; trzecie miejsce zajmuje nasza ziemia, potem następują Mars, Jowisz i Saturn. Za naszych czasów odkryto jeszcze pomiędzy Marsem i Jowiszem mnóstwo drobnych planetek, które nazywają asteroidami, a po Saturnie—w większej jeszcze od słońca odległości—Urana i Neptuna.

Kopernik wszystkim znanym sobie planetom ponaznaczał właściwe miejsca i księżycowi także, ale księżyców innych planet nie mógł bez teleskopu obaczyć. Przekonawszy się, że słońce nie zawsze w jednakowej od ziemi znajduje się odległości, nakreślił drogi wszystkich planet zupełnie okrągłe, a słońce umieścił nie po środku, ale nieco z boku. I tak też jest rzeczywiście, tylko Kopernik, który nie mógł sam jeden wszystkiego zbadać, nie wiedział jeszcze o tym, że planety biegiem swoim nie zakreślają dróg okrągłych, tylko mniej lub więcej podłużne; drogi te nazywają elipsami.

Następcy Kopernika, mając już przygotowane pole, wszystkie te niedokładności rozjaśnili. Najnieszczęśliwszym z tych następców był Włoch Galileusz.

Stary przyjaciel dzieci.

MIKOŁAJ REJ Z NAGŁOWIC.

Za panowania Zygmunta I z rodu Jagiellońskiego, literatura polska w ojczystym języku bierze początek i świetny rozwój. Pod panowaniem Zygmunta I wyszła pierwsza po polsku drukowana książka i pojawił się *Mikołaj Rej z Nagłowic*, którego słusznie można nazwać ojcem literatury polskiej. Mikołaj Rej był synem Stanisława i Herburtówny z domu. Urodził się w roku 1515, w miasteczku Żurawnie nad Dnieprem. Ojciec, pobożny, pocziwy i spokojny ziemianin, uprawiając rolę, mało dbał o wychowanie jedynaka, chował go przy sobie, a chłopię już dobrze podrosło, nie umiejąc ani czytać, ani pisać. Przyjaciele domu, widząc takiego nieuka, namówili sędziwego ojca, żeby go przecie do szkoły oddał. Po długim wahaniu posłał go do Skarmierza, gdzie dwa lata przebył, niczego się nie nauczywszy, bo już zasmakował w bieganiu i próżniactwie.

Wysłany to do Lwowa, to do Krakowa, nauczył się zaledwie czytać i pisać, a ojciec, sądząc go uczonym, wziął go do domu.

Wrócił więc do dawniej swobody Mikołaj, po całych dniach biegając, to ze strzelbą czy łukiem, to z wędką na ryby.

Nikt zręczniej z gniazd ptastwa nie wybierał, zwierzyzny nie łowił, jak ukochany przez rodziców i domowników ośmnastoletni Mikołajek. W takiej swobodzie próżniaczęj wiele zapomniał z tego, czego się nauczył.

W dwudziestym roku życia oddany na dwór wielkiego pana, Andrzeja Tęczyńskiego, wojewody sandomierskiego, całkiem się odmienił młody Rej.

Wojewoda Tęczyński zwrócił baczną uwagę na Mikołaja Reja; zaczął go najprzód wprowadzać do pisania listów polskich, bo po łacinie nie umiał dobrze.

Teraz młodzieniec poznał od razu potrzebę nauki. Z bystrym pojęciem, z obudzoną chęcią pracy, zaczął czytać, uczyć się języka łacińskiego, przysłuchiwać rozmowom, a tak książki i żywe słowo prędko oddziaływały na jego wykształcenie. Zaczął

się sam wprawiać do pisania i już pilności około nauki nie stracił.

Opuściwszy dwór wojewody sandomierskiego, po śmierci ojca wrócił w rodzinne strony i od tego czasu nigdy go chętką nie brała wyjeżdżać za granicę. Wszyscy panowie radzi go widzieli na dworze, na którym wkrótce zasłynął dowcipem i humorem. Król Zygmunt dał mu wieś, panowie składali hojne dary—tym sposobem przyszedł do niemałej zamożności.

Był posłem po kilkakroć na sejmy, jako dobrze oznajmiony z potrzebami narodu.

Po śmierci króla Zygmunta I syn jego i następca Zygmunt August mile zawsze widział Reja na swoim dworze—przezna-
czył mu pensję i wieś podarował.

Skupiwszy kilka wsi, założył i miasteczko Okszę, które nazwał od swego herbu; tu zbudował kościół, aby przy nim grób swój znaleźć.

Młody Jan Kochanowski, bawiąc w Paryżu, nadesłał jedną z najpiękniejszych pieśni swoich:

„Czego chcesz od nas, panie, za twe hojne dary.“

Czytano ją na dworze Zygmunta Augusta, jedni chwalili, drudzy ganili. Obecny temu Rej, wzięwszy ją do ręki i głośno odczytawszy, uznał Kochanowskiego za pierwszego poetę polskiego i oświadczył, że chętnie wieniec należy mu samby włożył na jego głowę.

Tak poważne zdanie dało rozgłos imieniowi młodego Kochanowskiego. Rej był upragnionym wszędzie: jakoż jego dowcip i wesołość ożywiały każde towarzystwo. W późniejszym wieku oddawał się więcej pracy, wyuczywszy się sam dobrze języka łacińskiego, czytał wiele i wyraźne tego czytania ślady zostawił w swoich dziełach. Na rok przed śmiercią wydał naj-sławniejsze z pism swoich *Zwierciadło*—1567 roku. Dzieło to maluje dokładnie społeczność polską za czasów Reja—dlatego pod względem życia domowego i języka ówczesnego nieocenionym jest dla nas skarbem.

Pisał wiele tak wierszem jak prozą. Tłumaczył psalmy Dawida, układał pieśni pobożne: pisał dramat z Pisma święte-

go, pierwszy w języku polskim, pod nazwą: *Żywot Józefa z pokolenia żydowskiego*—r. 1545. W *Zwierzyńcu*—r. 1564, skreślił charaktery najznakomitszych osób współczesnych, tak na dworze królewskim, jak rody szlachty, nie oszczędzając wcale samej królowej Bony. Wydał zbiór anegdot wierszem, którym dał napis: *Figliki*—r. 1570. Pomijamy wiele mniejszych pism Reja, tak oryginalnych jak tłumaczonych; najważniejszą z prac jego jest dzieło już przez nas wspomniane: „*Zwierciadło albo kształt, w którym każdy stan snadnie się może swym sprawom jako w zwierciadle przypatrzyć, za szczęsnego panowania sławnego króla Zygmunta Augusta, króla Polskiego.*”—Roku 1567.

Wszystkie pisma Reja oddychają szlachetną myślą, moralnością i zachętą do cnotliwego życia. Pod względem języka są pomnikami ówczesnej mowy polskiej, bo Rej język powszedni, potoczny, wybornie zachował. Pełen on jest porównań, przysłów i zwrotów polskich ludowych, jakich w innych pisa-rzach współczesnych i późniejszych daremnie szukamy. Wiersze Reja są wszakże pozbawione wdzięku i harmonii; jeżeli Jan Kochanowski przeszedł go w wyrobieniu języka poetycznego, to stoi daleko niżej jako prozaista.

Kaź. Wł. Wojcicki.

MONETY, MIARY I WAGI W DAWNÉJ POLSCE.

Najdawniejsze monety były to blaszki cienkie, z jednej strony tylko stęplowane, które nazywano brakteatami. Zapewne dlatego, że się prędko ścierały i zużywały, trzeba je było często wywoływać z obiegu i przebijać. Obok brakteatów istniały większe cokolwiek monetki stęplowane z obu stron, zwane denarami, a cokolwiek później weszły w używanie grubsze pieniądze, *grossi* czyli grosze.

Wszystkie te drobne monety liczono na funty i kopy, a tak wyrobiło się gatunkowanie monet na liczebne i obiegowe, to jest takie, które nie miały i które miały symboliczne wyobrażenie.

Do pierwszych należały grzywny, wiardunki, skojce i kopy.

Do drugich: grosze, półgroszki, złote, talary, półtalarki, orty i czerwone złote. Chcąc oznaczyć wartość każdej z tych rodzajów monet, trzeba najprzód oznaczyć wartość téj monety, która może służyć za jednostkę. Tą monetą jest grosz. Grosze przysły do Polski z Czech za rządów Wacława. Wybijano ich 60 z jednej grzywny czystego srebra. Kazimierz Wielki zaczął bić w kraju grosze polskie. Wartość ich zmieniała się często; rozróżniano grosze pojedyncze, podwójne, potrójne i półgroszki. W początkach dzielono grosz na 12 halerzów czyli denarów, później na 16, w XV wieku na 18, a w XVI na trzy szelągi. W XIV w. równał się grosz srebrny wartości dzisiejszego złotego i gr. 13, a w XVI wieku spadł do wartości 17 groszy dzisiejszych.

Grzywna oznaczała 60 groszy czeskich, albo 48 polskich jakiegokolwiek stopy. Na Mazowszu w XV wieku rozumiano pod grzywną tylko 20 groszy. W XVI w. przestano już w Polsce rachować na grzywny, których używano odtąd tylko na oznaczenie win sądowych.

Wiardunek czyli Ferton oznaczał jedną czwartą część grzywny, czyli 12 groszy.

Kopa znaczyła 60 groszy.

Skojce liczyły 2 grosze, czyli jedną dwudziestą czwartą część grzywny.

Złote były pierwiastkowo wybijane ze złota, jak sama nazwa ich wskazuje, później stały się srebrną monetą, liczącą 30 groszy. W r. 1664 rządzący mennicą Rzeczypospolitej Tympf z Torunia wybijał z jednej grzywny po 60 złotych, które nazwano od jego imienia *tympfami*. Złoty w początkach XVI w. równał się w wartości dzisiejszym złotym 16 i 7 groszom; ku końcowi tegoż wieku spadł do wartości złotych 3 i gr. 29, a w XVII wieku do zł. 1 i gr. 15.

Talary odpowiadały florenom niemieckim, liczono na talar różnymi czasy po 3, 6 i 8 złotych. Weszły w Polskę w obieg dopiero w XVI wieku.

Orty znaczyły tyle co jedna czwarta część talara.

Czerwony złoty czyli dukat, znany w dawniej Polsce jako obca moneta już za Kazimierza W., szacowany był na złotych 16, a ku końcowi XVIII w. na 18. W powszechne używanie przy kupnie i sprzedaży wszedł w Polsce dopiero za Augustów II i III.

Wagi i miary stosunkowo mniejszym uległy zmianom niż moneta.

Zwyczajną wagą handlową był funt polski, który do roku 1764 ważył dwie grzywny, czyli 576 granów. Funt norymberski, którego używano zwyczajnie tylko w handlu aptekarskim, dzielono na 12 uncyj albo 96 granów.

Na centnar liczono do roku 1565 funtów 127, później aż do r. 1764 funtów 60.

Ważono prócz tego jeszcze na kamienie, licząc na kamień po 32 funty.

Jednostką miary dla rzeczy sypkich był korzec, który w różnych okolicach i czasach różną miał objętość. W Krakowie używano w XVI w. korczyków 14 - garncowych, z których 3 tworzyły miarę zwaną ćwiercią. W Sączu mierzono *na firtele*, licząc po 18½ garncy; w Poznańskim na ćwiertnie, które zawierały po 4 firtele 18 - garncowe. Na Mazowszu był w powszechnym użyciu korzec, dzielący się na dwa korczyki po 32 garnce, który od r. 1764 stał się miarą normalną dla całego kraju.

Na łaszt zboża liczono 30 korcy.

Do mierzenia rzeczy płynnych używano tych samych miar, które jeszcze do dzisiaj z małymi odmianami są w użyciu, jakoto: kwart polskich, kwaterek, garncy, konwi i beczek.

Miarą normalną długości był łokieć krakowski, podzielony na 24 cale. Ale ponieważ długość cala nie była ściśle oznaczoną, więc i długość łokcia w różnych okolicach była różną.

W województwach ruskich małopolskich mierzył lud na arszyny, które wynosiły cokolwiek więcej nad 1 łokieć krakowski i 5 cali.

Miary gruntów były bardzo rozmaite: łan, staje, włoka, mórg, sznur, pręt, pręcik i ławka.

Łany gatunkowano na frankońskie, większe i mniejsze, na polskie czyli kmiece, większe i mniejsze, na niemieckie i na rewizorskie, dla tego tak zwane, że obmierzano na nie grunta przy lustracyach.

Pomiary na łany zastąpiono już w czasach Jagiellońskich pomiarem na włóki i morgi, pomiędzy którymi rozróżniano polskie, chełmińskie i magdeburskie. Na włókę liczono zwyczajnie 30 morgów, na móg zaś liczono powszechnie 300 prętów kwadratowych.

Móg magdeburski był mniejszy, liczył bowiem tylko 120 prętów kwadratowych.

Sznur zawierał 10 prętów, pręt 2 pręciki, pręcik 10 ławek czyli lasek.

We wszystkich tych miarach zachodziły w różnych okolicach mniejsze lub większe różnice, wynikające z niejednakowej wszędzie miary łokcia.

Odległości mierzono: na mile geograficzne, licząc 15 na jeden stopień średniego, południka, na morskie, których liczono 20 na jeden stopień, i te były właściwymi milami polskimi, i na mile ukraińskie w okolicach od Dniepra po Bug, których liczono 12 na jeden stopień geograficzny.

Lucyan Tatomir.

Z POBYTU W JUTLANDYI.

(1659 r.)

Miałem tam różne uciechy i zabawy, widząc takie rzeczy, których w Polsce widzieć trudno; ale i to uciecha być przy łowieniu ryb na morzu, których cudowne rodzaje i cudowne są kształty, kiedy wyciągną tego okrutne mnóstwo; te, które mi się najpiękniejsze widziały i najlepsze, są złe i jeść się nie godzą i odrzucają je na piasek dla psów i ptaków; inne znów, choć dobre do jedzenia, to są tak szpetne, że i spojrzeć na nie brzydko. Jest tam także ryba tak straszna, że jenom na ścianach kościelnych malowanego widywał owego, co mu płomień z gęby wychodzi, i mówiłem, że gdyby mi głód największy dokuczał, to bym téj ryby nie jadł. Aż to kiedym był w domu szlacheckim,

między innymi potrawami (bo tam dają na stół mięso i ryby zawsze jednakowo), począłem jeść rybę, która mi wybornie smakowała tak, że m cały prawie półmisek wypróżniał. Widząc to, szlachcic rzekł: „jest to ryba, którą pan djablem nazwałeś.“ Zawstydzilem się niemało, ale jednak widział, że i oni ją smacznie zjadali; a druga nie wierzyłem, żeby ta była, bo mi się zdawało niepodobnym, aby w tak brzydkim ciełe miało być smaku tak wiele; później jednak nigdy jęj więćej nie jadłem. Powiadał ten szlachcic, że ryba ta bywa wędzona i sprzedaje się po czerwonym złotym funt; ale nazwiska jęj nie pamiętam, bo bardzo dziwne, jak i sama dziwna; łeb i ślepie jak u smoka, paszcza straszna i szeroka, a płaska jak u małpy; na łbie dwa rogi zakrzywione, takie jak u kozy dzikięj, ale tak ostre, że się zakole jak igłę; na karku hak, mało co mniejszy od tych, co na głowie, zakrzywiony na tę stronę ku głowie, i już tak po wszystkim grzbiecie jeden za drugim, a coraz mniejsze, aż do ogona, sama w sobie okrągła jako pniak, skóra właśnie na nięj taka jako jaszczur, co go do szabli zażywiają, a po tęg skórze haczki takie jak na grzbiecie, ale już drobniejsze, tak jak szpony u jastrzębia, a srodze ostre; byle go się dotknąć, to zaraz krew wytryska. Są i inne bardzo cudowne ryby, co jak ptaki mają skrzydła, nosy i głowy zaś jak u bocianów, i kiedy jęj łeb z worka dziurę wytknie, przysięgłby drugi, że bociana ma w worku; ale siłaby o tym pisać. Zażywaliśmy też tam różnęj zabawy na morzu, wsiadszy w bat. Kiedy woda spokojna była, to jeno było stanąć spokojnie, a ujrzało się rozmaite gadziny, zwierze morskie i cudne ryby, a osobliwie w tym miejscu, gdzie jest trawa, z któręj sól robią, bo w tym miejscu tak jest morze przezroczyste, że na sto chłopów w głąb obaczyć można najmniejszą rybkę i cokolwiek pływa przeciwko owęj trawie, która się bieli w głębi jako śnieg i dla tego widać każdą rzecz naprzeciw owemu odbiciu promieni. Tę trawę rwą osakami żelaznymi; puszczają je na dno na długim sznurze, a tak wyciągają tę trawę i na brzeg wywożą, rozrzucając ją po krzakach, a skoro uschnie, to ją palą i sól z tego robią bardzo dobrą. Lecz nietylko trawa, ale i ziemia znajduje się ta-

ka, że kiedy potrawę jaką osolić trzeba, to biorą na miskę garść ziemi i wypłukawszy ją wodą, zlewają tę wodę w garnek, gdzie za pół godziny zsądzie się sól bardzo piękna.

Różnych rzeczy dziwnych napatrzyłem się na dnie morskim; miejscem są piaski czyste, miejscem trawy i coś jak drzewka; miejscem stoją skały, tak jako jakie słupy, jakie budynki, a na owych skałach siedzą jakieś zwierzęta dziwne. Kiedyśmy chcieli doskonale napatrzyć się owych bestyj, to był tam zamek pusty na morzu, 4 duże mile od Ebeltoft na wielkiej skale, który się zowie Ryfwan Anont. Pojechawszy do owego zamczyska przed południem i zostawiwszy barkę przy lądzie, utailiśmy się w rozwalinach, nic się nie odzywając; aż tu powyłaziły na ową skałę owce, delfiny okrutne, wielkie psy morskie i inne zwierzęta i pokładły się ku słońcu, rozwalivszy swe srogie i tłuste brzuchy. Napatrzywszy się już do woli owych dziwotworów, to jeno było małym kamyczkiem tam cisnąć, to się wszystko w jednym mrugnieniu oka pochowało w morze. Tameczni mieszkańcy powiadali, że choć to i z rusznicy strzelili do tego, to darmo zepsuje nabicie, bo zaraz i z postrzałem w morze wpada, a gdy tam zdechnie, to się komu innemu do stanie, bo morze nie wiezieć gdzie wyrzuci.

Pamiętniki Jana Chryzostoma z Gostawic Paska.

Śmierć Czarnieckiego.

W Sokółwce, przed chatą u proga
 Pachołkowie i ludu czeru mnoga,
 Stoi stępak u żłobu powolny,
 A w świetlicy leży Hetman polny.
 Krzepkim ciałem już władnąć nie może:
 Złożył ręce jakby do modlitwy,
 Ale wojak ciągle marzył bitwy,
 To o Szwedach odmawia pacierze,
 To Stawiszczan rozuhkanych bierze,
 A przy świetle gromnicy ksiądz cichy
 Świętym krzyżem maże ziemskie grzechy.
 Prosi Boga w pokoju i skrusze,
 By do raju przyjął starca duszę.

A lud słowa powtarza kapłana:
 „Sługę Twego—zbaw Panie—Stefana!”
 Zarzął stępak u żłobu powolny,
 Wzniósł na łożu głowę Hetman polny,
 Bielmem zaszłą roztworzył żrenicę
 I popatrzył na smutną gromnicę;
 Witał księdza—jak ze snu powstały,
 I znów słuchał, jak rzy jego biały.
 „Wprowadźcie go!”—skinął na hussarzy,
 I wnet biały po izbie się waży;
 Na pierś starca kładzie łeb swój suchy
 (A obadwaj biali jak dwa duchy).
 Śmiał się Hetman jak dzieciak szczęśliwy,
 Tuląc ręce między śniegi grzywy.
 „O mój biały!”... A biały, spokojnie
 Zda się z panem rozmawiał o wojnie.
 Raz po raz to czerepem ruszy,
 Aż starcowi jakoś tęskno w duszy.
 Wzniósł buławę—spojrzał w koło groźno
 I rzekł:—Królul dałeś ją za późno!
 Potym opadł na łoże bez siły;
 Znowu rzesze pacierze mówiły,
 Znowu stępak u żłobu powolny,
 A w świetlicy leży Hetman polny....
 Pan Kijowski nie daje rozkazów;
 Twardych z ust swych nie ciska wyrazów;
 Ani rzeniem nie zbudzi go siwy,
 Bo wódz wielki już leży nieżywy!
 A twarz jego szlachetna, uczciwa
 Jeszcze jakimś postrachem przeszywa,
 Jeszcze z śmiercią nawet walczy samą
 I szeroką odzywa się szramą:
 Jam nie z soli—ani z roli,
 Ale z tego co mnie boli!

Antoni Czajkowski.

OBRONA WIEDNIA.

Wielki wezyr Kara Mustafa na czele 300,000 wojska śpiesznie ciągnął pod Wiedeń, Leopold z familiją swoją uciekł do Lincu; stamtąd, pisząc o posiłki do króla Jana, długo się na-

myślał, czyli mu dać tytuł Majestas lub nie. Tknięty był niebezpieczeństwem chrześcijaństwa król polski, tymbardziej, gdy idącemu gankami do kościoła nuncyusz papieski Pallavicini i poseł cesarski hr. Wilczek padli do nóg, ten wołając: królu, ratuj Wiedeń! a ów: królu, ratuj chrześcijaństwo! Ruszył więc król na czele rycerstwa swego i dnia 7-go września przeprawił się przez Dunaj. Już Wiedeń, oblężony od 14 Lipca, w ostatnim widział się niebezpieczeństwie, gdy wojska sprzymierzone złączyły się z wojskiem polskim. Było tam 30,000 Polaków, 10,000 Austryjaków pod dowództwem dzielnego Lotaryngii księcia, 10,000 Sasów pod elektorem Janem Jerzym III, 10,000 Bawarczyków, 8,000 Rzeszy niemieckiej. Objął nad wszystkimi król polski najwyższe dowództwo. Dnia 12 Września ze świtem król, kazawszy uderzyć z dział do namiotu w. wezyra, wystrzałem tym dał znak do bitwy. Odparci Austryjacy na lewym skrzydle mieszać się poczęli, wsparli ich Sasi i inne posiłki niemieckie, i mężnie zapęd Turków wstrzymali. Wtym król rozkazał hussarzom polskim uderzyć na obóz w. wezyra, chorągiew królowica Aleksandra i Tarły wojewody Lubelskiego pierwsze złamały szyki tureckie; wsparli je dzielnie Mikołaj Sieniawski hetman polny i Marcin Kącki generał artylerji. Stanisław Potocki, walcząc na czele pułku ojca swojego Jędrzeja kasztelana Krakowskiego, jeden z pierwszych w tej bitwie poległ na polu sławy. Zwycięstwo stało się zupełnym, namiot wezyra, niezmierne łupy dostały się zwycięzcom. Jabłonowski hetman w. kor. uciekających Turków ścigał w węgierskie granice. Nazajutrz król wyjechał do Wiednia wśród radosnych wdzięcznego ludu okrzyków i składał dziękczynienia Bogu w kościele św. Stefana. Trzeciego dnia dopiero przyjechał z Lincu Leopold; długo namyślał się on cesarz z radcami swoimi, czy się ma witać i jak się ma witać z królem, który państwo jego ocalił. Jeden wspaniałomyślny książę Lotaryński, acz z przyczyny króla Jana i żony i berła pozbawiony polskiego, zawołał, iż zbawcę swego bez ceremonii z otwartymi przyjąć należy rękoma. Rozmaite są o spotkaniu dwóch monarchów dziejopisów podania; słusznie iść za Daleyrakiem, jako nie należącym

do żadnego z narodów, a obecnym zdarzeń tych pisarzem i wiedzem. Ten więc w pamiętnikach swoich powiada, że monarchowie zjechali się o półtóry mili od Wiednia pod Szwechat, że po grzecznym przywitaniu, gdy Leopold coś zcicha o wdzięczności wspomniał, „Mój bracie—rzekł mu Sobieski—rad jestem, żem wam uczynił tę małą przysługę.“ Tu biorąc królewica Jakóba za rękę i przedstawiając go cesarzowi, „jest to syn mój—przysłał, wychowuję go na chrześcijaństwa obronę.“ Leopold na to nie odpowiedział i słowa. Tknięty tą dumą Jan III, zwracając konia, „jadę do wojska—rzecze—dałem rozkazy, aby hetmani pokazali wam me pułki, jeżeli wola oglądać.“ Postrzegł się Leopold, że króla obraził; we dwa dni więc potem, widząc, że prócz króla Lotaryńskiego inni z Rzeszy niemieckiej opuszczali go, że jeszcze potrzebna mu była pomoc Polaków, z wymawianiem się list do królewica napisał.

Jul. Urs. Niemcewicz.

Jan Trzeci.

Przed kim Osmana uległa potęga,
 Kto świeżym laurem czoło swe ozdobił,
 Ten po najwyższą godność śmieje sięga:
 Wart berła, kto się mieczem berła dobił.

Trapił bezbronną Polskę Turczyn dziki:
 Płonęły miasta pożarem i dymem,
 Kiedy Sobieski z nielicznymi szyki
 Zniósł bisurmańskie hufce pod Chocimem.

Jeszcze nie otarł szabli krwią oblaną,
 A już nieszczęsny Michał żyć przestaje,
 Sobieski, chlubny z tak świetnej wygranej,
 Z zwyciężkim wojskiem w polu obrad staje.

Wielu się książąt o tron ubiegało,
 Świetnych potęgą i licznym orszakiem,
 Ci rodem, Jan nasz jaśniał tylko chwałą,
 Umiał zwyciężać—był naszym rodakiem.

Już z wodza królem, rządząc dwa narody,
 Szkodliwe błędy zamyśla poprawić;
 Lecz gdy w tym znalazł niezłomne przeszkody,
 Zostało tylko orężem się wsławić.

Kara Mustafa tłum Turków zawzięty
 Groźnie przybliżał ku wiedeńskim szancom;
 Uciekł Leopold, bojaźnią Turków przejęty,
 Stolicę na łup wydając pogańcom.
 Tu poseł jego, widząc króla Jana,
 „Ratuj—zawołał—i Wiedeń i państwo!”
 To mówiąc, z płaczem upadł na kolana,
 A legat przydał: „ratuj chrześcijaństwo!”
 Bohater, tknięty głosem potrwożonych,
 Sam spieszenie wiedzie swe hufce dobrane.
 Już na Kahlbergu w oczach obleżonych
 Widać proporców lasy nieprzejrzane.
 Jak orzeł, kiedy w dole zoczy zwierza,
 Lotnym się szybem z pod obłoków ciska,
 Z tym pędem wojsko polaków uderza
 I szablę wpośród nieprzyjaciół błyska.
 Rozprasza tłumy rycerstwo skrzydlate
 I Mahometa chorągiew wydziera,
 Zdobywa obóz i łupy bogate,
 A Wiedeń bramy zwyciężcom otwiera.
 Wjeżdża Jan trzeci z swoimi hetmany;
 Wpółśród radosnych pospólstwa okrzyków;
 Gdzie się pokazał, wszędy głos słyszany:
 „Oto nasz zbawca, pierwszy z wojowników.”
 Niechętnie cesarz dobroczyńcę wita.
 W licznym orszaku jadą z nim dworacy,
 Szata ich złotem i perłami szyta.
 Przy królu zbrojne na koniach polacy.
 Odmienne było monarchów postaci.
 Chciał Cesarz mówić, lecz gdy słów nie stało,
 Rzekł mu król polski: „rad jestem, mój bracie!
 Żem Ci uczynił tę przysługę małą!”
 Król, co tak dzielnie postąpił w tej sprawie,
 Nie znalazł później wdzięczności zapłaty:
 W każdym przymierzu i w każdej wyprawie
 Nie widział tylko zawody i straty.
 Wśród trosków wolnej chcąc używać doby,
 Gdzie Wisła raz się okaże, znów chowa;
 Zgromadza głązy i świetne ozdoby
 I wznosi pyszne gmachy Wilanowa.

To było jego najmiłsze ustronie;
 Tam słodząc troski zbyt przykrój niedoli,
 Z swym Jabłonowskim lub w uczonych gronie
 Chodził pod cieniem odwiecznych topoli.
 Tam umarł, a jak słońce u zachodu
 Jaśniejszym ziemię oświeca promieniem;
 Tak i on dzielnie wzniosł sławę narodu,
 Nim Polska śmierci okryła się cieniem.

Jul. Urs. Niemcewicz.

K R A K Ó W.

Kraj, który n się zbliża do Krakowa od bramy Sławkowskiej, jest piaszczysty i mniej żyzny. Zapomina o tym podróżny, gdy, wjechawszy na wzgórek, odkrywa starożytną stolicę. Przybyłem do Krakowa wieczorem 11 Lipca w dzień, kiedy miasto obchodziło przybycie wojewody Potockiego, prezesa rady stanu i ministrów, dając dla niego wieczór w Sukiennicach rzęsto oświetlonych. Jestto gmach ogromny i wspaniały; kilka tysięcy ludzi wygodnie w nim mieścić się może. Jakkolwiek bądź dobrane liczne towarzystwo, blask gorejących światel, cała miejscą tego wspaniałość uderzały mnie, nic jednak nie wzruszyło mnie bardziej jak myśl, że ogromna ta budowa wzniesiona była ręką największego z królów naszych Kazimierza W. Jaka zamożność, jaki handel, jakie rękodzieła musiały być naówczas w mieście Krakowie i w całym państwie, gdy cała budowa złożona ze sklepów samymi sukiennikami była napelniona.

Nazajutrz poszedłem na górę Wawel do kościoła św. Wacława na zamku. Mijam bajecznego założyciela Krakusa, w jaskiniach téj skały zabitego smoka; pewniejsze, świetniejsze zajmowały mnie pamiątki: pobyt w tych gmachach tylu królów i książąt z pokolenia Piastów i Jagiellonów. Tu przywiedziona córka Gedymina z książąt litewskich za żonę Kazimierza W. dziwiła się przepychowi polskiemu. Tu Kazimierz W. wjeżdżał w tryumfie, podbiwszy Ruś Czerwoną i wioząc za sobą niezmierne skarby. Tu Jagiełło, Ziemowit, książę Siedmiogrodzki, Wilhelm Rakuski, miotani nadzieją, bojaźnią, miłością stawili się

przed piękną Jadwigą. Tu mieszkał Kazimierz Jagiellończyk z siedmiu synami i tyluż córkami. Stąd Zygmunt Stary wychodził na powitanie Tarnowskiego, gdy ten po Obertyńskim zwycięstwie wracał z tryumfem, wiodąc z sobą tysiące więźniów, działa, chorągwie, zatracone niegdyś przez Jana Olbrachta na Bukowinie. Tu Zygmunt August na łonie pokoju oddawał się powabom nauk, rozmowom Myszkowskiego, Tomickiego i innych. Tu później Czarniecki z garstką ludzi wytrzymał dzielnie szturm licznych wojsk szwedzkich. Ten zamek, szanowny wiekami, wojną i pokojem, smutnej w zaszłych latach doczekał się zmiany. Uszedł jeszcze przed podobuym zamku samego ztraceniem kościół św. Wacława, najszanowniejsza, najpiękniejsza pamiątka. Założył go Mieczysław I-szy, rozprzestrzenił Bolesław Krzywousty, naostatek gdy w roku 1320 ogniem spłonął, Naukier, biskup Krakowski, wybudował ten kościół kształtem takim, jakim go dzisiaj widzimy. Zygmunt I-szy przydał do niego kaplice dla rodu swego. Biskupi: Maciejowski, Tyliski, Szyszkowski, Gamrat, Gembicki, powiększali go i zdobili. W nim oprócz ostatniego Stanisława Augusta, wszyscy królowie koronowali się, w nim grzebano ich zwłoki. W nim przechowywano korony, berło i wszystkie znamiona dostojności królewskiej. Wspaniałość kościoła, ozdoba ołtarzy, skarb kościelny, grobowce królów i bohaterów odpowiadają wielkości przeznaczenia.

W Krakowie godne są widzenia: Kościół św. Anny z pomnikiem Kopernika, kościół Maryjacki z wysoką wieżą i dzwonem Zygmuntowskim, Kościół na Skałce, gdzie Bolesław Śmiały zarażał św. Stanisława, kościół św. Piotra pojezuicki, struktury rzymskiej, z ciosowego kamienia, i wiele innych świątyń Pańskich; gmachy akademii Krakowskiej przez Kazimierza W. założonej w r. 1354; Jagiełło za sprawą Jadwigi uzupełnił ją 1400 r., stąd akademija krakowska nazywa się inaczej uniwersytetem Jagiellońskim. W obrębie akademii mieści się bogata biblijoteka Jagiellońska, gabinet historyi naturalnej i mechaniki i kilka burs dla ubogich studentów.

Kraków otaczają przedmieścia: Kleparz, Stradom, Piasek, Wesoła, gdzie jest ogród botaniczny i obserwatoryjum astronomi-

czne, Zwierzyniec i Kazimierz, samymi żydami zasiadły, gdyż w mieście im ani mieszkać ani nocować nie było wolno. W pięknych okolicach Krakowa znajduje się góra św. Bronisławy, a na niej Kościuszki Kopiec; pod wsią Mogiłą, gdzie opactwo Cysterskie, Kopiec Wandy; Klasztor księży Kamedułów na górze, Bielanami zwanój.

J. Niemcewicz.

Kruk Fundator ołtarza.

Z podania dziejowego.

. . . . Żyje już lat tyle
I wiele dziwnych rzeczy było w świecie,
Nie jeden widział kruka na mogile
Ale o kruku z Mogiły nie wiecie!..
Jest tam Mogiła blisko od Krakowa,
Księży Cystersów opactwo to dawne
I działa się tam rzeczy bardzo sławne,
Które dla świata ta kronika chowa.

Roku pańskiego 1621.

Pod tym to rokiem stoi zapisane,
Jak na kronikę zabawne zdarzenie
I swego czasu widać było w cenie,
Kiedy w annałach klasztoru podane.
Jak to na świecie, tak też i w klasztorze,
Różne chowają się stworzenia Boże.
Otóż tu piszą, co się rzadko zdarza,
Że kruk był kiedyś fundator ołtarza.

—Jak to kruk? pytam, a to być nie może!

—Tak jest w istocie. I oto tu stoi,
Że księża kruka chowali w klasztorze;

Ale kruk krukiem, zawsze swoje broi;

Otóż gdy zmędrzał i już się ośmielił

I gadać umiał, latał do Krakowa,

I bardzo ludzi po mieście weselił.

Bo dziwnie sprytnie mówił wszystkie słowa.

—Mów Zdrowaś Marya! furtyan go naucza,

Ale kruk krukiem i natura krucza

Ciągnie i kruka i wilka do lasu...

Otóż tak było i onego czasu.

Kruk po Krakowie i latał i gadał,

Lecz jak mówiono i ludzi okradał;

I choć na bruku z pauprami się bratał,
 Po cenne rzeczy aż przez okna wlała.
 I wiele było posądku i szkody,
 Po całym mieście. I gdy kruk już leci,
 To wielka radość bywała dla dzieci;
 Lecz się po domach lękano przygody,
 Bo siła rzeczy poginęła w mieście.
 I kiedy kruka z Mogiły zobaczą,
 Jak na raroga wszystkie sługi kraczą:
 „Kruk, kruk z Mogiły!” I zginął kruk wreszcie,
 I lat znów wiele po kuku ubiegło,
 I wielu ludziom już się w grobie legło,
 Którym kruk niegdyś pokradł był drogość,
 Gdy miastem latał w nieproszone goście,
 Aż się przypadkiem skarb znalazł na wieży,
 Co go różnemi czasy kruk poznosił...
 Zeszli się księża—patrzają, a tu leży
 Złoto i srebro i drogie klejnoty.
 Więc i nie małe były ztąd kłopoty,
 Coby z tym zrobić! I przeor uprosił
 Aż sąd duchowny o wyrok w téj sprawie.
 A gdy nie było przejrzone w ustawie,
 Jakby ujść gładko z takiego wypadku;
 Gdy nikt przed sądem nie stanął przy świadku,
 Sąd o tym skarbie tak w końcu stanowi,
 Że go na własność oddał klasztorowi;
 I jest w Mogile ozdobnie wzniesiony
 Na cześć wielkiego patrona korony
 Ołtarz—a przy nim, co się rzadko zdarza,
 Jest ów kruk złodziej gładko wyrobiony
 Jako fundator w wierzchu ołtarza.
 Kiedy ksiądz Dziekan kroniczkę odczytał,
 —Czy nie zabawne? ze śmiechem zapytał.
 Bardzo zabawne i nikt nie zaprzeczy,
 Więc niech to idzie do klasztornych rzeczy.

W. Pol.

STANISŁAW KONARSKI.

Za panowania Augusta III mędrsi i gorliwsi obywatele
 przewidywali, że ten nieład musi przyprowadzić ojczyznę do

zupełnego upadku; zaczęli więc rozmyślać, jakby temu zaradzić. Uznali, że trzeba przede wszystkim poprawić szkoły. Było dwóch takich zacnych i gorliwych mężów: Józef Załuski biskup kijowski i Stanisław Konarski pijar. Załuski bardzo miłował nauki, autorom pomagał, pożyteczne dzieła drukował, a wszystkie swoje dochody obracał na zakupywanie książek, a mianowicie dotyczących się rzeczy krajowych. Zebrał sto kilkadziesiąt tysięcy tomów, zakupił i wyporządził pałac w Warszawie na ich pomieszczenie; obmyślił fundusze na bibliotekarza i ofiarował bibliotekę na pożytek powszechny. Każdy mógł w oznaczonych godzinach przychodzić tam i czytać książki, jakie mu były pożyteczne. Stanisław Konarski, pochodzący z rodziny szlacheckiej, wstąpił do zgromadzenia księży Pijarów. Zgromadzenie to, które sprowadził do Polski król Władysław IV i opatrzył funduszami, trudniło się, podobnie jak zgromadzenie Jezuitów, nauczaniem młodzieży. Z początku mieli mało szkół i tylko uczyli początkowych nauk, z czasem powiększyła się liczba ich klasztorów przez różne zapisy i dary. Ksiądz Stanisław Konarski zaprowadził poprawę w urządzeniu tego zakonu i podniósł nauczanie na ten stopień, na jakim było w oświeconych krajach. Napisał książkę: *O skutecznym rad sposobie*. W niej naucza, jak trzeba radzić na sejmach, żeby dobry skutek przyniosły; bardzo powstaje na zrywanie sejmów, na owe nieszczęśliwe *nie pozwalam, Veto*—które wiodło Polskę do ostatecznego upadku. Drugą książkę napisał o wymowie, to jest o czym i jak trzeba mówić na sejmach, sejmikach i wszelkich zjazdach. Wyłożył, że człowiek mądry i kochający swoją ojczyznę, nie będzie gadał marnych słów, ale powie otwarcie i śmiało to, co uznaje za pożyteczne i potrzebne, a taki będzie prawdziwie wymowny. Dwie te książki bardzo chciwie czytano w kraju; niektórzy gniewali się na autora, ale większa część obywateli chwaliła go i była mu wdzięczną. Oprócz szkół publicznych, które utrzymywali Pijarzy, a do których chodziły dzieci wszystkich stanów, założył Konarski konwikt czyli szkołę dla synów szlacheckich, a tam, oprócz nauk szkolnych, wskazywał im, że jak dorosną, mają pracować nad zaprowadzeniem porządku w kraju.

nad powiększeniem wojska i skarbu. Tak więc przez ciąg panowania Augusta III rozszerzała się oświata w kraju i zaczęto spodziewać się poprawy i lepszej przyszłości.

Fr. Sal. Dmóchowski.

STANISŁAW JACHOWICZ.

Stanisław Jachowicz urodził się 17 Kwietnia 1796 roku we wsi Dzikowie, położonej w Galicyi w obwodzie Rzeszowskim. Początkowe nauki pobierał w Rzeszowie, następnie w gimnazjum w Stanisławowie, a w roku 1815 zaczął uczęszczać na wydział filozoficzny w uniwersytecie Lwowskim. Mimo to, że w szkołach Galicyjskich wszystkie nauki wykładano tylko w niemieckim i łacińskim języku, Jachowicz nie zaniedbał się kształcić i w ojczystej swój mowie, a obdarzony z natury pisarskim talentem już przed rokiem 1818 prace swe w pismach peryodycznych zaczął umieszczać.

Po skończeniu uniwersytetu przybył do Warszawy i do Kancelaryi prokuratoryi przyjętym został; obok tego zaczął dawać lekcye języka polskiego i literatury polskiej, a następnie oddał się całkiem zawodowi nauczycielskiemu i na tym mozolnym polu, do ostatniej prawie chwili życia, z niezmienną wytrwałością pracował.

W roku 1824 wydał w Płocku pierwszy zbiorek swoich powiastek i bajeczek dla dzieci, pod tytułem: *Bajki i Powieści Stanisława Jachowicza*. Bajeczki te od razu przypadły do serca wszystkim, bo wypłynęły z serca, po ojcowski i chrześcijański miłującego dziatki, pragnącego zaszczyć w nich zamilowanie cnoty, uchronić od wad, młodemu wiekowi właściwych. Bajeczki Jachowicza, jak stado drobnych jaskółek, rozleciały się po polskiej ziemi; świegotały je wszystkie dzieci, czytały wszystkie matki, i z dniem też każdym rosła sława ich autora, zwiększało się małych jego czytelników grono. A bajeczek wciąż przybywało, to wesołych i śmiesznych, to rzewnych i tkliwych, to o Stasiu mazgaju, o upartym Rudolfku, to znów o poczciwym chłopczyku, o biednej sierocie, a wszystkie one na-

turalne, niby już nam oddawna znajome, a prosto idące do młodego serca. Z jednego tomika bajek zrobiło się później cztery, a prócz tego wyszły jeszcze: Czytania Józi, Kalendarzyk dla dzieci, Powiastki dla Eryczka, Rozmowy matki z Józią, Śpiewy dla dzieci i t.d. Prócz tego napisał jeszcze Jachowicz Powieści dla rzemieślników i Rozrywki dla młodzieży rzemieślniczej, gdyż pragnął i tej młodej braci przynieść duchowy posiłek, umocnić na drodze życia, przyjaznym i serdecznym słowem do zamyślenia cnoty i pracy zachęcić. Żadnej bowiem między dziećmi nie czynił różnicy, a kochał zarówno wszystkie, czy to w dostatnim urodzone stanie, czy w ubóstwie, czy to siedzące w pięknym salonie, czy przy warsztacie, lub w wiejskiej chacie, a to dla tego, abyście i wy tak samo kochały wszystkich braci waszych, ceniły ich nie według sukni lub majątku, bo to jest rzeczą ślepego trafu, ale według ich serca, według cnoty, bo ta tylko jest prawdziwym odznaczeniem; to tylko — chlubnym dla człowieka tytułem, rzeczywistą jego zasługą.

Nietylko jednak jako pisarz i wyborny nauczyciel zasłużył sobie Jachowicz na powszechny szacunek, ale i jako opiekun sierot. Serce jego, które tak kochało małe dzieci, tym silniej czuć musiało niedolę owych biednych istot, co rzucone, po stracie rodziców swoich, na wolę losu, od Boga tylko mogły się spodziewać pomocy. Im to ojcowską pomoc niósł Jachowicz: był ich troskliwym opiekunem, gorliwym nauczycielem, czuwał nad ich młodzieńczymi laty, czuwał i później, gdy już sami na chleb swój pracować mogli.

Za jego staraniem stanął ów piękny gmach na Nowym Świecie, przeznaczony dla sierot biednych, na który sam 80 tysięcy złotych zebrał.

Życie tak użyteczne, tak poświęcone dla dobra bliźnich, zjednało Jachowiczowi miłość i szacunek wszystkich; gdy w roku 1856 pojechał do Ciechocinka, aby stargane w pracy poratować zdrowie, wszystkie dzieci, tam znajdujące się, wyszły uroczyście na jego spotkanie, kwiatami uwieńczyły starego przyjaciela swojego, za niego szczerze modły zносиły do Boga. Nietylko dziatwa jednak okazać mu pragnęła swą wdzięczność:

następnego roku L. Pietrusiński uczynił odezwę do wszystkich dawnych uczniów, uczennic i przyjaciół w celu zebrania wieńca. Najznakomitsi autorowie, najzasłużeńsi ludzie pośpieszyli przyjąć udział w wydaniu tego pisma, mającego być uwieńczeniem pracy Jachowicza. Ze wszystkich stron Polski nadsyłało artykuły i cztery zeszyty wyszły już na widok publiczny, świadcząc o ogólnej dla Jachowicza wdzięczności, gdy Pan powołał go do Siebie. Dnia 24 Grudnia 1859 roku Stanisław Jachowicz zasnął snem wiecznym, owym snem, co go nasz Jan Kochanowski nieprzespanym nazwał.

Edward Lewiński.

PIERWIASTKOWA ŻEGLUGA.

Żaden z pisarzy starożytnych nie przekazał potomności imienia człowieka, który pierwszy odważył się puścić na burzliwe wały oceanu. Rzecz prosta, bo wynalazek żeglugi o wiele lat uprzedził wynalezienie pisma. Na wyspach Spokojnego oceanu dzikie ludy wszystkie żeglowały dobrze, chociaż pisma nie znały; tak samo działo się w czasach przedhistorycznych wśród ludów zamieszkujących świat stary.

Pismo święte wprowadzie podaje dokładny opis arki Noego, wszelako wówczas już dobrze musiało być znany budowanie statków, gdy się go jął ów patryjarcha z taką łatwością; zawsze jednak arka pierwszym jest okrętem ogromnych rozmiarów, o którym dzieje zachowały nam ślady.

Księga Rodzaju pisze, że arka miała długości 300 łokci, szerokości 50, a wysokości zaś 30. Wiadomo, że łokieć dawnych Hebreów miał trzy stopy długości; arka więc przewyższała rozmiarami wszystkie nowoczesne okręty, nie wyjmując nawet olbrzymiego parowca Greath Eastern, który o jedną trzecią jest krótszy.

Żegluga jednak w kilka wieków po potopie była jeszcze w kolebce; na kruchych, nie pokładowych łodziach objeżdżano tylko niewielkie wybrzeż przestrzenie, nie odważono się daleko od lądu odpływać i tylko przy stałej pogodzie czołna rybackie udawały się na połów. Dopiero Fenicyjanie pierwsi poświęcili

się sztuce żeglarskiej, podnieśli ją do godności nauki i szczycili się tym, że są najlepszymi sternikami z całego znanego wówczas świata.

Naród ten żeglarski poprzedzał późniejszą mórz królowę, Kartaginę, jak we dwa tysiące lat z górą później odkrycia Portugalów poprzedziły potęgę morską Wielkiej Brytanii.

Floty Fenicyjan składały się z dwojakich statków: wojennych i kupieckich; pierwsze miały przód i tył zaostrzone, drugie zaokrąglone. Żeglarze fenicyjscy zwiedzali naprzód wybrzeża morza Śródziemnego i Czarnego, na których mnóstwo założyli osad; później odważyli się przebyć cieśninę Gibraltarską i, ku północy płynąc, badali brzegi Europy; ku południowi puszczali się wybrzeżem afrykańskim. I tu i tam zawiązywali stosunki handlowe.

Pomimo to jednak wyprawy morskie Fenicyjan odbywały się bardzo niedołąźnie. Płynęli zawsze, jak już wspomnieliśmy, wzdłuż brzegów, nigdy nie tracąc ich z oczu; żegluga odbywała się tylko we dnie i w czasie pogodnym; gdy podczas płynięcia zerwała się burza, natychmiast umykano do portu, szukając zachrony. Jeżeli sternik nie mógł wpłynąć do wygodnej zatoki, natenczas starał się, aby morze okręt wyrzuciło na płaskie wybrzeże, skąd statek za powrotem pogody spychano w morze przy pomocy drągów i walców. Taki sposób żeglowania wymagał zupełnej znajomości wybrzeży, świadomości każdej ławicy piasku, haków i szkopułów podwodnych, prądów i wirów; na wybrzeżach nieznanach posuwano się naprzód zwolna z ołowianką w rękę. Nadto żegluga trwała nadzwyczaj długo, gdyż głębokie zatoki i zalewy morskie, każdy wyskakujący przylądek, wysunięty półwysep, przedłużał drogę nieskończenie; w czasie zaś wiatru przeciwnego, trzeba było albo czekać cierpliwie na przyjaźniejszy powiew, lub też zupełnie zaniechać obranego kierunku. Wycieczki też, które dzisiaj żaglowe nawet statki w kilku dniach odbywają, wymagały podówczas kilku miesięcy czasu; nadto nie umiano przechowywać żywności inną prócz zboża, a gdy w dalekich stronach zapasy jego uznano za niedostateczne, marynarze zawijali do brzegu, wysiadali na ląd

i zamieniali się czasowo na rolników, siejąc zboże i oczekując zbioru, aby dalej można było rozpoczętą podróż odbywać.

Ciekawą jest ze wszech miar wyprawa morska fenickich żeglarzy, podjęta w r. 610 przed narodzeniem Jezusa Chrystusa, z rozkazu Nechaona króla Egiptu. Żeglarze wypłynęli z portów Czerwonego morza, płynęli wzdłuż побереży afrykańskich przez całe lato; w jesieni wysiedli na ląd, kędy zasiali i zebrali zboże, a nagromadziwszy tym sposobem potrzebną ilość zapasów żywności, w dalszą puścili się drogę. W następnym roku powtórzył się siew i żniwo, a odważni marynarze coraz dalej płynęli naprzód. Nakoniec w trzecim roku podróży przez słupy Herkulesa (cieśninę Gibraltarską), wpłynawszy na morze Śródziemne, szczęśliwie wylądowali w Egipcie. Herodot, historyk grecki, który nam podał wiadomość o tej podróży, nie chciał wierzyć, by żeglarze, przez pewną część swój jazdy płynąc ku zachodowi, słońce po prawej ręce ciągle mieli; nie wiedział bowiem, że po przebyciu równika położenie jego się zmienia; zdaje się, że to opłynięcie przez Fenicyjan Afryki nie było ostatnim.

Zyski handlowe, odnoszone przez Fenicyjan i zwiększające olbrzymie ich bogactwa, były nieustannych wypraw podniętą. Kiedy Nebukadnezar zburzył Tyr stary, Fenicyanie poczęli gdzieindziej szukać dla siebie bezpieczniejszych siedlisk — wybiegli daleko na zachód i rozszerzyli tam swoje osady. Do owej epoki odnieść należy nie tylko powstanie różnych miast fenickich na wybrzeżach północnej Afryki, Hiszpanii i południowej Galii, ale także odkrycie wysp Kassiteridów, obfitujących w cynę. Jedni uważają wyspy te za dzisiejsze Scilli, mały Archipelag przy południowym brzegu Anglii, drudzy za Kornwalię. Śmiali żeglarze feniccy zapuścili się jeszcze dalej na wschód i przywozili z wybrzeży Bałtyku bursztyn, kupowany od nich na wagę złota.

Kiedy najprzód Sydon przez Babilończyków, a później kwitnący po nim Tyr przez Aleksandra W. zburzonymi zostały, a zakwitła założona przez tego zdobywcę Aleksandryja, wtedy Fenicyjanie ograniczyli się do handlu pobeżnego, bądź

też przenieśli się do Kartagi, która teraz stanęła na czele żeglugi; bądź wreszcie zamieszkali inne osady na morzu Śródziemnym, jako-to: Marsylię, Kadyks, Kartaginę, które po dziś dzień kwitną jeszcze.

Lud kartagiński, potomek ludu fenickiego, odziedziczył po nim potęgę morską, a okręty téj rzeczypospolitéj pokrywały wszystkie morza, dzierżąc w swym ręku handel świata. Gromadząc skarby, o jakich dziś trudno mieć wyobrażenie, kupcy w Kartadze byli wszystkim: oni dowolnie rządili krajem, tworzyli senat i najwyższe w ojczyźnie dzierżyli godności. Rozmęczeni zbytkami, sami nie wojownicy, najmowali hordy barbarzyńskich ludów, Galii, Celtyberyi, Afryki, aby za złoto rozszerzały panowanie Kartaginy po świecie, lub by ją w niebezpieczeństwie zasłaniały swą piersią.

Bogactwa i potęga morska Kartagi wnet obudziły zazdrość rywalki jój, młodéj a chciwéj panowania rzeczypospolitéj rzymskiej.

Pierwiastkowo Rzymianie poprzestali na wysyłaniu statków śledzących okręty handlowe kartagińskie, dla dowiedzenia się, skąd dowożą drogocenne towary.

Kartagińczycy, zazdrośni o swe skarby, nieraz widząc po za sobą płynące statki żeglarzy rzymskich, nie wahali puszczać się na mielizny, haki, wiry, aby pociągnąć za sobą Rzymian, i ginęli, gubiąc przeciwników — okupując śmiercią swą tajemnicę. Dla tego też nie rychło udało się Rzymianom wynaleść drogę do wybrzeży brytańskich i bałtyckich.

Zawrzały trzy straszne wojny punickie. Gdyby nie niegodziwość i intrygi kupców kartagińskich, genijusz wodzów starożytnego świata, Hannibal, byłby w drugiej wojnie zgniół Rzym; świat byłby inną przybrał postać; ale nikczemni zdradzili i na pastwę Rzymianom wydali swego obrońcę. Spodłona, poniżona Kartagina, w trzeciej dopiero wojnie odzyskała szacunek narodów, stając się bohaterką, jaśniejącą męczeństwem w upadku; lecz największe poświęcenie, opór rozpacz, wysilenia i cuda waleczności nie zdołały ocalić jój od zguby; runęła w gruzach, a Rzymianie stali się panami świata starożytnego na lądzie

i morzu. Odkrycia ich jednak szły nadzwyczaj powoli, dopiero w 59 roku po narodzeniu Chrystusa, dosięgnęli wysp brytańskich, a za panowania cesarza Nerona dopłynęli наконец do wybrzeży bałtyckich, obfitujących w pożądany bursztyn.

Wł. Lud. Anczyc.

ODKRYCIE AMERYKI.

Kiedy Bartłomiej Diaz i jego następcy, opływając Afrykę, starali się wynaleść drogę do Indyj Wschodnich, Krzysztof Kolumb, Genuńczyk, powziął myśl dopłynięcia do nich inną drogą, udając się oceanem wprost na zachód, a pomysł ten doprowadził go do odkrycia Ameryki.

Sławny ten człowiek, w ojczyźnie swój zwany Colombo, a w Hiszpanii Coloo, urodził się w Genui r. 1449. Ojciec jego, z powołania żeglarz, dał synowi staranne wychowanie, a chcąc go zawczasu wyćwiczyć w swym rzemiośle od czternastego roku brał na morze.

Młody Kolumb w ósmnastym roku życia dowodził już statkiem należącym do jego krewnych.

W czasie wojny z Wenecyanami, Kolumb zahaczył i zdobył okręt nieprzyjacielski; osada wenecka podpaliła swój statek, a gdy płomienie poczęły ogarniać i statek Kolumba, ten, nie widząc innego sposobu ocalenia się, skoczył w morze i po dwugodzinnej walce z bałwanami, zaledwie brzegu dosięgnął.

W tym właśnie czasie Portugalczycy przez swe odkrycia ściągnęli na siebie uwagę całej Europy. Kolumb, pożerany ciekawością, udał się do Lizbony, gdzie miał krewnych i przyjaciół, aby naocznie przekonać się o postępie odkryć. Tu poznał i zaślubił córkę Bartłomieja Perestrells, doświadczonego żeglarza, który posiadał wielki zbiór map i narzędzi morskich. Tym sposobem Kolumb znalazł to, czego mu potrzeba było do pomnożenia swych wiadomości żeglarskich, i mógł się oddać ulubionym marzeniom przyszłych odkryć, które od lat młodocianych zajmowały jego gorącą wyobraźnię.

Kolumb wiedział, że ziemia jest kulistą, to go naprowadziło na wniosek, że jeśli ktoś puści się Atlantykiem wprost na zachód, niezawodnie dopłynie do Indyj Wschodnich. Nie wątpił wcale, że na półkuli zachodniej znajduje się ląd; mniemał jednak, że ląd ten jest przedłużeniem Azji i łączy się z Indyjami; tą więc drogą dosięgnąć można daleko prędzej zamierzonego celu, aniżeli przez długą i mozolną żeglugę około brzegów Afryki. Potwierdzały te domysły trzcina i drzewo, sztuką obrobione, wyrzucane częstokroć przez morze na zachodnie wybrzeża wysp Azorskich, gdzie nawet kilkakrotnie znajdowano zwłoki ludzkie rasy odmienniej od europejskiej.

Na usprawiedliwienie mniemań Kolumba o krótszej podróży do Indyj przez Atlantyk i to przytoczyć należy, że wówczas nie znano jeszcze dokładnie rozmiarów kuli ziemskiej i obliczano obwód jej o jedną trzecią część mniejszy, aniżeli jest w istocie. Kolumb udał się naprzód do króla portugalskiego, ażeby pomoc jego do wykonania planów swych pozyskać; król przyjął go życzliwie i polecił roztrząśnienie projektu swym ministrom. Ludzie ci samolubni postanowili sami skorzystać z pomysłu Kolumba, ogłosili go za szalony i niewykonalny, a sami tajemnie wysłali okręt w kierunku przez Kolumba oznaczonym. Żeglarze jednak po krótkiej podróży stracili odwagę i wrócili do Lizbony, donosząc, że na zachodzie lądu wcale niema.

Rozgniewany wiarołomstwem tym opuścił Kolumb Portugaliję; nic go nie wiązało do tego kraju, zwłaszcza gdy żonę utracił; udał się więc do Genui, ażeby ziomkom swoim nastęrczyć sposobność skorzystania z zamierzonego odkrycia. Genuenccy przyjęli go pogardliwie i wyniosłe. Niezrażony mąż popłynął do Hiszpanii, sądząc, że na dworze Kastylskim prędzej będzie wysłuchanym. Ferdynand Katolicki rządził podówczas Arragonem, jego żona Izabella królowała w Kastylii—oboje czynni i przedsiębiorczy; ale i w Hiszpanii nowe trudności spotkały Kolumba: uczeni, którym plan jego do rozpoznania podano, zgóry spoglądali na przybysza, a zamysł jego w części uznano za niebezpieczny, w części zaś za niewykonalny. Jedni mniemali, że gdy spuszcza się morzem ku zachodowi na dół, powrót sta-

nie się niepodobnym, gdyż żeglarze, wracając, natrafiają na ogromną górę wodną, której przebyć nie będą w możności; inni sądzą, że na przebycie Atlantyku najmniej trzech lat będzie potrzeba—jakimże więc sposobem zabrać tyle zapasów, aby na podróż wystarczyły? Inni nakoniec ogłosili plan za heretycki i bezbożny, ponieważ sprzeciwia się Pismu Świętemu i naukom ojców Kościoła. Głównie atoli utrudniał wyprawę brak pieniędzy. Ferdynand i Izabella prowadzili zacięte wojny z Maurami, które skarb zupełnie wyczerpały, na kosztowne wyprawy nie było funduszu; Kolumb przeto po wieloletnim oczekiwaniu otrzymał odpowiedź, że na niepewne przedsięwzięcie rząd przyzwolić nie może.

Zawiedziony w nadziejach Kolumb postanowił udać się do Anglii, gdzie już wysłał był brata swego Bartłomieja, lecz powstrzymał go przyjaciel jego Perez, spowiednik królowej, który raz jeszcze wstawił się za nim do Izabelli. Właśnie zdobyto Grenadę; pokonani Maurowie ulegli, a królowa miała wszelką swobodę zajęcia się planem, którego szczęśliwe doprowadzenie do skutku obiecywało jej chwałę, bogactwa i pomnożenie potęgi. Zawarto układ, mocą którego mianowano Kolumba admirałem Oceanu i wice-królem wszystkich krajów, które odkryje. Nadto przyrzeczono mu dziesiątą część zysków, jakie przedsięwzięcie to przyniesie, a godności i dochody miały przechodzić dziedzicznie na potomków Kolumba. Zyskane bogactwa Kolumb zamierzał obrócić na uzbrojenie wojska w celu wydarcia Ziemi Świętej z rąk niewiernych.

W dniu 3 sierpnia 1492 r. Kolumb wypłynął z andaluzyjskiego portu Palos. Wyprawa cała, przeznaczona na odkrycie i zdobycie nowego świata, składała się z trzech lichych niedostatecznie zaopatrzonych karawell, na których znajdowało się zaledwie 90 ludzi.

Już za przybyciem do wysp Kanaryjskich, trzeba było nędzne statki naprawiać, a 5 września w dalszą puszczono się drogę. Lekki wiatr zachodni, wciąż wiejąc, sprzyjał żegludze, ale zarazem coraz dalej pędził marynarzy w niezmierne przestwory oceanu. Z każdym dniem zwiększała się przestrzeń od-

dzielająca eskadrę od Europy, a osada jęj coraz bardziej wpadała w przestrach i zwątpienie. Kiedy przez dwadzieścia jeden dni nie widziano nic więcj jak tylko niebo i wodę, niezadowolone majtków objawiło się w głośnych szemraniach. — Lecimy na zgubę, wołali zbuntowani, admirał nie daje się skłonić do powrotu; jeżeli tego natychmiast nie uczyni, wrzucim go w morze. Kolumb z wielkim trudem zaledwie zdołał niezadowolonych uspokoić, a strwożonych natchnąć odwagą. Wkrótce też pokazały się znaki zwiastujące bliskość lądu, które wszystkich napełniły nadzieją. Cała powierzchnia morza była tak gęsto morską trawą pokryta, iż ta prawie tamowała żeglugę i okręty z trudnością tylko mogły posuwać się naprzód. Jako zwiastuny nowego świata ukazywały się gromady nieznanego ptastwa; nie wiedzano jeszcze wówczas, że ptaki morskie mogą daleko oddalać się od lądu, a okręty Kolumba w samęj rzeczy odległą miały drogę do ziemi. Po kilku dniach trawy i ptaki znikły, a chociaż Kolumb dnie i noce przepędzał na pokładzie z lunetą i ołowianką w ręku, wciąż zajęty uspokajaniem szemrzących i zachęcaniem upadających na duchu, podniosły się znów okrzyki buntownicze. — Oż poczniemy, wołali zuchwale, gdy się wyczerpią nasze zapasy? czy skołatane statki zdołają nas przewieść z powrotem do ojczyzny? czy wiatr zachodni, wciąż wiejący, odwróci się, gdy będzie tego potrzeba?

Kolumb nie zdołał tym razem poskromić niechętnych i zmuszonym był przyrzec powrót do Europy, jeżeli w przeciągu trzech dni nie dopłyną do lądu. Już też i ziemia zdawała się być bliską. Napotymano trzcinę i całe pnie drzewa, a nawet oczom wątpiących ukazała się gałąź zielona, czerwonymi jagodami pokryta, a zarazem żeglarze ujrzeli belkę, ręką ludzką obrobioną. Wtedy odwaga i nadzieja wstąpiły w serca największych niedowiarków. Gdy zaszło słońce, cała osada pozostała na pokładzie; w niezmiernym wzruszeniu nikt o śnie nie pomyślał. Nakoniec około północy ujrział Kolumb w odległości światło, a o godzinie drugiej zrana, okręt najmniejszy, przodem płynący, dał znak wystrzałem z działa, iż ujrział ląd. — Ziemia! Ziemia! krzyknęli marynarze, rzucając się jeden drugiemu w ob-

jęcia i zlewając łzami radości, poczym nastąpiła uroczysta cisza i na znak Kolumba upadli wszyscy na kolana, a pieśń: „Ciebie Boże chwalimy“ wzniosła się w niebiosy.

Gdy brzask jutrzeńki cienie nocy rozproszył, ujrzeli wzruszeni żeglarze przed sobą wyspę, zielonością okrytą; była to jedna z Archipelagu Bahama; krajowcy zwali ją Guanacham, Kolumb zaś, na podziękowanie Bogu za swe ocalenie, nazwał ją wyspą Zbawiciela (San Salvador).

Kolumb z obnażonym mieczem w jednej i rozwiniętym sztandarem w drugiej ręce stał na przodzie szalupy, niosącej go do lądu. Gdy statek przybił, wyskoczył zeń i był pierwszym Europejczykiem, którego noga dotknęła ziemi amerykańskiej. Złaknąwszy sztandar na brzegu, wziął w posiadanie korony Hiszpańskiej kraj odkryty, w imię królowej Izabelli; działo się to dnia 12 października 1492 r. *Wład. Lud. Anczyc.*

Garnek z popiołem.

W czasach grabieży i niepokoju,
Był człowiek, co przez lat wiele
Zebrany pieniądz o krwawym znoju
Przechował w garnku w popiele.

Lecz się nie zwierzył w nagłym skonaniu
Ani przed żoną lub dzieckiem,
I długo, długo tak w zaniedbaniu
Ten garnek stał pod przypiekiem.

Jednego razu wszedł do téj chaty
Biedny zgłodniały podróżny,
Ledwie okryty podłymi szaty,
I kornie prosił jałmużny.

Choć gospodyni wpośród rodziny
Przy jadle była za stołem;
Lecz bez litości, jakby na drwiny,
Dała mu garnek z popiołem.

Zebrak z modlitwą opuścił chatę,
Przyjąwszy datek z ochotą;
Bóg za pokorę dał mu zapłatę,
Bo znalazł w popiele złoto...

Tak doświadczenie prawdy żywota
 Złożyło w prostéj legendzie.
 Niech pyszny rozum szyderstwo miota,
 Pokora prawdy dobędzie.

Ks. Ign. Hołowiński.

MAJÓWKA.

„Majówka! Majówka! okrzyk się powtórzył na rynku. Majówka!—na to hasło, pan Kazimierz, arcydobosz szkolny, wie co ma czynić: bieży do kościoła, porywa z chóru ogromny bęben i waląc weni co ma siły, maszeruje po całym miasteczku; za nim biegnąc, liczna tłuszcza głaszy huk bębna nieprzestannym wołaniem: Majówka! Gdy zaś zemdlały ręce panu Kazimierzowi, a krzykaczom zachrzypło w gardle, rozbiegli się nakoniec wszyscy do domów, padli na pościele i każdemu śni się majówka. Nazajutrz ledwo dzień zaświtał, leniwi w każdym innym czasie chłopcy na *primus* i na *secundus*, zrywają się ochotni z pościeli; każdy skwapliwie pakuje zapasy podróżne; wtym pan Kazimierz daje hasło w taraban, a emeryt szósto-klasista, otoczony liczną asystencyją, wynosi z kaplicy studenckiej szkolną chorągiew. Na niej z jednej strony wyobrażenie patronki szkolnej Bogarodzicy, bogato na białym atłasie wyszyte, na drugiej zaś kłosisty snop zboża, godło plonów z nauki, a jak tłumaczył ksiądz profesor wymowy, że snop ten oznaczać miał po łacinie: „*Disce puer latine ego te faciam Moscipanie!*“ a po polsku: „Ucz się ośle dobrze, to będziesz miał chleb!“ Około téj chorągwi tłum dziatwy coraz liczniej się gromadził, rozmaite głosy i krzyki rozlegały się po całym miasteczku, a jednoczyły się i zlewały w jedno w tłumie. Scena to nadzwyczaj ruchawa i żywa;—tu skaczą z radości, stamtąd biegną bez pamięci, wyrzucając czapki w górę i łapiąc je na powietrzu, tam się czubią i godzą, a w powszechnym wrzasku słychać pisk strojonych klarynetów, brzęk fałszywój strunki skrzypców i pomrukiwanie jakby godzącej te spory, pocziwój basetli. Otóż wychodzi z klasztoru sztab główny téj armii maruderów, ksiądz prefekt—na-

czelny wódz, i księża profesorowie—otaczający go substytucji. Ogromnym palantem wywijając zręcznie, ksiądz fizyk, jak nie-uważający na jenerała partyzant, uprzedził wszystkich, stanął w tłumie i głośno zawołał: „dokądże pójdziemy, dzieci?”—„Do Giejstun!” wołają jedni; „do Zahorza!” krzyczą inni. Ktoż rozdzielone zdania zjednoczy? Tenże sam ksiądz fizyk, który i sprzecze dał powód. „Do Zahorza pójdziemy, księżu prefekcie! Do Zahorza, dzieci, już ja ręczę, mosanie, że będzie tam dobrze!” Wtym nie czekając odpowiedzi, pchnął w kark chorążego. „Do Zahorza marsz, mosanie cymbale! marsz, krzyknął, marsz!” Zabrzmiały klarynety, skrzypce i basetla, ruszyła chorągiew, a za nią hurmem wszyscy. Rozweselony ksiądz fizyk nie dał kończyć muzyce marsza, huknął z całej siły: „Ozdobo twarzy, wasy pokrętne,” a wszyscy chórem za nim; klarynecista zmienił nutę i dał ile miał ducha, skrzypek opuścił smyczek i przeszedł na dyszkanta, organista, podpierając się basetlą, jak kosturem, piłował co mu się podobało, a echa okoliczne zabrzmiały pochwałą wasów, głoszoną przez tych, którzy ich jeszcze nie mieli.

Miła jest nader okolica Borun po drodze ku Mińskowi; po wzgórkach, jakby po polach, podnosi się ona i spływa, a z każdego wzgórza coraz to nowe, a zawsze przyjemne odkryjesz obrazy. Najpiękniejsze gaje z rozmaitego drzewa i w rozmaitych wystęпах i formach wznoszą się gęsto na góry lub schodzą na łąki między rozległymi i bujnym zbożem okrytymi polami, w dolinach rozestane; gdzie niegdzie małe szynkowne wioseczki, rozłożystymi dębami i kosatą brzozą ocienione; po obu stronach drogi, w gronie drzew owocowych lub stoletnich lip, wznoszą się dwory i dworki, w szybach przejrzystych stawów, jak w zwierciadłach odbite; dróżki wąskie, wijące się po wzgórkach i polach, łączą sąsiadów, a strumyki, z jednego do drugiego przebiegając stawu, szumią na młynkach, tu i owdzie rozrzuconych, i ożywiają tę piękną i ładną krainkę, która całością zachwyca, a szczegółami przynęca. Lecz gdy o wiorst parę od Borun na najwyższą na drodze wstąpisz górę, nagle zmienia się obraz i rozległy ci na mil kilka rozwija się widnokrąg; wzrok twój panuje

nad nim, opiera się na ciemnych masach lasów i w głębokie jary i parowy przenika. Na lewo znaczą się ledwo dojrzone we mgle rozwaliny z czerwonej cegły Kiejstutowego więzienia ponuro i krwawo, jak pamięć samegoż Kiejstuta w odległej przeszłości; na prawo, dalej jeszcze i niewyraźniej, bieleją gruzy zamku i kościół, siedlisko i grób Jana Sapiehy, starosty uświackiego, walecznego niegdyś litewskiego hetmana, a przed nim jeszcze książąt Holszańskich; na koniec myśl, oko i wyobraźnia, unosząc się i bujając nad tym całym wspaniałym horyzontem, po nad lasy, góry, jary i gruzy, gubią się i toną w mgli i w nieokreślonym błękitie. Po téj to drodze, wysypawszy się z miasteczka, ciągnęła czerń szkolna wesołym pochodem przez półtoręj najmniej godziny, potym zwróciła się małą drożyną na prawo ku dworowi, blisko wzgórza dającemu się postrzegać; to cel wędrówki—Zahorze!

Ign. Chodźko.

Dziad i Baba.

Był sobie dziad i baba,
Bardzo starzy oboje;
Ona kaszła, słaba,
On skurczony we dwoje.

Mieli chatkę maleńką,
Taką starą jak oni;
Jedno było okienko
I jeden był wchód do niej.

Żyli bardzo szczęśliwie
I spokojnie, jak w niebie;
Czemu ja się nie dziwię—
Bo przywykli do siebie.

Tylko smutno im było,
Że umierać musieli,
Że się kiedyś moglią
Długie życie rozdzieli.

I modlili się szczerze,
Aby Bożym rozkazem,
Kiedy śmierć ich zabierze,
Zabrała dwoje razem.

—Razem! to być nie może;
Ktoś choć chwilką wprzód skona.
—Byle nie ty, nieboże!
—Byle tylko nie ona!

—Wprzód umrę, woła baba,
Jestem starsza od ciebie,
Co chwila bardziej słaba,
Zapłaczesz na pogrzebie.

—Ja wprzód, moja miła,
Jak kaszle bez ustanku,
I zimna mnie mogiła
Przykryje lada ranku.

—Mnie wprzód!—Mnie, kochanie!
—Mnie! mówię.—Dość-że tegó!
Dla Ciebie płacz zostanie.
—A tobież nie, dla czego?

I tak dalej i dalej,
Jak zaczęli się kłócić,
Tak się z miejsca porwali,
Chatkę chcieli porzucić.

Aż do drzwi puk powoli.
 —Kto tam? —Otwórzcie proszę.
 Posłuszna waszej woli,
 Śmierć jestem, zgon przynoszę.
 —Idź babo, drzwi otworzyć,
 —O! to, idź sam, jam słaba.
 Ja się pójdę położyć—
 Odpowiedziała baba.

—Fil! śmierć na ślocie stoi
 I czeka tam nieboga!
 —Idź, otwórz z łaski swojej.
 —Ty otwórz, moja droga.
 Baba za piecem zcicha
 Kryjówki sobie szuka,
 Dziad pód ławę się wpycha,
 A śmierć stoi i puka.

I byłyby lat dwieście
 Pode drzwiami tam stała;
 Lecz znudzona nareszcie,
 Kominem wleść musiała.

J. I. Kraszewski.

SOLON I KREZUS.

Gdy Solon przybył do Sardes, miasta stołecznego Lidyi, Krezus, król tamtejszy, monarcha, bogactwy znamienity, przyjął go z wielką czcią i ażeby mu dać poznać wspaniałość i dostatki, którymi wszystkich innych przewyższał, kazał mu pokazać skarby, w osobnych gmachach złożone. Gdy już Solon wszystkie obejrzał, zapytał go Krezus, czy zna kogo, któryby był szczęśliwszym od niego?

— Znałem, rzekł Solon, i tym był niejaki obywatel w Atenach, zwany Tellus; cnotliwe on życie prowadził, podobne sobie dzieci zostawił, potrzeby żadnej nie znał, życie na koniec za kraj położył.

— A po nim, rzekł zdziwiony Krezus, kogobyś najszczęśliwszym osądził?

— Znałem, rzekł Solon, dwóch braci; nazwiska ich były Kleobis i Biton. Ci dla wszystkich byli przykładem braterskiej zobopólnej miłości; matkę zaś własną tak kochali, iż gdy raz miała czynić ofiarę na cześć Junony, a koni w pogotowiu do powozu nie było, sami się zaprzęgli i zaciągnęli ją do miejsca ofiary... a gdy ta prosiła o nagrodę tak rzadkiej cnoty, obadwaj przeszli z tego życia do innego po nagrodę.

Rozgniewany takimi odpowiedziami Krezus, przyzwyczajony do pochlebstwa, rzekł z zapalczywością:

— A mnie to nie masz za szczęśliwego?.

— Królu Lidyj, rzekł na to Solon, ten tylko zdaje mi się być szczęśliwym, któremu los do zgonu życia dobre powodzenie zdarzył; ten zaś, co żyje, płynie w słabiej łódce, wśród skał na morzu burzliwym, zawsze trwożny, czy lądu dojdzie.

Słowa te przeraziły Krezusa i zasmuciły, ale się w dumie swojej jednakowo nie poprawił.

Nastała wkrótce potym wyprawa Cyrusa przeciw tamtejszym narodom. Krezus zwyciężony w niewolę się dostał, a gdy po wzięciu stolicy miał być na stosie spalony, przypomniał sobie ową rozmowę i zawołał wielkim głosem: „O Solonie, Solonie!“ Słyszając to, Cyrus kazał go zapytać, co by to było za bóstwo ten Solon, którego on pomocy przyzywał?

— Człowiek to był i mędrzec Grecki, odpowiedział pytającemu Krezus; widział moje skarby, świadkiem był mojej mocy i wspaniałości, nie wielbił mnie jednak, ani nad innych ludzi wynosił, ale kazał mi się oglądać na koniec życia, w którym widzę teraz, jak czcze i nietrwale było to wszystko, na czym swoją szczęśliwość zasadałem.

Zastanowił się nad taką odpowiedzią Cyrus, a czując prawdę zdania Solonowego, więźnia natychmiast życiem i wolnością udarował i do śmierci potym przy sobie z wszelką czcią utrzymywał.

Stało się więc, iż Solon jednym słowem zachował Krezusa przy życiu, Cyrusa przy cnocie.

Ign. Krasicki.

ARYSTYDES ZWANY SPRAWIEDLIWYM.

W pierwszej wojnie medyjskiej, w której 490 roku przed narodz. Chrystusa, Miltyjades na polach Maratonu odniósł stanowcze zwycięstwo nad Persami, walczył także Arystydes, odznaczający się bezinteresowną polityką i sprawiedliwością, oraz przebiegły i pełen nieporównanej odwagi Temistokles. Ci dwaj ludzie byli prawdziwymi założycielami wielkości Aten.

Arystydes posiadał w wysokim stopniu wszystkie najpiękniejsze przymioty; wszakże głębokim uczuciem sprawiedliwości przewyższał swoich współziomków.

Kiedy pewnego dnia, na ogólnym zgromadzeniu Temistokles oznajmił, że powziął wielki zamiar, ale wymagający w wykonaniu tak ścisłej tajemnicy, iż nie może powierzyć go ludowi, Ateńczycy jednogłośnie wyrzekli, aby powierzył go samemu Arystydesowi i natychmiast wykonał, jeżeli zyska jego uznanie. Temistokles zatem, odprowadziwszy Arystydesa na stronę, powiedział, że zamysła spalić grecką flotę, stojącą w biskim porcie, i że tym sposobem cała Grecya stanie się zależna od Aten.

Usłyszawszy to, Arystydes wrócił do ludu i rzekł:

— Nic nie może być korzystniejszego nad zamiar Temistoklesa, ale zarazem nie byłoby niesprawiedliwszej rzeczy na świecie nad wykonanie tego pomysłu!

Po tych słowach, całe zgromadzenie, bez chwili wahania, rozkazało Temistoklesowi odstąpić zupełnie od owego wielkiego zamiaru. To dowodzi, jak wysokie wyobrażenie mieli Ateńczykowie o sprawiedliwości Arystydesa—nie dziwno więc, że jeszcze za życia zaszczytili go przydomkiem *Sprawiedliwego*.

Jednakże ten przydomek, otoczywszy go z początku ogólną miłością i poważaniem, niezadługo pobudził przeciw niemu nienawiść złośliwych i zazdrosnych. Temistokles, jego współzawodnik, rozgłaszał potajemnie, że Arystydes, udając tak przesadną miłość sprawiedliwości, zjednywał sobie wielu stronników; że, lubo człowiek prywatny, sądził sam jeden i rozstrzygał więcej spraw niż wszyscy urzędnicy razem; że nareszcie, jeżeli współobywatele nie położą tamy takiemu nadużyciu, Arystydes niezadługo stanie się najwyższym władcą Aten. Lud, pełen wyniosłości i próżności, patrząc niechętnym okiem na każdego, kto umiał sobie zjednać większe zaszczyty i sławę nad innych, zaczął się obawiać i nienawidzić Arystydesa z tej właśnie przyczyny, dla której powinien go być najwięcej kochać i szanować. Nieprzyjaciele tak zręcznie działali, że skazano go na wygnanie z Aten.

Wygnanie, zwane ostracyzmem, od wyrazu greckiego ostrakon (skorupka ze stłuczonej glinianej wazy, garnka i t. p.), odbywało się w następujący sposób: każdy pisał na kawałku skorupy nazwisko obywatela, którego życzył, aby wygnano, poczym, podług porządku ustanowionego dla zgromadzeń publicznych, wszyscy składali swoje skorupki na przeznaczone miejsce, gdzie je urzędnicy numerowali. Jeżeli ogólna liczba nie dochodziła sześciu tysięcy, ostracyzm był nieważnym i bezskutecznym. Jeżeli zaś doszła, oddzielano nazwiska i ten, którego imię zajmowało największą ilość skorup, zostawał wygnanym na lat dziesięć.

Zdarzyło się, że w chwili ostracyzmu, zebranego na Arystydesa, jakiś człowiek z okolic Aten, nie znający go wcale i nie umiejący pisać, zbliżył się ku niemu z prośbą, aby wpisał imię Arystydesa na skorupkę przeznaczoną do skazania go na wygnanie.

—I cóż ci złego uczynił ten Arystydes? zapytał tenże zdziwiony.

—Nic, odpowiedział zagadnięty, nawet go wcale nie znam, ale nie mogę znieść, że go wszędzie nazywają Sprawiedliwym.

Zasmucony Arystydes nie odrzekł na to ani słowa, spojrział na nieznajomego z politowaniem, napisał swoje nazwisko na podanej skorupce i oddał mu takową.

Skazano go więc na dziesięć lat wygnania. Arystydes, opuszczając miasto, wznosił ręce ku niebu z modlitwą, aby nigdy nie nadszedł czas, w którymby Ateńczykowie zmuszeni byli przypomnieć sobie o nim. Zdała od ojczyzny, ciągle był smutny i cierpiący. Kiedy pewnego razu jeden z jego przyjaciół zapytał, dla czego tak boleje nad wygnaniem, które, ściśle rozważywszy, najmniejszego mu wstydu nie przynosi, odpowiedział:

— Najwięcej boli mnie niesława, jaka przez to niesprawiedliwe ze mną postąpienie spada na moją ojczyznę.

Nareszcie, po trzech latach oddalenia, kiedy król perski Xerxes z całym pośpiechem prowadził swoje wojska przez Tesalię i Beocyję na Attykę, Ateńczycy, zniószy ostracyzm, na-

kazali powrót wszystkim, których usunęli z ojczyzny, Arystydes wrócił z drugimi; ukazawszy się w rodzinnym mieście, został z wielką radością powitany przez swoich współobywateli, którzy na nowo przyznali mu przydomek Sprawiedliwego.

Przyłożył się on do sławnych zwycięstw Temistoklesa nad Xerxesem pod Salaminą (wyspą w zatoce Saronickiej na morzu Egejskim, dzisiaj Koluri) 481 roku przed narodz. Chrystusa i pod Plateą (miastem Beocyi) tegoż roku. Po usunięciu Persów powierzono mu zarząd skarbu całej Grecyi. Mimo to Arystydes zachował aż do śmierci nieposzlakowane ubóstwo.

W roku 469 umarł w takim niedostatku, iż Rzeczpospolita musiała go własnym kosztem pochować i dać wychowanie jego dzieciom.

Jan Chęciński.

DYJOGENES.

Słyszeliście zapewne, młodzi czytelnicy, o dziwaku, co w jasny dzień chodził po Atenach z zapaloną latarnią; widzieliście może i wyobrażenie tego greckiego jegomości, spoczywającego w przewróconej beczce; otóż chcemy was poznać bliżej z tą ciekawą postacią. Wprawdzie Dyjogenes nie złożył na ołtarzu ludzkości żadnych istotnych zasług, jednakże jego trafny a ostry dowcip, częste pobłyski głębokiego rozumu, połączone ze szczególnym dziwactwem, nie uszły pamięci wieków.

Dyjogenes, zwany Cynikiem (od wyrazu greckiego kion, pies), urodził się w mieście Pontu Synopie, około 413 r. przed nar. Chrystusa. Niektórzy utrzymują, że za jakieś przestępstwo został wygnany z ojczyzny, lecz to jest prawdopodobnie potwarzą. Opuszczając rodzinne miasto, wziął z sobą jednego tylko niewolnika, imieniem Menad, który uciekł mu wkrótce, a gdy znajomi radzili, aby go kazał ścigać, odpowiedział z dumą:

— Nie byłoby śmiesznym, żeby Menad mógł się obejść bez Dyjogenesa, a Dyjogenes nie mógł się obejść bez Menada?

Przybywszy do Aten, postanowił oddać się filozofii, która wówczas była pewnym rodzajem profesyi. Cynizm pod każ-

dym względem najbardziej mu przypadł do smaku. Zręczny i niezadowolony z ludzi, którzy nim pogardzali, Dyjogenes wróżył sobie przynajmniej swobodę obrzucania ich swoimi filozoficznymi zniewagami. Ubogi, bez żadnych środków utrzymania, a do tego próżniak, mógł z łatwością, niby przez wielką dumę pogardzać dostatkami, jakich nie posiadał, i potrosze oddawać się pijaństwu, do którego miał pociąg. Antystenes, będący wówczas głową cyników, których filozofia zasadzała się na odrzucaniu wszystkiego, bez czego tylko człowiek obejść się może, czyli na niepodleganiu rzeczom zewnętrznym, nie chciał go przyjąć do swojej szkoły. Dyjogenes, niezrażony kilkakrotną odmową, co dzień usilniej nalegał i nareszcie do tego stopnia zniecierpliwił filozofa, że ten, chwyciwszy za kij, uderzył uporczywego natrętnika.

— Bij, bij, jak chcesz, zawołał Dyjogenes, dopóki czuć będę, że możesz mnie czego nauczyć, nie znajdziesz dość twardego kija, abyś mię nim odstraszył od siebie.

I Antystenes musiał go przyjąć.

Gruntem charakteru Dyjogenesa była niepohamowana dumą; nie szukał on w nauce sposobu szczęśliwszego życia, ale dziwienia ludzi i zwracania na siebie uwagi; posuwał więc do ostatniej przesady sposób życia cyników. Okryty łachmanami, nawpół nagi, z sakwą na ramieniu, z kijem w ręku, chodził po ulicach bogatych Aten. Sypiał w beczce, która była jedynym jego schronieniem i którą dowolnie przetaczał z miejsca na miejsce.

Powodem, co go skłonił do tak śmiesznego mieszkania, było, że, napisawszy do jednego ze swoich przyjaciół, aby mu wynajął jaką taką lepiankę, nie mógł się doczekać odpowiedzi, wziął zatem pierwszą lepszą beczkę, która mu wpadła w ręce, i doniósł przyjacielowi, aby się nie trudził, gdyż sobie już wynalazł arcydogodny pałac, choć nie szukał tak długo.

Z najkonieczniejszych sprzętów zachował tylko drewnianą łyżkę i takież kubek, lecz wkrótce zamiast łyżki zaczął używać wydrażonej kromki chleba, a dostrzegszy dziecię pijące

z dłoni, natychmiast i kubek swój potrzebował, utrzymując, że wszystko, bez czego obejść się można, jest rzeczą zbytkowną.

Podobno Aleksander Wielki, będąc w Koryncie, chciał zobaczyć tego słynnego dziwaka, który się tam podówczas znajdował; jakoż, wybrawszy się w odwiedzinę, zastał Dyjogenesa wygrzewającego się na słońcu.

— Czy nie mógłbym co uczynić dla ciebie? zapytał Aleksander, widząc jego ubóstwo; żądaj, a skutecznie. Lecz cynik, na którego w tej właśnie chwili padał cień stojącego przed nim monarchy, odpowiedział:

— Niczego więcej nie żądam, tylko, abys się cokolwiek usunął na bok i nie odejmował mi dobrodziejstwa słońca, którego dać nie możesz.

Aleksander, bynajmniej tym nie rozgniewany, uczynił zażądaniu Dyjogenesa, a wyniosła odpowiedź tak dalece zastanowiła bohatera, że podobno do szydzących z dumnego nędzarza dworaków rzekł: Gdybym nie był Aleksandrem, chciałbym być Dyjogenesem.

Pewnego razu spotkano go włóczącego się po ulicach z zapaloną latarnią wśród białego dnia.

— Czegoż tak szukasz? zapytał ktoś ze znajomych.

— Człowieka, odpowiedział pogardliwie filozof, — bo w całej Grecyi nie znalazłem ani jednego, a w Sparcie widziałem same dzieci.

Gdy Platon wyrzekł, że podług niego człowiek jest to zwierzę o dwóch nogach, bez pierzy, Dyjogenes oskubał żywcem koguta, a wrzuciwszy do napełnionej uczniami szkoły Platona, zawołał: „ecce homo Platonis!“ (oto człowiek Platona).

Jakśmy wyżej powiedzieli, Dyjogenes nie miał żadnego sposobu do życia, musiał więc nieraz prosić o chleb albo o pieniądze przechodniów, do których tak się odzywał:

— Obywatelu, jeżeli masz zwyczaj dawać innym ubogim, daj i mnie; jeżeli nie masz tego zwyczaju, przyjmij go, zaczynając odemnie.

Stawał często przed kamiennymi posągami, błagając o wsparcie, ażeby się przyuczać, jak mówić, do cierpliwości, w razie gdy takowego ludzie mu odmówią.

Latem kładł się na piasku, gdzie słońce najmocniej paliło, aby nawykać do znoszenia gorąca; zaś obejmował posągi okryte śniegiem, aby oswajać się z zimnem.

W starości Dyjogenes dostał się do niewoli, a gdy go razem z innymi niewolnikami wystawiono na sprzedaż na publicznym placu, wołał:

— Kto chce sobie kupić pana?

— A cóż ty umiesz? zapytał go jeden z kupujących.

— Rozkazywać, odpowiedział Dyjogenes.

Xeniades, bogaty mieszczanin Koryntu, kupił go i zabrał do siebie. Przyjaciele chcieli go wykupić, ale cynik odrzucił ich ofiarę, mówiąc:

— Lwy nie są niewolnikami tych, którzy je żywią, raczej ostatni są lwów sługami.

Powiadają, że się tak dobrze sprawował u swego nabywcy, (co niekoniecznie się zgadza z charakterem Dyjogenesa), że Xenias powierzył mu zarząd dóbr i wychowanie swoich dzieci, chwając się przed przyjaciółmi, iż dobry genijusz wstąpił do jego domu. Tam to podobno zmarł Dyjogenes w r. 323 przed nar. Chrystusa, a w dziewięćdziesiątym swojego życia. Mówią, że znajomi, widząc go bliskim śmierci, pytali, w jaki sposób chce być pochowanym.

— Wrzućcie mnie w dół i nie przysypujcie ziemią, odrzekł słabnącym głosem Dyjogenes.

— Ależ dzikie zwierzęta rozszarpia cię!

— A więc połóżcie przy mnie kij, abym je miał czym odpędzić.

— Jakże je zdołasz odpędzić, kiedy będziesz bez czucia?

— Ha! kiedy będę bez czucia, cóż mnie może obchodzić, że zwierzęta rozszarpia moje ciało? To powiedziawszy, wydał ostatnie tchnienie.

Dyjogenes niekiedy czynił trafne spostrzeżenia i dawał rozumne nauki. Przytaczamy tu niektóre jego zdania, życząc, aby je młodzi czytelnicy zachowali w pamięci.

„Zarówno duszę jak i ciało kształcić i pielęgnować trzeba. Dusza jest źródłem szlachetnych myśli, które ją rozplamieniają

i podnoszą. Ciało jest schronieniem duszy, wypada więc i o nim mieć staranie, albowiem człowiek nie jest w zupełnym zdrowiu, jeżeli choć jedna z tych dwu części podlega cierpieniu.

„Mędrzec wśród uczniów jest jak istota wyższa i dobroczynna wśród swojego stworzenia.

„Największą niedorzecznością jest wychwalać i wpajać w drugich cnoty, których sami nie wykonywamy.

„Obmówca jest najokrutniejszym z dzikich zwierząt; pochlebca jest najniebezpieczniejszym z obłaskawionych.

„Staraj się skarżyć przyjaźń ludzi pocziwych, aby ci przeszkadzali być niepocziwym.

„Często prosisz bogów o to, co tylko wydaje ci się dobrym dla ciebie; bogowie możeby cię wysłuchali, gdyby nie mieli litości nad twoją głupotą.

„Skąpcy umieją zgromadzać bogactwa, ale nie umieją ich używać.“

Nie zważając na ostatnią wolę Dyjogenesa, przyjaciele wyprawili mu w Koryncie wspaniałą pogrzeb; grób jego ozdobił kolumną, na której stanął pięknie rzeźbiony pies z marmuru.

Jan Chęciński.

MUCYJUSZ SCEWOLA.

Porsenna, widząc, że bronią nie zdoła ujarzmić Rzymu, obległ go w nadziei, że głodem przymusi do poddania. Długie oblężenie zaczynało już odbierać Rzymianom odwagę, kiedy Mucyjusz, młodzieniec pełen zapału i waleczności, drżąc o rodzinne miasto, postanowił sam jeden wyrwać je z tak dręczącej niepewności.

Przebrał się tedy za wieśniaka i wkradł się do obozu Etrusków.

Tam między tłumem żołnierzy udało mu się przecisnąć aż do namiotu samego Porsenny, gdzie właśnie płacono żołd wojsku.

Mucyjusz, nie znając króla, a nie chcąc się zdradzić zapytaniem, dobył miecza i przebił tego, do którego żołnierze cisnęli

się po pieniądze i który, z powodu bogatych szat, wydawał mu się być samym Porsenną. Tymczasem los chciał inaczej—zamiast Porsenny, sekretarz jego został zabitym.

Po takiej pomyłce, Mucyjusz z zakrwawionym orężem w dłoni przeciskał się przez przerażony tłum, lecz straż królewska, schwytawszy go i rozbroiwszy, zaprowadziła przed sąd.

—Kto jesteś? zapytał król, jacy są twoi wspólnicy i dlaczego przedsięwziąłeś czyn, zarówno zbrodniczy jak zuchwały.

— Jestem Rzymianinem, nazywam się Mucyjusz, chciałem zabić ciebie i przez pomyłkę zabiłem drugiego; wspólników zaś moich nie wydam.

— Jeżeli ich nie wydasz, każę cię żywcem spalić—zawołał rozniewany Porsenna.

— Rzymianie umieją działać i cierpieć jak bohaterowie, odrzekł Mucyjusz; żeby cię zatym przekonać, że groźbami ani męczarnią nie zdołasz mnie ustraszyć—patrz!

To powiedziawszy, zwrócił się ku przygotowanemu do ofiary ognisku, i jak gdyby chcąc ukarać rękę co go zwiodła, włożył ją w ogień. Obecni zadrżeli, a młodzieniec, nie okazując najmniejszego cierpienia, spoglądał na Porsennę, nie jako człowiek zatrwożony, ale jako wzbudzający trwogę.

Król, zdziwiony taką odwagą, kazał go odsunąć od ogniska, wrócił wolność i sam oddał mu oręż. Mucyjusz, straciwszy władzę w prawej ręce, ujął go lewą i podobno dla tego został przezwany *Scaevola* czyli mańkut.

Wtedy dopiero młodzieniec, ujęty wspaniałością Porsenny, rzekł.

— Ponieważ oddajesz cześć odwadze, powiem ci dobrowolnie to, czego siłą nie byłbyś nigdy wydobył ze mnie. Wiedz, że trzystu najdzielniejszych Rzymian sprzysięgło się na twoje życie. Na mnie wypadło pierwszeństwo; ale składam dziękczynienie niebiosom, że się pomylił, że nie zabił walecznego człowieka, który zasługuje raczej, aby być przyjacielem, nie zaś nieprzyjacielem Rzymian.

Porsenna, przerażony grożącym mu niebezpieczeństwem, czy też wzruszony dzielnością Rzymianina, kazał mu swobodnie oddalić się do swoich.

Ale za nim wyprawił zaraz posłów, ofiarując pokój oblężonemu miastu, wzamian jednego powiatu w Etruryi, zdobytego na Wejensach.

Ofiarę chętnie przyjęto i Porsenna cofnął swoje wojska z okolic Rzymu.

Senat, w nagrodę męstwa, obdarzył Mucyjusza gruntami po za Tybrem, które później nazwano równinami Mucyjusza.

Jan Chęciński.

WIERNOŚĆ I STAŁOŚĆ REGULUSA.

Kartagińczykowie po zwycięstwie nad Rzymianami (254 r. przed nar. Chr. i po uwięzieniu Regulusa *) tyle doznali klęsk, że postanowili zakończyć tak złowrogą dla siebie wojnę szybkim zawarciem pokoju. W tym celu zaczęli cokolwiek łagodniej obchodzić się z więźniem i nakłonili go, aby w towarzystwie ich posłów udał się do Rzymu, dla skuteczniejszego wyjednania od senatu pokoju, albo przynajmniej wymiany jeńców. Zanim jednak Regulus wyszedł z Kartaginy, musiał wykonać przysięgę, że jeżeli nie wyjedna, powróci do więzienia.

Szybko rozbiegła się pomiędzy Rzymianami wieść o powrocie Regulusa, całe miasto zabrzmiało okrzykami radości, wszyscy wybiegli na spotkanie dzielnego konsula; lecz ten, przybywszy do bram miasta, nie chciał wejść, mówiąc do tych, co go zapraszali:

— Nie jestem obywatelem Rzymu, jestem niewolnikiem Kartagińczyków, przybywam jako ich poseł, a posłowie nieprzyjacielscy do Rzymu nie wchodzą.

Senat więc zgromadził się po za murami miasta, a gdy wraz z kartagińskimi posłami stanął przed nim Regulus i kiedy go wezwano, aby objawił treść swego poselstwa, odezwał się w te słowa:

*) Regulus, wódz rzymski, pobił dwukrotnie Kartagińczyków; za trzecim razem dostał się do nich do niewoli.

— Senatorowie! Kartagińczycy, przez których zostałem więty do niewoli, nakłonili mnie, abym, przybywszy do Rzymu, żądał od was w ich imieniu zawarcia pokoju, albo przynajmniej zamiany jeńców. Co do mnie, radzę wam odmówić jednego i drugiego. Kartagina jest dziś zupełnie osłabioną, widzi, że dalej prowadzić wojny nie może, i dla tego tylko żąda od was pokoju. Co się zaś tyczy zamiany jeńców, pytam, jaką korzyść Rzym odniósłby z żołnierzy, którzy z obawy śmierci dobrowolnie złożyli broń i stali się pogardą zwycięzcy? Wy zaś między jeńcami kartagińskimi macie mnóstwo dowódców młodych i odważnych, którzyby kiedyś mogli stanąć na czele wojsk nieprzyjacielskich. Nareszcie o mnie niema się co dobijać, jestem już stary i nie na wiele przydałbym się Rzymowi; gdy tymczasem ci, których oddalibyście za mnie, byłiby dla Kartaginy niemalą podporą. Nie popełniajcież więc tak wielkiego błędu, odmówcie wszelkiej zamiany i prowadźcie wojnę z większą niż kiedykolwiek wytrwałością.

Senat, przekonany tą mową, postanowił odrzucić natarczywe propozycyje Kartagińczyków, ale jednocześnie chciał zatrzymać Regulusa w Rzymie. Niektórzy senatorowie przekładali mu, że wykonał przysięgę w kajdanach; że zobowiązania człowieka, będącego w niewoli, nie powinny go wcale krępować. Nawet wróżbici, umyślnie zgromadzeni, oświadczyli, że Regulus może pozostać w Rzymie, bez grzechu krzywoprzysięstwa, ponieważ nie był obowiązany dotrzymać przysięgi, wykonanej wiarołomcom.

Regulus, uważając te wszystkie pozory niegodnymi człowieka honoru, odpowiedział:

— Przysięgłem powrócić do Kartaginy, bo tak chciałem, a chcę powrócić, bom przysięgł.

Taka stałość bardziej jeszcze zachęciła senat, aby go zatrzymać, lecz wszystkie środki okazały się daremnymi.

Regulus wiedział, że, wracając do Kartaginy, szedł na niechybną śmierć, ale przekładał zgon chwalebny nad życie, którego bez przekłamania przysięgi, bez naruszenia honoru, nie mógł zachować. Dla tego też pomimo płaczu i próśb żony, dzieci,

krewnych i przyjaciół, pomimo nalegań senatu i całego ludu, który, zgromadziwszy się tłumnie około niego, prawie przemocą chciał go zatrzymać w Rzymie, bohater wrócił na miejsce spodziewanych męczarni z tak wesołym i pogodnym obliczem, jak gdy szedł odbywać tryumfalny pochód. •

Przybywszy do Kartaginy, wycierpiał najokropniejsze tortury, na jakie zdobyć się mogła wyobraźnia rozwścieczonych Kartagińczyków. Najpierw poobcinano mu powieki dla pozbawienia snu, poczym wtrącono go do najstraszniejszego i najciemniejszego więzienia; w jakiś czas później wyprowadzono nagle z ciemności i wystawiono na najjaskrawsze promienie słońca; nareszcie okrutni prześladowcy wtłoczyli go w beczkę najeżoną wewnątrz gwoździami, gdzie wyzionął ducha w krwawej męczarni. Taki zgon poniósł Markus Alilius Regulus, jeden z najznakomitszych ludzi, jacy opromieniali rzeczpospolitą rzymską.

Jan Chęciński.

STWORZENIE ŚWIATA.

Na początku stworzył Bóg niebo i ziemię. A ziemia była pusta i próżna i ciemności były nad głębokością. I Bóg rzekł: niech się stanie światłość, i stała się światłość. I ujrzał Bóg, że światłość była dobra, i przedzielił światłość od ciemności. I nazwał światłość dniem, a ciemność nocą. I stał się wieczór i ranek i to był dzień pierwszy.

I rzekł Bóg: niech się stanie utwierdzenie między wodami, a niech przedzieli wody od wód. I uczynił Bóg utwierdzenie i przedzielił wody, które były nad utwierdzeniem, od tych, które były pod utwierdzeniem. I stało się tak. I piękne niebo rozciągnęło się obłoczysto nad ziemią, chmury krążyły w wysokich krainach, a powietrze rozpostarło się między niebem i ziemią. I był znowu wieczór i ranek i to był dzień wtóry.

Potym rzekł Bóg: niech się zbiorą wody, które są pod niebem na jedno miejsce i niech się suchy żywioł ukaże. I stało się tak. I suchy żywioł nazwał Bóg ziemią, a zebranie się wód nazwał morzem. I rzekł: niech zrodzi ziemia ziele zielone, da-

jące nasienie, i niech zrodzi drzewa rodzajne. I stało się tak. I ziemia rozzieleniła się ziołami i kwiatem, liściem i owocem. Tak nadszedł wieczór, tak nadszedł poranek i to był dzień trzeci.

I rzekł Bóg: niech się staną światła na utwierdzeniu nieba, a niech dzień od nocy oddziela i niech będą znakami dni i róków. I stało się tak. Wtedy rozświeciły się mgliste krainy, słońce okazało się w blasku na nieba przestrzeni i zapuściło promienie swoje ku ziemi milczącej, a gdy świecić przestało, wystąpiły na jego miejsce księżyc i gwiazdy. I widział Bóg, że wszystko było dobre. Tak nadszedł wieczór, tak nadszedł zaranek i to był dzień czwarty.

Ale nie było jeszcze żywego stworzenia, coby się tym pięknym światłem rozradowało. I rzekł Bóg: niech wody wydadzą żyjące istoty, a niech się ptastwo nad ziemią pod utwierdzeniem unosi. I stworzył Bóg ogromne wieloryby i wszystkie twory pływające po wodzie i ptastwo, które powietrze na skrzydłach przebiega. I widział Bóg, że to było dobre. Tak nadszedł wieczór, tak nadszedł zaranek i to był dzień piąty.

Rzekł też Bóg: niech zrodzi ziemia duszę żywiącą według rodzaju swego; bydło, płaz i dzikie zwierze według rodzaju ich. I stało się tak; i widział Bóg, że to było dobre.

Tak wszelkiej wielkości ryby po wodach igrać zaczęły, ptaki biegały po nadziemskich przestrzeniach, albo, zawieszając się na gałązkach, z radością śpiewały. Dzikie zwierzęta wystąpiły na ziemię. Wszędzie na górach i dolinach wesoły ruch zwiastował życie.

Widzimy stąd, że Bóg, Stwórca nieba i ziemi, jest wszechmocny; co chce to czyni i wszystko go słucha. Dobrym jest, bo na świat tyle dobrodziejstw, przyjemności i ozdób wylał; od słońca aż do ziarenka piasku wszystko jest darem hojności Jego. Mądrym jest nieskończenie, bo układ najmniejszego kwiatka przechodzi pojęcie ludzkie. Niebo i ziemia zapowiada Jego dobroć, mądrość i wszechmocność. Widok pięknego obrazu świadczy nam o zdolności mistrza, choćby go oko nasze nie widziało; widok nieba i ziemi zwiastuje nam Boga, tyle

czci i miłości godnego. Niebo i ziemia świadectwem są wszechmocy, dobroci i mądrości Boga. Badajmy dzieło Jego z świętym zajęciem, a w tych Go znajdziemy uradowani i błogą miłością ku Niemu rozgorejemy.

Chciał Bóg żywić w nas wdzięczność przez pamięć na dni tworzenia i cieszyć nas rozważaniem dzieł Jego.

Ustanowił więc ku temu dzień osobny w tygodniu. W sześciu dniach stworzył Bóg niebo i ziemię, w siódmym tworzyć zaprzestał. A tak uczy nas własnym przykładem, że i my sześć dni pracować mamy, siódmego zaś, u nas Niedzielę, poświęcać winniśmy czci Boga i radowaniu się w dziełach Jego.

Ale nie tylko w niedzielę rozpamiętywać mamy dobrodziejstwa stworzenia; każdy dzień przypomina nam obraz rozwijającego się świata, gdy słońce promieniste rano powstaje. Zrazu wszystko jest zanurzone w ciemności, zwolna rozprasza się pomroka i rozróżniać możemy stopniowo niebo i ziemię, wody i pola, murawy i kwiaty, rośliny i drzewa; наконец, słońce wschodzi, ryby igrają w swoim żywiole, ptaki śpiewają na gałązkach zawieszone, zwierzęta budzą się ze snu, a dzikie w swoje nory się kryją,—wtedy wychodzi człowiek i zaczyna swe prace. Piękny poranek w dzień wiosenny lub letni daje nam obraz stworzenia świata.

Skoro Wszechmocny ziemię skarbami obsypał, skoro jej dał błogosławieństwo, które po wszystkie wieki trwać ma, rzekł: stwórzmy człowieka na obraz i podobieństwo nasze. Utworzył tedy Pan Bóg człowieka z mułu ziemi i natchnął w oblicze jego dech żywota, i stał się człowiek duszą żyjącą. I dał mu imię Adam, co znaczy z ziemi wzięty, aby człowiek zawsze swój początek pamiętał.

Adam, wyszedszy z rąk Twórcy, z niewinnym uwesele niem rozpatrywał się w pięknościach nieba i ziemi. Bóg wywiódł przeciw niemu wszystkie zwierzęta i Adam wszystkim nadał nazwiska. Cieszył się, widząc koło siebie żyjące stworzenia, ale tęskno mu było, że nie mógł z nimi rozmawiać. Pieścił się z nimi, ale żadne go nie rozumiało; wszystkie uważał, ale żadnego towarzyszem mieć nie mógł. I on jeden smucił

się pośród tylu stworzeń, cieszących się młodocianym weselem. Wtedy Bóg zesłał na niego sen głęboki i wyjął z boku jego żebro, z którego Ewę utworzył, i przywiódł ją przed obudzonego Adama. I uczuł Adam radość nieznana dotąd sercu swojemu: widział bowiem podobną sobie, mógł do niej mówić, i ona odpowiadała. Tak człowiek stworzony jest na obraz i podobieństwo Boga, nad wszelkie zwierzęta nieskończenie wyższy.

Widzieliśmy, że Bóg, tworząc zwierzęta, rzekł: niech zrodzi ziemia duszę żyjącą według rodzaju swego, bydło, płaz i dzikie zwierzęta; ale że człowieka utworzył z mułu ziemi i że sam natchnął w oblicze jego dech żywota i stał się człowiek duszą żyjącą—ciało więc jego należy ziemi, ale dusza od Boga pochodzi. Ta dusza zdolna jest poznawać dobre, kochać i czynić, ona jest zwierciadłem, odbijającym mądrość Boga, Jego dobroć i potęgę, tak jako kropla rosy odbija słońce.

Jakżebyśmy nie mieli czcić w sobie obrazu Boga? Jakżebyśmy mieli poniżać się ośpałością duszy, gniewem, zazdrością, lenistwem i stawać się podobnymi zwierzętom? Jakże zapomnieć mamy, że ciało nasze z prochu ziemi docześnie złożone? Jakże możemy zajmować się dumą, chciwością, zemstą i nienawiścią, kiedy wszystko ziemskie tak jest przemienne, kiedy właśnie ludzie znikomi, z prochu złożeni, winni sobie miłość i pomoc wzajemną?

Doskonalić w sobie miłość wszystkiego co dobre, zaprawiać się w rozum, litość, uczynność i świętobliwość—to jest, co nas do Boga, źródła naszego, unosi, gdy wszystko podle, bezrozumne, złe żądze do rzędu zwierząt nas poniżają.

Dla tego właśnie, że, dusze nasze zarówno od Boga biorą początek, żeśmy docześnie znikomi i słabi, winniśmy w każdym bliżnim szanować Boga, i jeden drugiego wspierać w niemocy i przygodach. Pogardzać bliżnim, choćby najuboższym, jestto znieważać obraz Boga lub raczej Boga samego. Gdyby dziecię rozważnie obraz ojca swego deptało, czyżby mogło szanować dawcę dni swoich?

Pytania.

Co Pan Bóg stworzył na początku? Co należy rozumieć przez niebo i ziemię? Co stworzył dnia pierwszego, a co dnia drugiego? Czy dni stworzenia były podobne do dni obecnych, co do czasu? Trzeciego dnia co Pan Bóg stworzył. Jakie światło Pan Bóg stworzył dnia czwartego? Którego dnia Pan Bóg stwarzać zaczął stworzenia żyjące i które z nich najpierw ukazały się na ziemi? Szóstego dnia co Pan Bóg stworzył?

Czego nas uczy świat stworzony? W jakim celu powinniśmy badać rzeczy stworzone i uczyć się nauk przyrodzonych? Na jaki cel ustanowił Pan Bóg dzień siódmy? W jaki sposób każdy dzień przypomina nam stworzenie świata? Jakimi słowy zapowiedział Pan Bóg stworzenie człowieka? W jaki sposób to uczynił? Co znaczy Adam? Dla czego Pan Bóg nazwał go królem świata? Dla czego radość Adama, króla ziemi, nie była zupełną? Czy Pan Bóg usunął smutek Adama?

Dla czego mówimy, że dusza stworzona jest na obraz i podobieństwo Pana Boga? Przez co człowiek poniża się, a dla czego nie powinien dumą i zemstą się unosić i inne występki popełniać? Przez co człowiek do źródła swego, do Boga, wznosić się może? A w bliźnich przez co obraz Boga szanujemy, a przez co znieważamy? Z kimby można porównać tego, co bliźnim pogardza? *Kazimierz Brodziński.*

P O T O P.

Ludzie rozmnożyli się z wolna i rozproszyli po ziemi; ale codzień gorszymi się stawali. Żyli w roskoszach i zbytkach; jedzenie, picie i dogadzanie pożądliwości sprosnej ciała główną było ich zabawą; z okrucieństwem prześladowali i dręczyli się wzajemnie. Wszędzie panowały gwałty i niesłuszność. Nikt już o Bogu nie myślał. Wtedy Bóg ujrzał, że ród ludzki zupełnie jest zepsuty, że wszystkie myśli i żądze śmiertelnych ku złemu tylko dążyły, co wszystko smuciło Go bardzo.—Ludzie, rzekł, już nie przyjmują przestrogi, ani kar, jakie im duch mój naznacza. Zepsuci już tylko są samym ciałem. Atoli przeznaczam im jeszcze sto dwadzieścia lat, a zobaczę, czy się poprawią.

Ach! któżby się nie chciał poprawić, widząc, iż to jest najtkliwszym Boga życzeniem?

W tym czasie żył Noe, który wszelką pobożność odziedziczył po ojcach; w niczym nie był naganny, a w gronie społe-

cznych, którzy Boga zapomnieli, on żył tylko dla Boga. Przeto mówił mu Pan: Zbliża się zguba rodu ludzkiego, bo złością swoją całą już ziemię przepełnił—zatrączę wszystkich wraz z ziemią. Natnij drzewa i zbuduj sobie korab obszerne, poczyni w nim rozmaite mieszkania i namaż klejem zewnątrz i wewnątrz. A niechaj długość korabia będzie łokci trzysta, szerokość łokci pięćdziesiąt, a trzydzieści łokci wysokość jego. W wyższej części korabia daj okno i drzwi po bokach. Bo wiedz, iż całą przestrzeń ziemi zaleję powodzią, a wszystko co w ciele żyje pod niebem zginie i wszystko co jest na ziemi zniszczone będzie.

Ale z tobą uczynię przymierze i wnijdiesz do korabia, ty i synowie twoi, żona twoja i żony synów twoich z tobą.

I ze wszech zwierząt, ptactwa i wszelkich stworzeń, po siedmiu czystych, a po dwojgu nieczystych weźmiesz do korabia, aby z tobą żywe zostały, nabierz z sobą wszelkich pokarmów tak tobie, jak owym przydatnych. Taka jest dobroć Pana dla pobożnych. Bóg rozmawia z Noem, jak z przyjacielem, wyjawia mu Swoje zamiary, jak synowi daje mu troskliwe rady, co ma czynić, aby ocalał. Wszystkie te słowa są pełne miłości i łaski; któżby cnoty nie kochał, kiedy ona przyjaźń Pana Boga nam jedna?

Noe wykonał wszystko, jak dobry syn wypełnia rozkazy ojca. Sto lat pracował nad wybudowaniem korabia. A takowa praca jego była dla wszystkich ciągłym napominaniem do pokuty; ale ludzie nie wejrzeli w siebie i nie wierzyli Noego przestrogom. Nakoniec korab został ukończony.

Wtedy rzekł Bóg Noemu:

„Wnijdź ty i wszystek dom twój do korabia, bom ciebie znalazł sprawiedliwym z całego rodu ludzkiego.“

Przez to wyraził uroczyście Bóg, który jest samą sprawiedliwością, że względem u Niego nie mogą, że w człowieku na cnotę i pobożność tylko uważa.

„Weź z sobą stworzenia wszelkiego rodzaju, rzekł jeszcze Pan, bo w siedmiu dniach puszcę na ziemię deszcz, który czterdzieści dni i nocy trwać będzie i wygładzę z ziemi wszystko, co stworzył.“

Noe posłuszny wykonał rozkazy Pana. Wpuścił do korabia wszystkie zwierzęta wszelkiego rodzaju i sam wszedł z rodziną swoją. Sam Bóg z troskliwością ojcowską zamknął za nim drzwi z nadworza, aby go ubezpieczył przeciw powodzi. Wnet lać poczęły okropne deszcze. Wszystkie źródła wody na wierzch wylały. Wszelkie brzemiona wód na niebie zerwały się i z szumem, jak rzeki spadające, dążyły ku ziemi. Już wody podniosły korab i unosiły go wysoko nad ziemią.

Któż wyrazi przestрах i krzyk uciekających na drzewa i góry przed śmiercią nagle zagrażającą? Ale wszystko daremno! Woda, coraz wyższa i wyższa, wszystko zagłusza, wszystko okrywa i łokci piętnaście nad góry najwyższe się wznosi.

I tak zniknęło wszystko, co się ruszało na ziemi, od człowieka aż do zwierza, od ptaka prującego obłoki aż do robaczka w prochu pełzającego. Sam Noe tylko pozostał i co było z nim w korabiu.

Tak Bóg ukarał występki. Wszystko uległo jego sprawiedliwości. Któżby się znalazł nieszczęsny, iżby dobrego Boga nie kochał, niechaj przynajmniej lęka się srogięj Jego sprawiedliwości!

Niesprawiedliwość i rozpusta zniszczyły świata stary. Potop niech nam będzie przestrogą, którym Pan skalaną ziemię oczyścił.

P y t a n i a .

Co było przyczyną zasmucenia Bożego, kiedy się ludzie już na ziemi rozmnożyli? Czy zepsutych ludzi zaraz Pan Bóg ukarał? Czy wszyscy byli złymi? Jaki dał wreszcie Pan Bóg rozkaz Noemu? Co to była arka? Co Pan Bóg Noemu objawił? Co prowadzi cnota za sobą? Ile lat pracował Noe nad arką? Czy ludzie pokutowali? Co znaczą względy u Boga? Jak wykonał Noe rozkazy Boga? Ile dni deszcze padały? Jak wiele wody spadło na ziemię? Jeżeli kto Pana Boga jeszcze nie kocha, co najpierw czynić powinien? Co świat stary zniszczyło? Potop jaką jest dla nas nauką?

Kaź. Brodziński.

HISTORYJA DAWIDA.

Król Saul i wszyscy wojownicy Izraela byli przy dolinie Dębu, walcząc przeciw Filistyńczykom.

Filistyńczykowie stali na górze, a na drugiej naprzeciw nich stali Izraelici, tak iż dolina znajdowała się między nimi.

Wyszedł z obozu Filistyńczyków człowiek nazwiskiem Goliat, sześć łokci i jedną piędzie wysoki (blisko 10 stóp). Miał kask miedziany na głowie i był uzbrojony pancerzem ważącym pięć tysięcy syklów (około 150 funtów); miał nagolenniki miedziane i miedziany naplecznik. Drzewiec jego halebardy był jako wałek, na który tkacz zwinia swe płótno, a żelaziec téj halebardy ważył sześćset syklów (około 20 funtów). Pacholek, niosąc jego tarczę, postępował przed nim.

Stanął tedy w dolinie i zawołał: — Czemu walczyć mamy całymi szeregami. Jestem Filistyńczyk, a wyście słudzy Saula. Wybierzcie jednego z pomiędzy was; niechaj zejdzie ku mnie; jeżeli, walcząc ze mną, mocniejszy będzie i mnie zabije, Filistyńczykowie staną się sługami waszymi; jeżeli ja zaś pokonam jego, wy staniecie się poddanymi mego narodu.

Usłyszawszy słowa Filistyniczka, Saul i wojownicy jego byli wielce zdziwieni i mocno się strwożyli.

A był podówczas w Betleem człowiek zwany Izai, który miał ośmiu synów; z tych trzej starsi poszli za królem Saulem na wojnę. Jednego dnia Izai rzekł do Dawida, najmłodszego syna, który pasł owce: Zostaw swą trzodę pod strażą innego pasterza, a sam idź do obozu zobaczyć, jak się miewają bracia twoi, potem wrócisz i powiesz mi to.

Dawid tedy poszedł wedle rozkazu ojca i przybył do obozu, do braci swoich, w chwili, w której Filistyńczyk powtarzał to samo wyzwanie, jakie już był na czele wojska wygłosił.

I Dawid widząc, jako się każdy bał tego człowieka, zdziwił się temu, mówiąc: Możeż to być, aby bałwochwalca wzbudzał strach w dzieciach żywego Boga?

Skoro te słowa doniesiono królowi Saulowi, król Saul kazał przywołać Dawida.

A młodzieniaszek powiedział królowi: Niechaj się nikt już nie lęka tego Filistyńczyka, albowiem pójdę i pokonam go.

Ale król mu powiedział: Nie zdołasz pokonać tego człowieka, boś jeszcze dziecko, a on jest strasznym wojownikiem.

Dawid odpowiedział: Kiedym pasł owce ojca mego, niedźwiedź i lew przyszły i porwały owieczkę z trzody; alem je dopędził i gdy się na mnie rzuciły, pochwyciłem za szczęki i zabiłem je.

Ten Filistyńczyk będzie dla mnie tym, czym był niedźwiedź i lew; Bóg, który mnie umocnił przeciw tym zwierzętom, umocni mnie przeciw niemu.

Wtedy król kazał przyodziać Dawida swoją własną zbroją, włożyć na głowę kask, na piersi pancerz i dał mu swój własny miecz, mówiąc:—Idź teraz i walcz, niech cię Przedwieczny prowadzi!

Ale Dawid, który nie był nigdy w ten sposób uzbrojony, nie mógł postąpić. Odrzucił tedy pancerz, kask i miecz, a wzięwszy tylko swój kij, wybrał z potoku pięć gładkich kamyków, które włożył do torby, poczym wydobył z kieszeni procę i zbliżył się do Filistyńczyka.

Ten zaś, ujrawszy chłopczyńę z blond włosami i łagodną twarzą, począł krzyczeć: Azaliż psem jestem, że z kijem na mnie wychodzisz? Potym złorzeczył swoim bóstwom i dodał: Pójdź, a ciało twoje oddam krukowi niebiosów i dzikim zwierzętom pól.

A Dawid na to: Ty wychodzisz z mieczem i halebardą, ja zaś idę w imieniu Boga żywego, który cię wyda w ręce moje.

I gdy się Filistyńczyk przybliżał, Dawid wyjął kamyk z torby, zasadził go w procę i wypuścił. Kamyk ugodził w czoło Filistyńczyka, który padł twarzą na ziemię.

Dawid nie miał bronii, ażeby dobić nieprzyjaciela, lecz podbiegszy do Filistyńczyka, rzucił się na jego własny miecz, wydobył go z pochew i nim uciął mu głowę.

Filistyńczykowie, widząc, że ich siłacz pokonany, uciekli. Izraelici ścigali ich i zabijali.

Oto czyn, przez który Dawid został później królem Izraelitów. Lecz na nieszczęście czyny władcy nie odpowiadały w niczym owemu świetnemu czynowi betleemskiego pastuszka.

Eug. Müller—w przekładzie J. Chęcińskiego.

JÓZEF PRZEDANY PRZEZ BRACI.

Jakób miał dwunastu synów. Najlepszy z nich był Józef. Ten, doszedwszy lat szesnastu, pasał trzody z braćmi swoimi, którzy ciężki spełnili występki. Józef, niewinny i młody, nie należał do tego, a chcąc ulżyć swemu sumieniu, oznajmił ojcu, aby obrzydłym braci postępkom zapobiegł. Ojciec też najwięcej go kochał i sprawił mu piękną szatę barwy mienistej. To widząc, bracia nienawidzili go i nie chcieli z nim mówić dobrymi słowy.

Jednego razu miał Józef sen cudowny, który opowiedział swym braciom.—Słuchajcie o śnie, jaki miałem, mówił niewinnie; zdało mi się, żeśmy wszyscy snopy w polu wiązali, a snop mój jakby powstał i stanął, a wasze snopy, około stojące, kłaniały się snopowi mojemu. Odpowiedzieli bracia: Czy tedy królem naszym ty będziesz, a my poddani w twym państwie? Takowy sen pomnożył ich nienawiść i zazdrość. Ale Józef, jak był kochanym od ojca, tak w niewinności jego Bóg sobie upodobał.

Dnia jednego bracia Józefa poszli z trzodami swoimi daleko od domu ojca. I rzekł do niego Jakób: Bracia twoi pasą w Sychemie, idź dowiedz się, jak się mają i jak się z trzodą powodzi. Józef posłuszny śpieszył do nich z radością. A gdy go bracia postrzegli, mówili do siebie: Oto idzie nasz snowidz; zabijmy go, rzućmy w dół, a mówmy, że go pożarł zwierz dziki. Tam się pokaże, na co się zdały sny jego.

Gdy to Ruben posłyszał, pracował wielce, aby Józefa z rąk ich wybawił.—Nie zabijajcie go, mówił, ani krwią jego się macie, ale wrzucie go do téj studni, na puszczy, a ręce wasze czyste zostaną. W duszy zaś myślał, iż go cicho dobędzie i ojcu odda, bo studnia owa była suchą.

Gdy Józef do nich się zbliżył, zdarli z niego szatę mienistą i rzucili go w studnię. Potym, usiadłszy na ziemi, jeść zaczęli; Ruben tylko jeść nie mógł, ale poszedłszy na bok, przemyślał o wybawieniu Józefa.

Gdy bracia jedli, postrzegli jadących Izmaelitów z Galaad, wiozących na wielbłądach do Egiptu wonie, maści i mirrę.

Wtedy Judas mówił do braci: na co nam się przyda zabijać brata i krew jego zatajać? Lepiej go sprzedać Izmaelitom, a ręce nasze krwią się nie zinażą, bo przecie brat to jest i ciało nasze. Gdy więc nadciągnęli Izmaelici, dobyli Józefa ze studni i sprzedali za dwadzieścia srebrników. Kupcy wzięli go i do Egiptu powiedli.

Otóż do czego zazdrość prowadzi! Wejdźmy w siebie, czy nas nie kole w oczy innych powodzenie i miłość u ludzi, czyli nam nie trudno do takich dobrym słowem przemawiać? Jeżeli tak jest, już jesteśmy na drodze złego, bo tak się zazdrość poczyną. Pomnijmyż, do czego zazdrość przywodzić może. Ona początkiem największych zbrodni, dla niej i brata sprzedamy.

P y t a n i a.

Ilu miał Jakób synów i który z nich był najlepszy? Za co Józefa kochał ojciec najwięcej, a za co go bracia nienawidzieli? Jaki sen opowiadał Józef braciom? Jaki miało skutek opowiedzenie snu tego? Co umyślili bracia dokonać na osobie Józefa? Który z braci chciał Józefa uwolnić od śmierci i jaki podał projekt? Co uczynili bracia z Józefem? Komu go sprzedali? Za czyją radą wówczas poszli? Dokąd kupcy powieźli Józefa? Co poprowadziło braci Józefa do zbrodni? Przez co się zazdrość poczyną?

Kaz. Brodziński.

KONIEC.

D.K. Antykw. W-wa

13.7.63

30,-